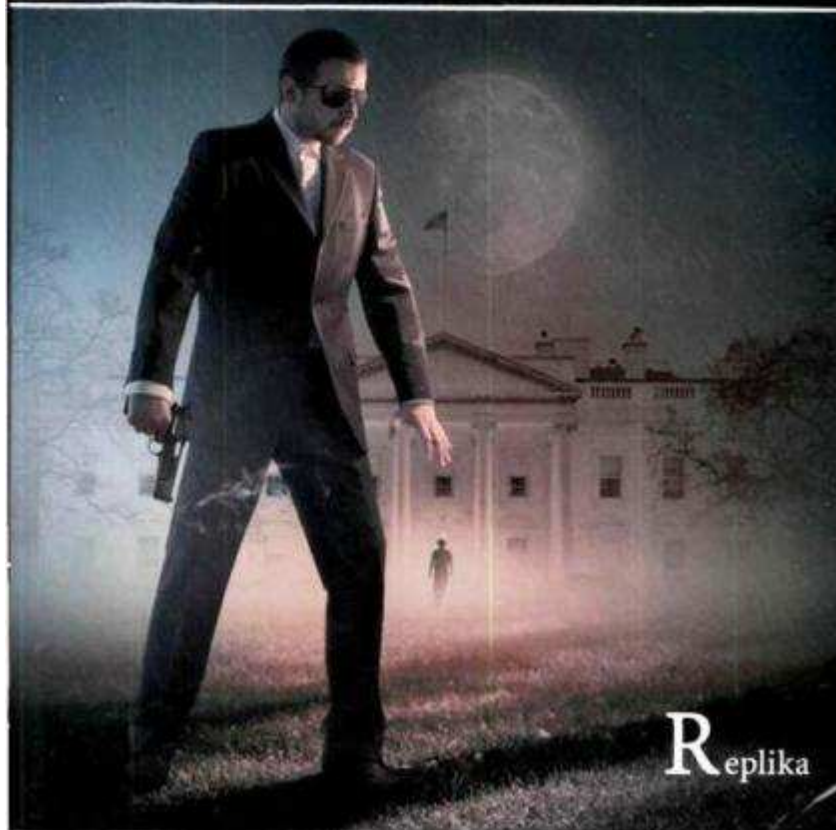


T H R I L L E R

Derek Haas

SREBRNY  
NIEDŹWIEDŹ



R eplika

Jest tym, co Rosjanie nazywają Srebrnym Niedźwiedziem. On sam nazywa się Columbusem. Imię to dziesięć lat wcześniej nadał mu jego mentor, Vespucci, kiedy przyszły zabójca zaczął odkrywać nowy, mroczny świat klientów, zadań i celów. Jego prawdziwe imię niewiele dla niego znaczy. Nigdy nie znał swojego ojca ani matki-prostytutki. Wielokrotnie dowiódł swojej wartości, zazwyczaj za pomocą glocka, ale także improwizował, używając gołych rąk, obcasa, noży, a nawet maszyny do szycia. Jest znakomitym asasynem, u szczytu formy, odpornym na psychologiczne pułapki wybranego przez siebie zajęcia. Jednak kiedy Srebrny Niedźwiedź zbliża się do swego najważniejszego celu, półświatek, którego zasad zawsze przestrzegał, nagle zwraca się przeciwko niemu...

Zanurz się w głębiach umysłu zabójcy – w tym przejmującym portrecie psychologicznym płatnego mordercy, tropiącego swoją ofiarę od Bostonu do Los Angeles.

**R** wydawnictwo  
replika

**Cena 25,90 zł**

ISBN 978-83-7674-082-9



9 788376 740829 >

Derek Haas

SREBRNY  
NIEDŹWIEDŹ

Tłumaczyła  
Martyna Plisenko

Replika

Tytuł oryginału *Silver Bear*

Copyright © 2008 by Derek Haas First Pegasus Book edition July 2008

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Replika, 2010

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja

Paulina Wierzbicka

Projekt okładki

Mariusz Trolński

Wydanie I

ISBN 9788376740829

Wydawnictwo Replika

ul. Wierzbowa 8, 62070 Zakrzewo

tel./faks 61 868 25 37

[replika@replika.eu](mailto:replika@replika.eu)

[www.replika.eu](http://www.replika.eu)

Druk i oprawa: WZDZ - Drukarnia „LEGA”

# Rozdział pierwszy

Był ostatni dzień najgorszego miesiąca roku i oczywiście padał deszcz. Nie wiosenny deszcz życia i odrodzenia, w każdym razie nie dla mnie. Był to raczej deszcz śmierci. W moim życiu zawsze chodzi o śmierć.

Jestem młody; gdybyście zobaczyli mnie na ulicy, moglibyście pomyśleć: „Jaki miły, dobrze ostrzyżony, młody człowiek. Założę się, że pracuje w reklamie albo może w jakiejś niedużej firmie doradczej. Założę się, że jest żonaty i właśnie urodziło mu się dziecko. Założę się, że jego rodzice dobrze go wychowali”. Ale byłibyście w błędzie. Jestem stary na tysiąc sposobów. Widziałem i robiłem rzeczy sprawiające, że instynktownie pobieglibyście do sypialni waszych dzieci, przycisnęlibyście je mocno do piersi, oddychając szybko i nierówno jak dławiący się silnik, powtarzając w kółko „Wszystko w porządku, skarbie. Już w porządku. Wszystko w porządku”.

Jestem złym człowiekiem. Nie mam żadnych przyjaciół. Nie rozmawiam z kobietami ani z dziećmi dłużej, niż to absolutnie konieczne. Nauczyłem się wtapiać w otoczenie, jak kameleon ciemniejący na pniu dębu. Mam krótkie włosy, oczy chowam za ciemnymi okularami, moje ubranie powoduje ziewanie u każdego, kto na mnie spojrzy. W żaden sposób nie przyciągam uwagi.

Żyję tak, odkąd pamiętam, choć tak naprawdę to tylko dziesięć lat. Wcześniejsze wydarzenia całkowicie wymazałem z pamięci, pamiętam jednak ból. Przyjemność i ból tworzą w pamięci nieblednące odciski, raczej przebłyski wrażeń niż obrazy pojawiające się mimowolnie i bez ostrzeżenia. Z tego pierwszego nie mam

prawie nic, drugie zaś tworzy moje życie. Tydzień temu czytałem o wynikach sondażu, z którego wynikało, że dziewięćdziesiąt procent ludzi w wieku powyżej sześćdziesięciu lat chciałoby znów być nastolatkami, jeśli to byłoby możliwe. Gdyby ci sami ludzie przeżyli jeden dzień z czasów, gdy ja byłem nastolatkiem, nie pisałby się na to nikt.

Przeszłość mnie nie interesuje, chociaż jest tam zawsze, tuż pod powierzchnią, jak niewyraźne plamy i kształty, które wyczuwa człowiek pływający w głębokim oceanie. Lubię teraźniejszość. Rządzę teraźniejszością. Jestem władcą własnego przeznaczenia. Jeśli zechcę, mogę kogoś dotknąć lub pozwolić, aby ktoś dotknął mnie, ale tylko w teraźniejszości. Wolna wola to dar teraźniejszości; jedynego czasu, w jakim mogę przechytrzyć Boga. Do niego należy przeszłość i los. Jeśli próbujesz go wykiwać i samemu je zaplanować, mocno się zawiedziesz. On jest władcą przyszłości i uwielbia zaskakujące zakończenia.

Teraźniejszość jest pełna deszczu i wichru. Spieszę się, aby zamknąć za sobą drzwi do niechlujnego magazynu przy Charles River. Mamy zimny kwiecień, który podobno zapowiada długie, gorące lato, ale ja nie przywiążę do tego wagi. Magazyn jest wilgotny, wyczuwam zapach pleśni, świeżych trocin i strachu.

Ludzie nie lubią się ze mną spotykać. Nawet ci, którzy powszechnie uważani są za niebezpiecznych, czują się w moim towarzystwie niepewnie. Słyszeli opowieści o Singapurze, Providence i Brooklynie. O Waszyngtonie, Baltimore i Miami. O Londynie, Bonn i Dallas. Boją się powiedzieć coś, co mogłoby mnie zirytować albo rozgniewać, więc starannie dobierają słowa. Strach jest obcy ludziom tego pokroju - nie lubią sposobu, w jaki osadza im się w brzuchu. Wpuszczają mnie i wypuszczają tak szybko, jak to tylko możliwe, prawie bez negocjacji.

Obecnie mam się spotkać z czarnym mężczyzną o nazwisku Archibald Grant. Tak naprawdę nazywa się Cotton Grant, ale uważał, że „Cotton” brzmi jak imię czarnucha z Georgii, więc przeprowadził się do Bostonu i został Archibaldem. Uznał, że Archibald brzmi arystokratycznie, jakby pochodził z wyższych warstw

społecznych, no i podobał mu się sposób, w jaki miękkim falsetem wymawiały to imię dziwki: „Archibald, chodź tutaj”. Nie wie, że ja wiem o imieniu Cotton. Z mojego doświadczenia wynika, że bardzo dobrze jest znać najdrobniejsze szczegóły o ludziach, z którymi się spotykasz. Pojedyncza wzmianka o zaskakującym drobiazgu, o części życia, o której rozmówca sądził, że została pogrzebana bardzo głęboko i nikt nigdy jej nie odnajdzie, może spowodować, że coś się zmieni. Czegoś takiego właśnie potrzebuję.

Przechodzę przez hol, przed dużymi drzwiami zatrzymują mnie dwa zwaliste, czarne behemoty, z karkami o obwodzie równym mojej talii. Patrzą na mnie taksująco. Po tym wszystkim, co im powiedziano, wyraźnie spodziewali się czegoś innego. Jestem przyzwyczajony do wyrazu rozczarowania w oczach ludzi, którzy sobie myślą „dajcie mi go na dziesięć minut, a posra się w gacie”. Ale ja nie posiadam ego i unikam konfrontacji.

- Pan...? - mówi ten po prawej stronie, garbiąc się na tyle, aby pod koszulką odznaczyła się kolba pistoletu.

- Powiedz Archibaldowi, że przyszedł Columbus.

Kiwa głową, przechodzi przez drzwi, podczas gdy ten drugi wpatruje się we mnie pozbawionym inteligencji wzrokiem. Kaszle.

- Columbus, to ty? - pyta jakby z niedowierzaniem.

Można to uznać za wyzwanie.

Ignoruję go, nie zmieniam wyrazu twarzy, pozycji ciała, postawy. Jestem w terażniejszości. To mój czas i należy do mnie.

Nie wie, co z tym zrobić i nie jest przyzwyczajony do tego, że się go ignoruje. Przez całe jego życie nikt go nie ignorował, nie kogoś tak dużego jak on. Ale jakiś głosik mówi mu, że może historie, które słyszał są prawdziwe, może to o tym Columbusie Archibald mówił wczoraj, może lepiej nie podejmować wyzwania i pozwolić, żeby się rozeszło, zanikło jak sygnał radiowy w miarę jak jedziesz autostradą, dalej i dalej.

Odczuwa ulgę, kiedy drzwi się otwierają i wchodzi do pokoju.

Archibald siedzi za drewnianym biurkiem; pojedyncza żarówka na drucie porusza się nad jego głową jak wahadło. Nie jest zbyt dużym człowiekiem, co kontrastuje ze wszystkimi otaczającymi go

mięśniakami. Niski, dobrze ubrany, w jego oczach odbija się żar z czubka cygara, które trzyma w kąciku ust. Jest przyzwyczajony, że dostaje to, czego chce.

Wstaje i podajemy sobie ręce z lekkim uściskiem, jakby żaden z nas nie chciał się angażować. Wskazuje mi jedyne krzesło i siadamy dokładnie w tym samym momencie.

- Jestem pośrednikiem - mówi gwałtownie, abym wiedział to od samego początku. Kiedy mówi, cygaro unosi się i opada jak metronom.

- Rozumiem.

- To pojedyncze zlecenie.

- Gdzie?

- Poza LA. W każdym razie przez większość czasu.

Archibald odchyła się na swoim krześle i zaplata ręce na brzuchu. Jest biznesmenem, mówi o interesach. Lubi tę rolę. Myśli o biznesmenach siedzących w biurach w Atlancie, do których niegdyś chodził opróżniać kosze na śmieci. Teraz pakuje ich w nowe, czarne opakowania z plastiku.

Kiwam głową, bardzo lekko. Archibald uznaje to za sygnał, okręca się na krześle i otwiera szafkę na dokumenty. Z jej głębin wydobywa aktówkę i obaj wiemy, co jest w środku. Przesuwają po blacie w moim kierunku i czeka.

- W środku jest wszystko, czego pan żądał. Może pan sprawdzić - proponuje.

- Wiem, gdzie pana znaleźć, gdyby było inaczej.

Takie oświadczenia mogą wpędzić ludzi w kłopoty, ponieważ można je interpretować na różne sposoby. Może to nieszkodliwa deklaracja, może żart, a może trochę jedno i drugie. Jednak w tym biznesie znacznie częściej jest to groźba, a nikt nie lubi, jak mu się grozi.

Wpatruje się w moją twarz, jego mina wyraża coś pośredniego między uśmiezkiem a grymasem niesmaku, ale czegokolwiek szuka, nie znajduje tego. Nie ma wielkiego wyboru, może jedynie



zatuszować to śmiechem, żeby jego mięśniaki pojęły, że nie wziął tego do siebie.

- Ha, ha - pozwala sobie tylko na zduszony śmiech. - Tak. To dobre. Cóż, wszystko jest tam, w środku.

Pomagam mu, zabierając teczkę z biurka, a on jest szczęśliwy, widząc, że się podnoszę. Tym razem nie podaje mi ręki.

Oddalam się od biurka, zmierzam w stronę drzwi z teczką w ręce, ale jego głos mnie zatrzymuje. Nie może się powstrzymać, ciekawość wygrywa z ostrożnością; nie ma pewności, czy kiedykolwiek mnie jeszcze zobaczy i musi to wiedzieć.

- Naprawdę załatwił pan Corlazziego na tej łodzi?

Bylibyście zdziwieni, ile razy słyszałem to pytanie. Corlazzi był luminarzem podziemnego światła Chicago odpowiedzialnym za większość rzezi w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, człowiekiem, który na nowo zdefiniował rolę mafii, kiedy narkotyki zaczęły zastępować alkohol, dotąd ulubioną używkę Amerykanów. Jako pierwszy dostrzegł perspektywy na przyszłość i szybko osiągnął wysoką pozycję. Budził nienawiść i strach. Miał paranoję, która zaburzała jego zdrowy rozsądek. Aby zapewnić sobie dostatnie i bezpieczne życie, na starość przeniósł się na gigantyczną łódź mieszkalną zacumowaną pośrodku Jeziora Michigan. Była ciężko uzbrojona, a jedynym połączeniem z lądem był ślizgacz sterowany przez jego syna Nicolasa. Sześć lat temu Nicolasa znaleziono martwego, z pojedynczym pociskiem w aorcie, chociaż nikt nie słyszał strzału, a sam Corlazzi znajdował się za zaryglowanymi drzwiami obstawionymi przez grupę ochroniarzy.

Cóż, nie muszę odpowiadać na to pytanie. Mogę wyjść i zostawić Archibalda i jego obstawę zastanawiających się, w jaki sposób facet taki jak ja mógłby robić rzeczy łączone z imieniem Columbusa. Tę taktykę stosowałem w przeszłości, w odpowiedzi na podobne pytania. Jednak dziś, ostatniego dnia najgorszego miesiąca roku, myślę inaczej. Taksuje mnie sześcioro oczu, a ja wiem, że reputacja człowieka może żyć przez długie lata dzięki świadectwu trzech czarnych facetów w jakimś magazynie na peryferiach Bostonu.

Skręcam ciało ruchem, który jest czymś pośrednim między podmuchem tornada a tanecznym pas i zanim wdech przeszedł w wydech, trzymam w ręce pistolet. W tej samej chwili naciskam spust, a cygaro wyskakuje z ust Archibalda i wiruje w powietrzu jak buława. Pocisk uderza w ceglana ścianę za biurkiem, a grawitacja ściąga cygaro na cementową podłogę. Kiedy sześćcioro oczu się unosi, mnie już tam nie ma.

# Rozdział drugi

Kiedy wchodzę do swojego budynku, wiatr smaga mi twarz. Niebawem znów usłyszę tę historię, a scena w magazynie Archibalda nabierze wagi na miarę czynów Herkulesa. Zamiast trzech, będzie tam dziesięciu ochroniarzy, wszyscy z bronią wycelowaną we mnie. Archibald obrazi mnie tekstem: „Masz swoją teczkę, skurwielu” albo czymś równie uroczym. Okaże się, że tańczyłem pośród kul, powaliłem siedmiu facetów i przeszedłem po wodzie, zanim cygaro wypadło z ust Archibalda. Siła reklamy nic nie znaczy w porównaniu z siłą poczty pantoflowej.

Moje mieszkanie nie odzwierciedla stanu mojego konta bankowego. Ma osiemdziesiąt stóp kwadratowych i jest skąpo urządzone, mam tylko tyle mebli i sprzętów, aby wytrzymać w nim przez tydzień, bo zazwyczaj spędzam tam najwyżej tyle czasu. Nie mam sprzątaczkę, nie prenumeruję gazet, nie mam skrytki pocztowej. Właściciel domu nigdy mnie nie widział, ale raz w roku dostaje podwójną zapłatę w gotówce. W zamian nie zadaje żadnych pytań.

Na moim jedynym stole ostrożnie otwieram teczkę i rozkładam jej zawartość na schludne stosiki. Po sto dwudziestodolarówek w paczce, pięćset paczek w tezcze. To jest zaliczka, trzy razy tyle dostanę po wykonaniu zadania. Na spodzie znajduję dużą kopertę. Pieniądze nie mają dla mnie żadnego uroku. Jestem tak uodporniony na ich syreni śpiew, jakbym się zaszczepił. To koperta jest moim uzależnieniem.

Wsuwam palec w załamanie i ostrożnie ją otwieram, wyciągając jej zawartość, jakby te kartki były bezcenne - łamliwe, kruche, podatne na uszkodzenia. To właśnie sprawia, że brakuje mi tchu,



że serce mi przyspiesza, a żołądek się skręca. To właśnie sprawia, że czekam na następne zlecenie i na następne, i następne - nieważne, jaki koszt ponosi moje sumienie. Właśnie to... pierwsze spojrzenie na osobę, którą zabiję.

Dwadzieścia kartek, dwa skoroszyty z fotografiami, plan zajęć, plan podróży i kopia prawa jazdy wydanego w Waszyngtonie\*. Rozkoszuję się pierwszym rzutem oka na te przedmioty tak, jak głodny człowiek rozkoszuje się zapachem steku. Będzie mnie to zajmować przez następnych osiem tygodni i chociaż on jeszcze o tym nie wie, są to pierwsze linie zapisane na jego świadectwie zgonu. Koperta znajduje się przede mną, jej zawartość leży na stole tuż obok pieniędzy, koniec jego życia jest teraz tak pewny, jak wschód słońca.

\* Waszyngton, D.C., formalnie Dystrykt Kolumbii (ang. Washington, D.C., *District of Columbia*), potocznie nazywany Waszyngtonem, Dystryktem lub po prostu D.C. - założona 16 lipca 1790 stolica Stanów Zjednoczonych. Miasto Waszyngton stanowiło pierwotnie odrębną jednostkę samorządową znajdującą się na obszarze Terytorium Kolumbii, dopiero uchwała Kongresu z 1871 roku zespoliła je z Terytorium, powołując do istnienia całość nazwaną Dystryktem Kolumbii.

Pospiesznie unoszę pierwszą kartkę do sączącego się przez okno światła, mój wzrok pada na największą czcionkę, na nazwisko widniejące na szczycie strony.

A potem sapnięcie, jakby powietrze zostało przecięte przez niewidzialną pięść, która wypchnęła mi oddech z płuc.

Czy to możliwe? Czy ktoś może wiedzieć, czy ktoś w jakiś sposób odkrył moje pochodzenie i robi sobie żarty? Ale... to nie do pomyślenia. Nikt nic nie wie o mojej tożsamości; żadnych odcisków palców, rozmów telefonicznych, żadnego śladu istnienia pozostawionego beztrzesko na miejscu zbrodni. Nie przetrwało nic, co mogłoby połączyć Columbusa z tym niewinnym dzieckiem wyrwanym niegdyś z ramion matki przez „władze” i przekazany pod opiekę państwa.

ABE MANN. Nazwisko na szczycie kartki. Czy to może być zwykły przypadek? Wątpliwe. Z mojego doświadczenia wynika, że coś

takiego jak przypadek nie istnieje, w prawdziwym świecie nie ma właściwie racji bytu. Otwieram skoroszyt i moje oczy przesuwają się ze zdjęcia na zdjęcie. To nie pomyłka: to ten sam Abe Mann, który przemawia w Izbie Reprezentantów Stanów Zjednoczonych Ameryki; ten sam Abe Mann, który reprezentuje dystrykt siódmy stanu Nowy Jork; ten sam Abe Mann, który wkrótce będzie świętować fakt, że jego partia wysunęła go jako kandydata do wyborów prezydenckich. Jednak żaden z tych powodów nie sprawia, że nie mogę złapać tchu. Zabijałem potężnych ludzi i rozkoszowałem się możliwością zrobienia tego ponownie. Niczego nie można dodać do historii Abe Manna.

Dwadzieścia dziewięć lat temu Abe Mann był początkującym kongresmenem z odpowiednią żoną, odpowiednim domem i odpowiednią reputacją. Uczestniczył w tylu posiedzeniach Kongresu, co żaden inny kongresmen, zasiadał w trzech komisjach i zaproszono go do kolejnych trzech, był przedstawiany jako wschodząca gwiazda swojej partii, cieszył się z czasu antenowego w programach o polityce nadawanych w niedzielne poranki. Miewał ponadto liczne kontakty z dziwkami.

Abe był dużym mężczyzną. Sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry pozwoliły mu zostać koszykarską gwiazdą college'u w Syracuse. Poślubił córkę księgowego, której zimne wychowanie przeniosło się do małżeńskiego łóżka. Przestał ją kochać, zanim skończył się ich miesiąc miodowy i w poniedziałek po powrocie z podróży poślubnej na Bermudy po raz pierwszy zaliczył prostytutkę. Czas od poniedziałku do piątku spędzał w stolicy jako reprezentant dystryktu; weekendy spędzał wszędzie, byle nie w domu. Przez pięć lat rzadko sypiał we własnym łóżku, a jego żona trzymała usta zamknięte na kłódkę w obawie, że intymne szczegóły dotyczące ich związku mogłyby zakończyć wygodne życie toczące się od wiadomości ze świata po pogodę na weekend w popołudniowym programie telewizyjnym.

Kiedy został wybrany, aby służyć narodowi w stolicy, Abe odrzucił nowy poziom prostytucji. Zapewniam was, że w Nowym Jorku pełno jest dziwek wysokiej klasy, ale nawet one błędną

w porównaniu z kobietami, które obsługują przywódców tego kraju. Najlepsze było to, że nie musiał nawet zadawać grzecznych pytań. Został osaczony przez rozpustę, zanim go zaprzysiężono, otoczony pierwszej nocy, podczas pierwszej wyprawy do Waszyngtonu po elekcji. Senator, człowiek, którego dotychczas widywał tylko w telewizji i którego nigdy nie spotkał osobiście, zadzwonił bezpośrednio do jego pokoju hotelowego i zapytał, czy miałby ochotę dołączyć do niego na przyjęciu. Cóż za niesamowite chwile przeżył tamtej nocy. Przy świetnych drinkach, kobietach tak młodych, tak pięknych i tak chętnych doświadczyć nowych przeżyć, ekstazy, która zaciemniała mu umysł, gdy o tym myślał.

Tego samego roku, kiedy już nieco okrzepli, zagustował w umięśnionej, czarnoskórej prostytutce o imieniu Amanda B. Chociaż protestowała, zmusił ją, żeby pieprzyła się z nim bez prezerwatywy i zaspokajała jego rosące zapotrzebowanie na coraz to większe i większe podniety. Przez sześć miesięcy robił to z nią w coraz bardziej publicznych miejscach, coraz bardziej niebezpiecznych pozycjach, z coraz bardziej zwierzęcą brutalnością. Każdy pomysł rodził następny i potrzebował coraz silniejszych dawek, aby zaspokoić swój apetyt.

Kiedy zaszła w ciążę, jego świat się zawalił. Przyczołgał się do niej zalany łzami, błagając o przebaczenie. Dopóki nie zobaczyła tej zmiany, nie bała się go. Zmiana oznaczała jednak, że jest bardziej niebezpieczny, niż sądziła. Wiedziała, co się zdarzy potem - po łożach, po samobiczowaniu, po „dlaczego ja?” i odrazie do samego siebie, zmieni się. Jego wewnętrzna skrucha w końcu zwróci się na zewnątrz; będzie zmuszony zmierzyć się z własnymi słabościami i nie spodoba mu się to, co zobaczy. Aż wreszcie zniszczy to, co sprawia, że czuje się bezsilny. Nawet w odmiennym stanie, nawet z mózgiem w oparach kokainy, Amanda B. niczego nie była tak pewna.

Jednak podobało jej się uczucie związane z moszczącym się w niej dzieckiem. Podobało jej się to, jak rosło, jak uciskało na jej żołądek, poruszało się w niej. W niej! Amanda B., niegdyś La Wanda Dickerson z East Providence na Rhode Island, niegdyś

pensjonariuszka nr 43254 Slawson Home for Girls, była zachwycona. W niej! Amandzie B.! Ona mogła stworzyć życie jak każda z tych zadzierających nosa żon kongresmenów, jak każda paniusia z wielkim domem na wielkiej parceli, nad wielkim jeziorem. Ona! Równie dobra, jak każda z nich.

Postanowiła więc ukryć się. Wiedziała, że po nią przyjdzie, a kiedy to zrobi, będzie po niej. Miała przyjaciela, pewnego frajera, który oświadczył jej się, kiedy miała czternaście lat. Nadal dzwonił i z nikim się nie związał. Przyjmie ją, ukryje przed kongresmenem, kiedy zacznie jej szukać. Gdyby tylko zdołała się do niego dostać...

Nie wróciła jednak na Rhode Island. Zamiast tego skończyła w szpitalu z rozbitym nosem, pękającymi płucami i podziurawionym sercem. Była w siódmym miesiącu ciąży, kiedy policja znalazła ją w piwnicy opuszczonego budynku podczas rutynowego nalotu na meliny narkotykowe. Na ramieniu miała zaciągniętą szarę, z żyły sterczała igła. Przyjęto ją do szpitala jako NN nr 13. Następnego dnia wylądowała na porodówce i urodziła chłopca ważącego zaledwie kilogram i osiemset gramów. Opieka społeczna zabrała go minutę później.

Kongresmen Mann widział ją po raz ostatni dwa miesiące później. Dostrzegłszy błędy w swoim postępowaniu, poświęciwszy w końcu życie ojczyźnie, żonie i Bogu, siłą wyrzucił ją ze swojego ogródka, gdzie krzyczała głośniejsze i bardziej gwałtownie niż kiedykolwiek. Dziesięć dni po spisaniu raportu policyjnego z tego zdarzenia znaleziono ją martwą w alejce za stacją benzynową Soho. Z jej gardła pod dziwnym kątem sterczał nóż. Policjant, który zabezpieczał ślady, sześćdziesięcioletni weteran William Handley, spekulował, że sama zadała sobie tę ranę, jakkolwiek koroner uważał, że okoliczności zgonu są niejasne.

Poskładanie tego wszystkiego zabrało mi dwa i pół roku. Nie zadawałem pytań, dopóki nie osiągnąłem dorosłości, bo nie wierzyłem, że przetrwam na tyle długo, aby się tym przejmować. Potem, kiedy zabiłem swój ósmy cel w ciągu trzech lat, osiągając poziom profesjonalizmu dostępnego nielicznym, zacząłem się zastanawiać, kim



jestem. Skąd pochodzę? Kto mógł mnie spłodzić? Przeszłość, do której nie miałem szacunku, wyciągnęła swoją wielką, czarną łapę i uderzyła mnie prosto w twarz.

Więc wściekałem się i ćwiczyłem cierpliwość i opanowanie, powoli składałem elementy układanki, zaczynając od brzegów i przesuując się w stronę środka. Notka w gazecie połączona z kartą szpitalną, w zestawieniu z raportem policyjnym nabrała kształtu i zobaczyłem pełny obraz. Kiedy skończyłem tę układankę, zdecydowałem się odrzucić przeszłość raz na zawsze. Moją domeną będzie teraźniejszość, wyłącznie teraźniejszość. Za każdym razem, gdy próbowałem oswoić przeszłość, ona nie miała dla mnie litości. W takim razie nigdy więcej. Pochowam moją matkę, Amandę B., tak głęboko, że już nigdy się na nią nie natknę. I tak samo postąpię z moim ojcem, kongresmenem Abe Mannem z Nowego Jorku.

A teraz to nazwisko na szczycie kartki. Siedem czarnych liter wypisanych starannie, silnych w swoim porządku, potężnych w swojej zwięzłości. ABE MANN. Mój ojciec. Następna osoba, którą mam zabić w Los Angeles, za osiem tygodni od dziś.

Czy to może być zbieg okoliczności, czy też ktoś odkrył moją przeszłość i poskładał elementy lamigłówek, tak jak ja to zrobiłem? W mojej pracy mogę nie mieć szansy na uzyskanie odpowiedzi. Muszę reagować szybko, tracąc tak mało czasu, jak tylko się da, bo jeśli się okaże, że to tylko kolejne zlecenie, będę musiał nadrobić każdą straconą minutę.

\*\*\*

Ja także mam pośrednika. Pooley jest kimś, kogo określa się mianem przyjaciela albo członka rodziny, ale wolimy wymijające określenie „partnerzy w interesach”. Jeszcze jedno spojrzenie na dokumenty, wrzucam wszystko z powrotem do aktówki i wychodzę.

Hotel leży przecnicę dalej, dzięki temu nie mam problemów z taksówkami. W słabnącym deszczu idę tam, gdzie hotelowy odźwierny może wezwać dla mnie samochód. Kierowca wyraźnie

ma chęć na pogawędkę, ale ja wyglądam przez okno i pozwalam budynkom przesuwac się jak na taśmie produkcyjnej, jeden za drugim, a każdy wygląda dokładnie tak, jak poprzedni. Ignorowany kierowca w końcu zapala papierosa i włącza radio na program o gospodarce.

Jedziemy przez Downey Street w Soho i każę kierowcy zatrzymać się na nieoznaczonym rogu. Nie robię nic, co mogłoby spowodować, że mnie zapamięta; daję dobry napiwek i szybko odchodzę. Jutro nie będzie w stanie mnie opisać.

Kupuję dwie kawy w greckich delikatesach i wspinam się na ganek prowadzący do loftu nad miejscową piekarnią. Brzęczyk odzywa się zanim w ogóle dotknę przycisku domofonu. Pooley musi więc siedzieć przy biurku.

- Przyniosłeś mi kawę? - udaje zaskoczonego, widząc styropianowe kubki. Siadam ciężko na jedynym wolnym krześle w pomieszczeniu. - Ty troskliwy draniu.

- Taaa, mięknię.

Kładę teczkę na biurko i przesuwam ją w jego stronę.

- Archibald?

- Ta.

- Robił jakieś problemy?

- Nieee, to nic, bufonada. Chcę wiedzieć tylko jedno: dla kogo on pracuje?

To alarmuje Pooleya. W naszej branży pewnych pytań się nie zadaje. Im mniej wiesz - im mniej ludzi znasz, powinienem powiedzieć - tym większe masz szanse na przeżycie. Pośrednicy są równie powszechni, jak papier czy atrament i innego rodzaju wyposażenie biura konieczne do prowadzenia interesów. Są wykorzystywani z jednego powodu - żeby nas przed sobą chronić. Wszyscy to rozumieją. Wszyscy to szanują. Nie zadawaj pytań, bo skończysz metr osiemdziesiąt pod ziemią albo będziesz fizycznie niezdolny do wykonywania swojej pracy. Jednak tych siedem liter na szczycie strony zmieniło zasady.

- Co? - pyta.

Może nie usłyszał mnie dobrze. Nie mogę go winić za to, że ma taką nadzieję.

- Chcę wiedzieć, kto wynajął Archibalda jako swojego pośrednika.

- Columbus - jąka się Pooley. - Mówisz poważnie?

- Jestem równie poważny jak zawsze.

To nie jest bez znaczenia i Pooley o tym wie. Znamy się blisko dwadzieścia lat i przez całe życie byłem poważny. Pogwałcenie zawodowej etykiety przeraża go. Widzę to na jego twarzy. Pooley nie jest dobry w ukrywaniu emocji, nigdy nie był.

- Do diabła, Columbus. Dlaczego mnie o to pytasz?

- Otwórz teczkę - mówię.

Teraz spogląda na nią podejrzliwie, jakby miała się poderwać ze stołu i go ugryźć, a potem znów patrzy na mnie. Kiwam głową, nie zmieniając wyrazu twarzy, i Pooley sięga do zatrząsków.

- W kopercie - ponagliam go, kiedy nie widzi niczego szczególnie podejrzanego.

Podnosi kopertę i przesuwa palcem po jej brzegu zupełnie tak, jak ja. Kiedy widzi nazwisko na górze strony, jego twarz czerwienieje.

- To chyba jakieś jaja.

Tak jak powiedziałem, Pooley jest prawie moim bratem i w związku z tym praktycznie jako jedyny zna prawdę o moim pochodzeniu. Kiedy miałem lat trzynaście, a on jedenaście, trafiliśmy do tej samej rodziny zastępczej, mojej szóstej w ciągu pięciu lat, a jego trzeciej. Ja byłem w stanie znieść każde gównno, na które się w życiu natknąłem, ale Pooley wciąż był chłopcem, który w poprzednim domu nieźle oberwał. Jego zastępczą matką była stara kobieta zmuszająca go do sprzątanía łóżka, kiedy się w nim zesrała. Niezbyt łatwe zadanie dla dziewięciolatka, ale w porównaniu z tym, co musiał po jej śmierci wytrzymać w domu Coxów, to było nic.

Pete Cox był wykładowcą angielskiego w jednej z modnych szkół za Bostonem. Był diakonem w swoim kościele, stałym klientem zakładu fryzjerskiego na rogu i aktorem amatorem w

miejscowym teatryku. Jego żona cztery lata przed naszym przybyciem doznała uszkodzenia mózgu. Siedziała na miejscu pasażera w pickupie marki Nissan, kiedy kierowca stracił panowanie nad kierownicą, a samochód przekoziołkował jedenaście razy, zanim wreszcie zatrzymał się w polu gdzieś koło Framingham. Kierowcą nie był jej mąż. Ostatnią osobą, która mogła opowiedzieć o ich wzajemnych stosunkach, był recepcjonista w Marnot Courtyard Suites... kiedy się wymeldowali... razem.

Później żona Coxa zajmowała łóżko szpitalne w pokoju na górze dwupiętrowego domu Pete'a. Była pod wpływem silnych leków, nie mówiła, jadła przez rurkę i kurczowo trzymała się życia. Jej lekarze uważali, że, mając odpowiednią opiekę, może tak przeżyć następnych pięćdziesiąt lat. Z jej ciałem było wszystko w porządku, nie działał tylko mózg uszkodzony przez kławkę od drzwi samochodu, która przebiła jej czaszkę.

Pete zdecydował się stworzyć rodzinę zastępczą, jako że nigdy nie miał własnych dzieci. Jego koledzy uważali go za dzielnego człowieka, stoika; z pewnością zrozumieliby, gdyby w świetle okoliczności, które wyszły na jaw przy okazji wypadku, rozwiódł się z żoną. Ale nie nasz Pete. Nie, nasz Pete czuł się tak, jakby stan jego żony był konsekwencją jego własnego grzechu. Tak długo, jak zajmował się swoją żoną, tak długo, jak pokazywał Bogu, że może znieść to brzemie, mógł trwać we własnym grzechu. A był on coraz większy. I cięższy.

Pete lubił krzywdzić małych chłopców. Krzywdził małych chłopców nieustannie, odkąd skończył osiemnaście lat. „Krzywdzenie” może oznaczać wiele rzeczy, a Pete spróbował ich wszystkich. Niemal wpadł na samym początku uprawiania swojego hobby po tym, jak odciął sutek ośmiolatkowi, który chodząc od domu do domu, sprzedawał prenumeratę gazety. Pete natknął się na niego w alejce za mieszkaniem kuzyna - co za fart, że właśnie go odwiedził! - i zaprosił dzieciaka, żeby mu pokazał gazetę. Z obietnicą zakupu siedemnastu prenumerat, dzięki czemu chłopak dostałby walkmana Sony i tytuł najlepszego sprzedawcy w swojej drużynie skautów, Pete wciągnął go za kontener na śmieci i ściągnął z niego koszulkę.

Szybko odciął brodawkę, ale nie przewidział natężenia krzyku dziecka. Był tak głośny, tak potężny, tak zwierzęcy, że podniecił Pete'a jak narkotyk; jednak jednocześnie zaczęły otwierać się okna na całej ulicy. Pete uciekł i nikt nigdy go nie szukał. Obiecał sobie, że następnym razem będzie bardziej dyskretny. I następnym razem. I następnym.

Zanim przyjechaliśmy, aby z nim zamieszkać, Pete skrzywdził setki dzieci w całym kraju. Sądził, że żona jest zbawieniem, jedyną kobietą, której naprawdę na nim zależy i przez jakiś czas podczas trwania ich małżeństwa nie maltretował małych chłopców. Jednak trudno pokonać uzależnienie; siedzi w ciemnym zakamarku serca, nabiera siły, czeka na swój czas, aż znów wyrwie się na wolność, wyposzczone i głodne. Po tygodniu, odkąd Pete się złamał i zrobił tę niewyobrażalną krzywdę dziewięciolatkowi, jego żona miała wypadek. Jak mógłby nie obwiniać siebie za jej los? W Biblii bardzo dużo mówi się o zapłacie za grzech, a czym była niewierność jego żony i jej zniszczony mózg, jeśli nie manifestacją zła, którego dopuścił się wobec tego chłopca? Zajął się więc nią, a cztery lata później podpisał dokumenty, na mocy których został rodziną zastępczą.

Nie chcę was szokować okrucieństwami, jakich Pooley i ja doświadczyliśmy przez dwa lata spędzone w domu Coxa. Chciałbym raczej, abyście zrozumieli to, co nas obecnie łączy. Opowiem więc o ostatniej nocy, tuż przed tym, jak zostaliśmy odesłani. Wtedy skończyło się nasze dzieciństwo.

Miałem piętnaście lat i wymyśliłem sposób na wzmocnienie swojego ciała, chociaż Cox robił wszystko, co możliwe, aby utrzymać nas w stanie fizycznego wycieńczenia. Kiedy wychodził do pracy, zsuwałem krzesła i ćwiczyłem pompki. Zdjąłem ubrania z drążka w szafie i podciągałem się - początkowo dziesięć, potem dwadzieścia, potem setki razy. Robiłem brzuszki przy sofie, przysiady z szafką na książki na plecach, biegałem po holu. Robiłem to w czasie, kiedy Pete'a nie było; przed jego powrotem wszystko wracało na swoje miejsce. Próbowałem przekonać Pooleya, żeby ćwiczył razem ze mną, ale był zbyt osłabiony. Chciał tego, ale

powiedziałbym, że jego umysł nie pozwalał mu dostrzec światelka na końcu tego tunelu, bo tak wiele mu zabrano.

Tego ostatniego dnia Pete zwolnił swoich studentów z zajęć. Nie czuł się dobrze, coś go trapiło, a kiedy dziekan jego wydziału kazał mu iść do domu i odpocząć, Pete zdecydował się posłuchać jego rady, zanim zmieni zdanie. Dlatego wszedł do domu nie o czwartej, jak zwykle, ale piętnaście po drugiej. Dlatego zastał mnie otoczonego książkami porozkładanymi na podłodze, z szafką na plecach, z ciałem naprężonym w półprzysiadzie.

- Co jest, do kurwy nędzy?

To było wszystko, co powiedział, zanim zwięzły mu się oczy i ruszył w moją stronę. Zrzuciłem szafkę z pleców i rozejrzałem się za najłatwiejszą drogą ucieczki, ale nim zdołałem się ruszyć, otoczył mnie ramionami. Uniósł mnie nad ziemię - nie mogłem ważyć więcej niż pięćdziesiąt pięć kilogramów - i rzucił na ścianę. Czaszka mi nie pękła, ale głową przebiłem gips i uderzyłem o drewnianą belkę. Zamroczony odepchnąłem się tak szybko, jak mogłem, ale on znów był na mnie i tym razem uwięził mnie w niedźwiedzim uścisku. Jego twarz wyrażała coś między wściekłością a ekstazą i ścisnął mnie tak mocno, że nie mogłem oddychać, a oczy zaszyły mi łzami. Sądzę, że mógł mnie zabić. Zrobiłem się za stary do molestowania i wiedział, że zaczynam się stawiać. Byłoby bezpieczniej, gdyby mnie zabił. Mógł to skończyć tu i teraz. Nadal miał jeszcze jednego małego chłopca, którego mógł torturować.

Pooley stojący na szczycie schodów odzyskał głos.

- Puść go, ty głupi skurwysynu!

To przyciągnęło naszą uwagę, a Coxa rozproszyło na tyle, że mnie puścił. Był przyzwyczajony, że to z moich ust słyszy taki język, takie obelgi i taką furję, ale nie spodziewał się tego ze strony małego Pooleya. Obaj jednocześnie unieśliśmy głowy i spojrzeliśmy na schody.

Drzwi do pokoju pani Cox stały otworem. Kłódka, na którą normalnie były starannie zamknięte, została jakimś cudem sforsowana, a wokół wałały się kawałki drewna. Pooley stał w drzwiach,

jego złane potem małe ciało dygotało, w ręce trzymał kawałek szkła, a na podłogę dużymi kroplami kapała krew.

Twarz Pete'a zmieniła się tak gwałtownie, jakby ktoś nacisnął guzik, czystą wściekłość zastąpiło nagle zdumienie i niepewność.

- Co ty zrobiłeś? - tylko tyle był w stanie wykrztusić, a jego kolana autentycznie zadrżały.

Pooley nie odpowiedział; po prostu tam stał, dygocząc, ze ściągniętą twarzą, krew i pot plamiły dywan u jego stóp.

- Co ty zrobiłeś? - Pete wrzasnął po raz drugi z desperacją w głosie. Pooley znów nie odpowiedział.

Pete dopadł schodów i pokonał je pięcioma szybkimi susami. Biegłem tuż za nim, gotów do ataku, gdyby próbował coś zrobić Pooleyowi. Ale nic nie zrobił. Przeskoczył dwa ostatnie stopnie dzielące go od otwartych drzwi pokoju żony, trwożliwie przez nie zerknął, jakby mogły się stamtąd nagle wysunąć jakieś ręce i go złapać, a potem wpadł do środka.

Dopadłem Pooleya, kiedy ze środka zaczęły się wydobywać rozpaczliwe łkania.

- Chodź - powiedziałem.

Pooley nadal wpatrywał się w przestrzeń.

- Zabierajmy się stąd - dodałem.

Naglący ton w moim głosie przywrócił jego twarzy nieco życia i popatrzył na mnie.

- Musiałem - powiedział słabo.

- Wiem - zapewniłem.

Położyłem rękę na jego ramieniu, a on upuścił strzaskane szkło na podłogę. Była zaplamiona krwią, której czerwone smugi psuły piękno szkła. Przeszliśmy nad nią i ruszyliśmy w dół schodów. Znów podniosłem szafkę na książki i rzuciłem ją w okno salonu, czując instynktownie, że Pete, zanim mnie tu zastał, zamknął frontowe drzwi na dwa zamki.

Wyszliśmy przez okno i pierwszy raz od ponad roku poczuliśmy świeże powietrze. Z ciemnego piętra domu dochodziło coraz głośniejsze zawodzenie.

- Przepraszam! Przepraszam! Przepraszam!

\*\*\*

Przez te wszystkie miesiące Pooley milczał, udając rezygnację, a tak naprawdę obserwował, badał, starał się zrozumieć motywację naszego Pete'a. Przyjmował jego ciosy w ciszy, pozwalał mi przyjmować moje, ale obserwował, czekał. Dwukrotnie podsłuchał Pete'a w pokoju pani Cox, wylewającego skruczę przed jej pozbawionymi życia oczami. Dwukrotnie słyszał, jak Pete błaga o przebaczenie po to tylko, aby dwie godziny później wznieść się na wyżyny okrucieństwa. Tak więc Pooley powoli zaczął sobie uświadamiać, że Pete potrzebuje żony, aby móc robić nam to, co robił. Potrzebował kogoś, kto by go nie osądzał, ale siedziałby biernie i pozwalał, aby sam sobie wybaczył, dzięki czemu mógł to zrobić ponownie. Kiedy ja trenowałem, starając się wzmocnić moje ciało, żeby któregoś dnia wziąć odwet, Pooley stłukł lustro w tylnej łazience, naostrzył odłamek na zagłówek łóżka i czekał. Kiedy Pete wcześniej wrócił do domu i zastał mnie na ćwiczeniach wiedział, że nie może czekać dłużej.

Policja zgarnęła nas, zanim uszliśmy milę. Byliśmy podejrzani o zabicie pani Cox, a moje opisy tego, jak byliśmy traktowani, wydawały się trafiać w próżnię. Nie mogę powiedzieć, abym winił Pooleya w końcu uratował mi życie. Nie byłem też zaskoczony, że uznano nas za winnych. Ale ze względu na te wszystkie dziwaczne rzeczy, które sędziemu w zaufaniu powiedział Pete o bolesnej i koniecznej dyscyplinie - co w innym świetle postawiło wszystko, co mówiłem o tym, jak nas traktował - byliśmy sądzeni jak nieletni.

Tak więc Pooley był pierwszym zabójcą, jakiego znałem. Kiedy zdecydowałem, że zajmę się tym zawodowo - czy może raczej życie zdecydowało za mnie - stało się czymś naturalnym, że zostanie moim pośrednikiem, jakkolwiek nie był pierwszy.



# Rozdział trzeci

Pooley zgadza się, że skoro chodzi o mojego ojca, trudno uznać to za zbieg okoliczności i warto by trochę poszperać. Skoro ja bez zwłoki muszę się udać na zachód, on zrobi to za mnie. Postanawiamy, że porozmawiamy w przyszłym tygodniu, kiedy zadzwonię z drogi.

Mam zasadę, że potrzebuję ośmiu tygodni. Nie zgodzę się na wypełnienie zadania w krótszym czasie i w związku z tym odrzucilem sporo zleceń, nawet jeśli kusily ogromnymi pieniędzmi. Mogę bezbłędnie zaplanować i wykonać pracę w krótszym czasie; co do tego nie mam wątpliwości. Ale wyeliminowanie celu wymaga przygotowania psychicznego, a popędzanie siebie samego w tej kwestii może prowadzić do osłabienia na długo po tym, jak cel znajdzie się w grobie.

Jeszcze raz otwieram folder i tym razem studiuję zawartość bez emocji. Będzie podróżował autobusem, to wyprawa przez cały kraj z przystankami na żądanie, z finałem w Los Angeles na Narodowej Konwencji Demokratów. Jego trasa jest strategicznie przypadkowa, to zaplanowany zbieg okoliczności, z przystankami w większości ważniejszych stacji telewizyjnych otaczających kluczowe stany i upstrzona wystarczająco wieloma małymi miasteczkami, aby żadna grupa demograficzna nie czuła się pominięta. Trzy tysiące mil i milion uściśniętych dłoni w ciągu ośmiu tygodni. Podążę tą samą trasą i poczekam na niego na środkowym zachodzie; pozwolę mu dołączyć, a później pojadę za nim do Kalifornii.

Następnego ranka na mojej ulicy odnajduję zaparkowany wynajęty samochód z kluczami na półce pod stacyjką. Żadnych dokumentów do podpisania, żadnych instrukcji. Beżowy sedan nie

odróżnia się niczym od milionów innych samochodów przemierzających Amerykę. Z jednym tylko sznurowanym workiem na tylnym siedzeniu i większą walizką w bagażniku ruszam na zachód, ze słońcem za plecami.

Kiedy zatrzymuję się na lunch w małej przydrożnej jadłodajni o prowokacyjnej nazwie SUE'S NO. 2, zaczepia mnie prostytutka. Zaszywam się w boksie na tyłach restauracji, aby uniknąć kontaktów z miejscowymi, ale dziewczyna nie dba o to, gdzie usiadłem. Upatrzyła mnie sobie, gdy tylko przekroczyłem próg.

Ma na sobie spódnicę kończącą się wysoko nad kolanami i białą, krótką bluzkę bez rękawów, ukazującą z przodu dziecięcy tłuszcz na brzuchu. Wypływałe blond włosy z ciemnymi odrostami tworzą wokół jej głowy coś na kształt sieci. Ma garbatego nos, ale za to niezwykle piękne usta i idealnie proste zęby. Oczy ma przenikliwe i inteligentne.

- Witaj, mon frer - mówi, opadając na siedzenie naprzeciwko mnie. Podejrzewam, że nie waży więcej niż czterdzieści pięć kilogramów i może mieć najwyżej siedemnaście lat.

Nic nie mówię, a ona kontynuuje niezrażona.

- Wiesz, co sobie myślę? Utknęłam w tym zasranym mieście i muszę się stąd wydostać.

Wyrzuca z siebie słowa między puszczaniem balonów z jasnoczerwonej gumy do żucia, zostawiającej w powietrzu mocny zapach winogron.

- Więc jestem gotowa, żeby zrewanżować ci się w zamian za transport.

- Transport dokąd?

- Gdziekolwiek jedziesz.

Opuszcza podbródek i spogląda na mnie tak, jakby uważała, że Bóg mnie opuścił. Właśnie wtedy podchodzi kelnerka. Czeką na moje zamówienie i zanim się zorientowałem, co robię, zapytałem dziewczynę, czy jest głodna.

- Człowieku, zajebicie.

Kelnerka przyjmuje zamówienie na stek, jajka, grzanki i bekon, jeśli jakiś został od śniadania. Och, i jeszcze sok pomarańczowy

i mleko, i to by było wszystko. Normalnie nie rozmawiam z ludźmi, ale to jest nienormalny tydzień i te radosne oczy poruszają we mnie coś, o istnieniu czego nie miałem pojęcia.

- Jak się tutaj znalazłaś?

- Jeden porąbaniec chciał towarzystwa po drodze do Bostonu. Chciał, żebym mu obciągała po drodze.

Machnęła ręką dla podkreślenia swoich słów.

- Dałam mu, czego chciał, a kiedy zatrzymaliśmy się tutaj, żeby coś zjeść, zwiął, gdy tylko wysiadłam z samochodu.

W gruncie rzeczy opowiada o tym jak o dniu spędzonym w szkole.

- Wystawił mnie, skurwieli. I wylądowałam w miejscu, do którego nie zagląдают uczciwi ludzie.

- Ile masz lat?

- Straciłam rachubę.

Przysięgłbym, że ma siedemnaście.

- A ostatnie urodziny, jakie pamiętasz?

- Nie rozmawiamy o mnie. Porozmawiamy o...

Ale przerywa z powodu jedzenia. Oboje jemy w milczeniu; ja, ponieważ tak lubię, ona, ponieważ zbyt szybko pochłania posiłek. Jedzenie wlatuje do jej ust jak na podajniku automatycznym działającym pełną parą, a ona jest równie niewzruszona, jak świnia przy korycie. Zjada całą swoją porcję, a kiedy ja zostawiam pół talerza, zjada również to.

Wreszcie zostawiam pieniądze na stoliku.

- To co z tą jazdą? - pyta.

- A jak myślisz?

Uśmiecha się tymi pięknymi ustami, błyska białymi zębami i przykłada palec do ust.

- Myślę, że jeśli mnie zabierzesz, to nie pożałujesz.

\*\*\*

Zasypia na siedzeniu pasażera, a ja jestem wściekły. Wściekły, że przestałem się pilnować, wściekły, że popełniłem grzech

kardynalny, wściekły, że zignorowałem wskazówki instynktu i pozwoliłem, aby wsiadła ze mną do samochodu. Nadal mogę ją zabić, nadal mogę poprowadzić samochód jedną z tych bocznych dróg, miażdżyć oponami wyschnięte zarośla i porzucić ciało gdzieś, gdzie nikt go nie znajdzie przez całe tygodnie. Nikt nie będzie za nią tęsknił, to pewne. Zamiast tego, do diabła, ludzie widzieli nas w knajpie, widziała nas kelnerka, stary człowiek w kombinezonie roboczym przy ladzie, para w boksie na drugim końcu sali. Widzieli, jak się do mnie przysiadła i widzieli, jak wychodzimy razem. Widzieli też, jak wsiadamy do mojego beżowego sedana. Ludzie nas zauważyli. Zauważyli, do cholery. Dlaczego to przytrafia się mnie?

Pech. Nazwisko na górze kartki było obciążone pechem, a towarzystwo tej małej kurewki to pech najgorszy ze wszystkich. Czuję mdłości. Chyba oszalałem.

- No to gdzie jedziemy?

Kładzie bosc stopy na desce rozdzielczej przed sobą i mruga nieprzytomnie.

- Do Filadelfii.

- Tak? Dobrze. Pochodzę stamtąd.

- Serio?

- Nie - parska, uznając pytanie za zabawne. - Właściwie to pochodzę z małej dziury w okolicach Pittsburga, o której nigdy nie słyszałeś. Ostatnio jestem z Filadelfii.

- To tam... pracujesz?

Znów parska, nieświadoma tego, że brzmi to jak chrząkanie maciory.

- Tak, pracuję. Pracująca dziewczyna.

Milknie z namysłem.

- Co o tym myślisz? - pyta w taki sposób, jakby to było bardzo trudne pytanie.

- O tym, co robisz?

- Tak. Jestem ciekawa. Wyglądasz na normalnego faceta. Co normalny facet myśli o pracującej dziewczynie?

- Myślę, że to nie jest najlepszy sposób na życie.

- I tu masz rację, koleś. Z całą pewnością masz rację.  
- W takim razie dlaczego to robisz?  
- Nie wiem. Mogę ci powiedzieć jedno - rzadko mam na tyle klarowne myśli, żeby usiąść i zastanowić się nad tym. Masz tu jakąś gorzałę?

Próbuje okręcić się na swoim siedzeniu, aby spojrzeć do tyłu, ale kiedy sięga po mój worek, chwytam jej ramię wolną ręką i mocno wykręcam.

- Auuu! Kurwa, człowieku! Ja tylko chciałam sprawdzić, czy masz coś do picia!

- Nie mam.

- Ale nie musisz się zachowywać jak dupek.

Pokazuje mi, że z tych samych ust, z których dobywają się słowa takie, jak „klarowne”, może się wydobywać kwas. I bada, jak daleko może się posunąć. Czy dlatego, że wykręciłem jej rękę? Czy to test - sposób, w jaki wymówiła słowo „duppek”, pauza, jaką zrobiła tuż przedtem, jakby zbierała oddech, a potem wyrzuciła z siebie pierwszą sylabę, jak uderzenie młota. Duppek! Jedziemy w ciszy. Widzę, że wolałaby spędzać czas raczej na rozmowie niż dąsaniu się, ale chce, abym to ja zrobił pierwszy ruch.

Po dwóch minutach poddaje się.

- Po prostu patrzyłam, czy masz coś do picia.

- Nie mam.

Decyduje się porzucić temat.

- Lubisz muzykę?

- Lubię ciszę.

To wydaje się działać i przez kilka minut w samochodzie słychać tylko jej nosowy oddech, wdech i wydech, wdech i wydech, jak wiatr wpadający przez pęknięte okno.

- Muszę siusiu - mówi znienacka, wskazując na znak kierujący na stację Texaco.

Wrzucam kierunkowskaz i prowadzę auto w tamtą stronę. Zbliżamy się do stacji i nie mogę nie zauważyć gruntowej drogi biegnącej dokładnie za stacją, znikającej gdzieś w polu. Może mógłbym sobie jakoś z tym poradzić, przy odrobinie czasu. Jeśli ziemia jest

miękka, mógłbym wykopać nieduży dół i ukryć jej ciało. Minęłyby miesiące, może lata, zanim ktoś znalazłby jej szczątki. Ale jest środek dnia, a ja nie znam tej drogi i nie wiem, czy nie napatoczy się jakiś durny farmer.

Udało mi się zwalczyć to pragnienie, dziewczyna w tym czasie otworzyła drzwi. Obserwuję, jak pyta jednego z pracowników, gdzie są toalety, a on podaje jej gigantyczny klocek drewna z przyczepionym do niego kluczem i wskazuje na tyły budynku. Patrzę na niego wgapiającego się w nią; przyłapuje mnie na tym i szybko odwraca wzrok w stronę segregatora rozłożonego na ladzie.

Co ja tutaj robię? Powinienem po prostu odpalić silnik i zapomnieć, że kiedykolwiek widziałem tę dziewczynę, ale z jakiegoś powodu zachowuję się jak sparaliżowany. Co takiego jest w tych zębach i ustach? Co ja w nich widzę?

Wyłączam silnik i idę do tej części stacji, w której znajduje się sklep. Sprzedawca obrzuca mnie nieuważnym spojrzeniem i chowa segregator pod ladę. Idę do napojów ustawionych jak cegły aż po sufit na tyłach sklepu i biorę sześciopak Budweisera. Każde moje posunięcie jest obliczone na to, aby nie zwracać na siebie uwagi, tymczasem uświadamiam sobie, że już ją przyciągnąłem, parkując tu i pozwalając, aby dziewczyna zapytała o klucz do toalety. Sprzedawca nie patrzył na mnie dlatego, że wyglądam jak sklepowy złodziej. On chciał wiedzieć, jaki człowiek podwozi taką dziewczynę. I zapamięta, kto to był i jak wyglądał, jeśli ktoś go o to zapyta.

Tak to się dzieje. W grze, w którą gram, nie można poddawać się pragnieniom, nawet jeśli to tylko ochota na podtrzymanie rozmowy. A jeśli raz im się poddasz, nawet jeden jedyny raz, kostki domina zaczynają się przewracać, aż cała podłoga pokryje się ciemnym dywanem.

Płacę za piwo, a sprzedawca wydaje mi resztę i tylko coś burczy pod nosem, nie patrząc mi w oczy. Może nie jest tak źle. Zrobiłem coś dla tej dziewczyny, a sprzedawca wraca do swojego segregatora, zanim wychodzę ze sklepu. Może jakoś to będzie, porozmawiam z nią, rzucę okiem na jej świat. Dowiem się, jak sobie wyobraża

swoje życie, w którym miejscu zboczyła na zły tor, co przeoczyła i gdzie się zgubiła, kiedy odkryła, że ma zupełnie nieaktualną mapę. Może wreszcie dowiem się czegoś o kimś, czyje życie było takie, jak życie mojej matki.

W samochodzie wsuwam się za kierownicę i kładę sześciopak na siedzeniu, aby dziewczyna zobaczyła go, kiedy wróci. To takie proste - kupić jej śniadanie, dać sześciopak piwa, a ten uśmiech znów pojawi się na jej wargach, oprze się na swoim siedzeniu, będzie ciepła i zaróżowiona i nie będzie musiała mówić takich rzeczy, jak „dupek” i sikać, i będziemy rozmawiać normalnie, jak normalni ludzie.

Chwila zawieszona w czasie - błysk chwili - tuż przedtem, zanim uświadamiam sobie, jaki jestem pokręcony. Nie można tego wytłumaczyć naukowo, ale na plecach czuję dreszcz, jakby ktoś przyłożył mi kostkę lodu do karku. Drobnutkie włosy stają dęba, jakby pod wpływem prądu elektrycznego. Przez ciało przelewa się fala gorąca, a mięśnie spinają się wszystkie jednocześnie. Dzieje się to momentalnie, kiedy umysł nie za bardzo współpracuje z ciałem. Właśnie to poczułem rzuciwszy okiem na tylne siedzenie.

Mój worek. Sięgnęła do mojego worka, a ja natychmiast złapałem ją za ramię i mocno je wykręciłem. Uznała, że jest w nim coś wartościowego. Musiała go zabrać, kiedy byłem w sklepie.

Wyskakuję z samochodu i ruszam do łazienki, czując instynktownie, że sprzedawca na mnie patrzy. W łazience nikogo nie ma. W otwartych drzwiach zawilgoconej toalety tkwi klucz, ale nie ma tam ani dziewczyny, ani mojej torby. Za stacją widzę szeroką linię drzew, wiejską drogę prowadzącą donikąd i ani śladu pieprzonej dziewczyny. Pandora wydostała się ze swojej puszkii.

Oddycham urywanie, wciągam powietrze szybkimi haustami i zmierzam w stronę drzew. Nie znam jej cholernego imienia, nie mogę nawet jej zawołać, krzyknąć, więc tylko stoję w milczeniu.

Z przyspieszonym oddechem wchodzę między drzewa. Nie znam, cholera, jej imienia, więc po prostu stoję w ciszy z wyrazem determinacji na poblądłej twarzy. Muszę coś zaimprovizować i szybko ją dopaść. Ile czasu potrwa, zanim sprzedawca powiadomi

policję, powie, że przed stacją stoi wynajęty samochód i że dzieje się coś dziwnego? Widział dziewczynę. Widział mnie. Widział, jak ona idzie na tyły i widział, jak gnam za nią. Czy chociaż zamknąłem drzwi samochodu? Nie jestem pewien. Kurwa mać, jak mogłem spuścić ją z oczu?

Mam pięć, może dziesięć minut, aby ją znaleźć, zanim sprzedawca pójdzie sprawdzić, co oboje robimy w łazience. A później, kto wie? Jeszcze z pięć minut na telefon na policję? Jestem wkurzony. To nie tak miało być.

Wszędzie drzewa, a potem, w prześwicie, widzę ją, jak wchodzi w gąszcz niecałe dwieście metrów ode mnie. Ona też mnie widzi - na jej twarzy odbija się panika dzikiego zwierzęcia w potrzasku. Może zajrzała do torby i przeraziła się. Jednak mimo to jej nie porzuciła; widzę, jak odcina się żółto na tle jej ciemnej spódnicy.

Błyskawicznie zbliżam się do niej. Jest przestraszona i popępnia błąd, skręca i przechodzi nad pniem powalonego dębu. Kiedy słyszy moje kroki na zeschniętych liściach, wyrzuca ręce w górę, szarpie się, próbuje mnie z siebie zrzucić, zanim w ogóle do niej podszedłem.

A potem moja stopa ląduje na jej karku, wciska jej twarz w ziemię, teraz te śliczne ząbki są oklejone piaskiem.

- Nie, proszę. Proszę. Nie chcę tego. Nie chciałam... nie chciałam... nie chciałam...

Walcząc ze wszystkich sił, chwyta mnie za golenie, szarpie spodnie, oczy ma oszalałe ze strachu.

A potem naciskam mocniej, aż słyszę jak jej kark pęka niczym suche drewno.

\*\*\*

Las jest cichy w ten szczególny sposób, jakby natura oznajmiała, że zabito żywe stworzenie. Waham się przed użyciem słowa „niewinne”, ponieważ gdyby nie była tak głupia, tak cholernie lekomyślna, żyłaby teraz i gawędzilibyśmy sobie w drodze do Fildelfii, rozmawiali o normalnych rzeczach, o których rozmawiają



normalni ludzie, piłaby piwo, a jej usta rozciągałyby się w uśmiechu. Tymczasem leży z twarzą wbitą w ziemię, liście i próchno.

A może las wcale nie jest cichy. Może w uszach huczy mi tak głośno, że zagłusza to wszystkie inne dźwięki. Ciężko oddycham, z czoła po nosie spływa mi pot, cisza jest przytłaczająca, gęsta jak śmietana. Pod moim butem leży dziewczyna, jej energia została wykorzystana i zmarnowana jak całe jej życie.

Będzie mi potrzebne szczęście. Zarzucam sobie dziewczynę na ramiona, tak jakbym niósł rannego żołnierza i pospiesznie wracam przez las w stronę sklepu. Odrobina szczęścia, odrobina szczęścia. Tylko o to proszę. Moje kroki są pewne, pod stopami wyczuwam solidną ziemię, wychodzę spomiędzy drzew, tył sklepu jest coraz większy i większy. Dziewczyna nie waży dużo, jej ciało podskakuje na moich ramionach, jest lekkie jak plecak. Trzydzieści stóp, dwadzieścia i ani śladu sprzedawcy. Przyjacielu, nie ruszaj się zza swojej lady. Zajmuj się swoim segregatorem, rób inwentaryzację, a wkrótce o nas zapomnisz, po prostu kolejna para klientów pośród wielu podróżnych.

Wyłaniam się spomiędzy drzew i jestem na tyłach sklepu, kawałek drewna z kluczem nadal jak wahadło wisi na drzwiach. Szybko, z ciałem na plecach, wchodzę do pomieszczenia, chwytam kawałek drewna i starannie zamykam drzwi. Już prawie jestem. Szczęście, nie opuszczaj mnie.

Odór w łazience jest koszmarny, a pleśń pokrywa ściany jak jakaś paskudna mozaika. Ogarnięcie się nie zabiera mi dużo czasu. Dopada mnie smród, potem wzburzenie, bo zdegradowałem czynność zabijania do zupełnie zwierzęcego poziomu. Jej ciało z twarzą zwróconą w moją stronę, z wargami odsłaniającymi zęby w grymasie oskarżenia, strachu i beznadziei, przewieszam przez zlew. Pochyliłam się i wymiotuję, aż czuję w uszach bijący puls.

Puka, kiedy kończę drugą rundę.

- Wszystko w porządku?

Szczęście to zabawna rzecz. Otwieram drzwi, trzymając dziewczynę w ramionach.

- Macie wąż z wodą? - pytam, a on natychmiast spogląda nad moim ramieniem do łazienki, nos mu się marszczy.

- O cholera.

- Przepraszam. Rozchorowała się.

Wolną ręką przyglądam włosy dziewczyny. Nawet na nas nie patrzy, potrząsając głową.

- Niech się pan nie przejmuje - mówi zrezygowany i mija mnie, aby ogarnąć pomieszczenie.

Nie ma na co czekać. Obchodzę budynek i wsiadam do samochodu, zanim rozwinie wąż. Moja torba i ciało dziwki lądują na szerokim tylnym siedzeniu.

# Rozdział czwarty

Na zjeździe z autostrady umyłem się najlepiej jak mogłem. Pogrzebałem ciało w głębi gęstych zarośli przy drodze prowadzącej do jakiejś opuszczonej farmy, mając tylko ręce i łyżkę do opon. To była partacka robota. Partacka dlatego, że nie znałem okolicy, nie miałem czasu, aby to zrobić, jak należy, nie miałem czasu, aby zakopać ciało tak głęboko, by nie zostało odnalezione przez następne dziesiątki lat. Jednak się nie martwię. Na wypadek, gdyby jakiś autostopowicz czy rolnik natknęli się na zwłoki, poświęciłem kilka minut, aby znacząco utrudnić identyfikację.

Wciąż uwalany ziemią zajężdżam na brukowany dziedziniec Rittenhouse Hotel. Przechodzę przez hol, zwalniam tylko po to, aby się zameldować, a potem idę do pokoju, oganiając się od boy-ów, którzy chcą nieść mój bagaż. Po prostu zaprowadźcie mnie do pokoju, dajcie wziąć prysznic, pozwólcie zmyć z siebie brud i zapach tego koszmarnego dnia.

Pokój jest ogromny, z wielkim oknem wychodzącym na Rittenhouse Square i na miasto. Jest tu więcej mebli, niż miałem przez całe swoje życie. Nie zdecydowałbym się żyć w taki sposób, ale to właśnie tutaj Abe Mann zatrzyma się za kilka tygodni, a ja muszę zapomnieć, kim jestem i nakierować umysł na właściwe tory. Po raz pierwszy, odkąd dostałem to zlecenie, będę postępował jak profesjonalista.

Aby upolować człowieka, trzeba podejść na odpowiednią odległość. Zabójca musi zrozumieć swoją ofiarę, przemknąć przez jej umysł tak, jak armia przemyka przez terytorium wroga. Musi żyć, spać, jeść, oddychać tak jak jego cel, dopóki nie zleje się z nim,

dopóki nie staną się jednym. Żeby zabić człowieka, musisz się stać tym człowiekiem.

Woda jest cudowna, oczyszczająca jak chrzest. Po prostu się odpręż, odpręż, odpręż, a ten dzień i wszystko, co się zdarzyło, będzie jak mydło splukiwane strumieniem wody. Zniknie i zostanie zapomniane.

Ale nie. Dziewczyna staje mi przed oczami, wyskakuje jak dziecko bawiące się w „a kuku” za każdym razem, kiedy przymknę powieki. Zabijałem ludzi bez mrugnięcia, bez bólu, bez wyrzutów sumienia, a tymczasem zaczyna mnie prześladować zwykła dziewczyna.

- Zgadza się - mówi. - Ty i ja. Utknęliśmy tu razem.

Potrząsam głową, a woda z moich włosów rozpryskuje się na zasłonie prysznicowej. Jednak nie otwieram oczu. Podoba mi się jej wygląd. Właściwie to lubię na nią patrzeć, chociaż do siebie. A potem pierwszy raz myślę, że moja przeszłość wreszcie mnie dopadła, moje mury obronne są szturmowane przez życie, o którym tak desperacko starałem się zapomnieć. Myślałem, że jeśli będę biegł wystarczająco szybko, to zrzucę z siebie przeszłość tak, jak zrzuciłem tamtą szafkę na książki w salonie Coxa, że będzie zbyt ciężka i zbyt wolna, aby mnie dogonić. Ale jest tutaj, pod tym prysznicem, silna wściekłością i szaleństwem.

- Opowiedz mi o swojej matce - mówi dziewczyna, tak blisko mojej twarzy, że w jej oddechu czuję zapach ziemi.

- A to co ma znaczyć? - mamroczę, chociaż nie jestem pewny, czy powiedziałem to na głos, czy tylko w głowie.

- Chcę zrozumieć - mówi, unosząc się, płynąc pod moimi powiekami. - Opowiedz mi o swojej dziewczynie. Opowiedz mi o Jake.

Potem woda zaczyna być zbyt gorąca, zamienia się w strumień parzącego wrzątku i zakłęcie zostaje złamane. Wyskakuję spod prysznica i czekam, żeby woda trochę ostygła. Prysznic wreszcie wraca do miłej, letniej temperatury, szybko się splukuję, wycieram ręcznikiem i opadam na łóżko. Zamykam oczy, szukając martwej dziewczyny.

\*\*\*

Kiedyś miałem dziewczynę. Tylko przez kilka miesięcy, dawno temu. Włosy w miodowym kolorze sięgały jej do ramion, miała jasne, radosne oczy powiększone grubymi szklami w czarnych oprawkach i czekoladowego labradora o imieniu Bandit. Mieszkała w Cambridge, w kawalerce nad księgarnią. Była bystra, zaangażowana, wygimnastykowana i żywa. Miała na imię Jake.

Spotkaliśmy się po tym, jak wyszedłem z poprawczaka, tuż przed rozpoczęciem mojego nowego zadania, które zaczęło się uściskiem dłoni grubasa o nazwisku Vespucci. Ten uścisk czarniawego Włocha zakończył pewne sprawy na zawsze, ale tuż przedtem przeżyłem jedyny okres w moim życiu, kiedy czułem się normalny. Przez kilka miesięcy wierzyłem, że dam sobie radę, że ogarnę swoje życie, że mogę stać się nowym człowiekiem, jak w poprawczaku zawsze powtarzał nam ksiądz, ojciec Steve.

- Przybyliście tutaj brudni i upodleni, ale możecie stąd wyjść jako nowi ludzie. Oczyszczą was błogosławione wody wybaczenia, uczynią z was nowych ludzi, ale przedtem musicie wykąpać się w basenie skruchy.

Chciałem w to wierzyć, w każde jego słowo. Przez całe życie byłem brudnym, upodlonym chłopcem, który nie znał swojej matki ani ojca. Chciałem stać się nowym człowiekiem. Pragnienie było tak dojmujące, jak pragnienie łyka wody dla wędrowca na pustyni. Choć raz, tylko jeden raz chciałem być nowym człowiekiem pijącym szklankę czystej wody.

Kiedy opuściłem poprawczak, pojechałem do Bostonu, gdzie ojciec Steve załatwił mi pracę. Miałem ładować skrzynki piwa na ciężarówkę. Najwyraźniej brat ojca Steve'a nie dostał tego samego telegramu od Boga i zajmował się dystrybucją piwa. Jednak bracia byli ulepieni z tej samej gliny i brat księdza pomógł „nowemu człowiekowi” stanąć na nogi, zbliżyć usta do tej szklanki chłodnej wody, nawet jeśli noszenie skrzynek piwa było jedynym znanym mu sposobem transportu.

Kilka tygodni po rozpoczęciu pracy dostałem pierwszy w życiu czek z wypłatą. Ja, sierota, przybrane dziecko, były skazaniec, ja, z czekiem na czterysta siedemdziesiąt dwa dolary wystawionym na moje nazwisko. Gdy tylko wróciłem do domu, napisałem do Pooleya. Mieliliśmy obaj nadzór kuratora aż do ukończenia osiemnastego roku życia, a skoro byłem starszy, to uwolniłem się od tego wcześniej. Listy były jedną z nielicznych przyjemności dostępnych w poprawczaku Waxham, więc pisałem prawie codziennie. Musiał się dowiedzieć, że mi się udało, że warto było czekać i marzyć w ciemnościach tej przeklętej klatki dla szczurów. Musiał się dowiedzieć, że dostałem wypłatę, otworzyłem konto oszczędnościowe, że czekałem, aż go wypuszczą.

Spotkałem ją w drodze do banku, gdy szedłem, aby zrealizować czek. Nie wiedziałem, w jaki sposób otwiera się konto, ale brat ojca Steve'a wszystko mi wyjaśnił, powiedział, że to bardzo proste i że banki będą bardzo wdzięczne za to, że co tydzień trafiają do nich moje pieniądze. Miałem na sobie czystą koszulę, a moje spodnie były tylko lekko przybrudzone. Czuję się dobrze.

Złapała mnie za ramię i okręciła dookoła.

- Louis? - powiedziała.

Instynkt kazał mi się mieć na baczności, bronić się. Rzadko pozwalałem, aby ktoś mnie dotykał. Jednak tym razem z jakiegoś powodu, czując jej pewny uścisk na ramieniu, nie poczułem zagrożenia.

- Och, przepraszam - powiedziała i zaśmiała się. - Bardzo przepraszam, wzięłam cię za mojego brata.

Poczułem, jak na twarzy rozkwita mi uśmiech. Jej śmiech był prawdziwy, nieskrępowany, zaraźliwy.

- Przepraszam - skończyła wreszcie, łapiąc oddech i wyciągnęła do mnie rękę. - Z boku wyglądasz dokładnie jak mój brat. Jestem Jake.

- Jake?

- Jacqueline. Jake. Wolę Jake.

Kiwnąłem głową, szczerząc zęby jak wariat i potrząsałem jej dłonią. Do diabła, była taka delikatna.

- Ja też.

Wciąż się uśmiechając, przyjrzała mi się niemal z uczuciem.

- Przysięgam, patrząc z boku, pomyślałam, że Louis przyjechał.

- Tak?

- To było niesamowite. Właśnie szłam na kawę, patrzę, a tu Lou idzie prosto na mnie.

- Tylko, że to byłem ja.

- Tak. Z boku wyglądasz ładząco podobnie. Kurczę, to jest coś.

Sposób, w jaki powiedziała „coś”, stając na palcach, a potem opuszczając się na pięty - sprawił, że roztopiłem się jak wosk.

- Słuchaj, a napiłbyś się tej kawy ze mną?

Jakimś cudem zdołałem wydobyć z siebie głos.

- Jasne, z przyjemnością. Nigdy w życiu nie piłem kawy.

\*\*\*

Przez tydzień spotykaliśmy się codziennie nad sadzawką pełną żab i patrzyliśmy, jak turyści zdejmują buty i brodzą w wodzie po kostki. Dużo mówiła, a ja uwielbiałem jej schrypnięty głos muskający moje uszy jak piórko. Boże, mogła sobie mówić, a ja zrobiłbym wszystko, aby leżeć tak z głową na jej podołku i gapić się na przechodzących turystów.

- Moja filozofia jest taka: Nie jesteśmy niczego winni naszej rodzinie, naszym rodzicom tylko za to, że nas spłodzili i przez tyle lat dawali nam dach nad głową. Pytanie brzmi, czy lubisz tych ludzi? Czy chcesz spędzać z nimi czas, pić kawę, jeść kolację? Jeżeli odpowiedź brzmi „nie”, to trudno. Dlaczego masz marnować z nimi swój czas, skoro nawet ich nie lubisz? To, co społeczeństwo uważa za właściwe, ma się nijak do podstawowych prawd.

Życie jest cenne i tak szybko przemija. Dzisiaj jest, a jutro znikna, zanim w ogóle się zorientujesz. W jednej sekundzie jesteś małą dziewczynką pytającą, czy możesz, proszę, proszę, dostać na Gwiazdkę kuchenkę dla Barbie, a zaraz potem masz dwadzieścia jeden lat i nie masz nic wspólnego z tymi ludźmi, do których

mówisz „mamo” i „tato”. Kompletnie cię nie rozumieją. Z ich punktu widzenia mówisz w obcym języku. Więc po co się nimi przejmować?

Wpatrywałem się w jej podbródek poruszający się w rytmie słów. To, co mówiła, nie miało najmniejszego znaczenia. Jej głos spływał w dół i obejmował mnie jak ramiona. Minęła nas jakaś para trzymająca się za ręce, uśmiechnęli się do nas, a ja pomyślałem *mój Boże, ta para to my. Jesteśmy nimi*. Ten jeden raz, pierwszy raz w życiu, czułem się kochany.

\*\*\*

Nie widziałem, że nadchodzi Vespucci. Na mojej drodze nie pojawił się żaden diabeł, na horyzoncie nie zgromadziły się czarne chmury. Jak powiedziałem, wszystko było dobrze. Od kilku miesięcy ładowałem piwo, układałem skrzynki na paletach, owijałem je folią i pakowałem na ciężarówki. To była ciężka, ale satysfakcjonująca praca w rodzaju tych, które są jednocześnie wyczerpujące i satysfakcjonujące. Byłem w tym dobry, ramiona miałem silne po ćwiczeniach w domu Coxa i w siłowni w Waxham.

Wyglądało to tak, że jeden ładowacz był przypisany jednemu kierowcy i pracował dopóki ciężarówka nie była pełna i gotowa do odprawy. Potem podjeżdżała następna, ładowano ją i odprawiano. Nie było w tym żadnego porządku i w ciągu tygodnia pracowaliśmy ze wszystkimi niemal kierowcami. Każdy ładowacz marzył o tym, by wreszcie zostać kierowcą. Oznaczało to lepszą płacę i część dnia spędzoną w klimatyzowanej szoferce, nie na deszczu. Kiedy zwalniało się miejsce na tym stanowisku, brat ojca Steve'a dawał awans na podstawie rekomendacji innych kierowców. To oznaczało, że wszyscy ładowacze podlizywali się wszystkim kierowcom, aby na rekomendacje zasłużyć. To był dobry system.

Jednym z kierowców był Hap Blownfeld i każdy ładowacz patrzył na niego tak, jak niektórzy ludzie patrzą na gwiazdy filmowe albo na słynnych sportowców. Był potężnie zbudowany, miał idealną fryzurę i często się uśmiechał, pokazując perłowo białe zęby.

Miał wielkie ramiona, potrafił załadować ciężarówkę szybciej



niż ktokolwiek inny. Chłopakowi, który pomagał mu danego dnia, kupował sześciopak coli. Dzień, w którym przydzielono cię do Hapa, był jak wygrana na loterii, a jeśli trafiłeś do niego dwa razy w tygodniu, stawałeś się obiektem zawiści wszystkich innych ładowaczy.

- Buck, jaka jest twoja historia? - zapytał mnie po kilku miesiącach. Ładowaliśmy Budweisera, a na zewnątrz było gorąco. Nie odzywaliśmy się do siebie za często, zbyt skupieni na ustawianiu skrzynek na drewnianych paletach. Nie byłem ponadto specjalnie rozmowny, a to pytanie mnie zdenerwowało.

- Żadna - wymamrotałem tylko.

Hap popatrzył na mnie z lekkim uśmiechem, ramię oparł na jednej ze skrzynek z piwem.

- Wyznam ci moją małą tajemnicę. Ja też byłem w poprawczaku.

Nie odpowiedziałem.

- Święta prawda - powiedział, znów ładując skrzynki. - Pięć lat w Skyline Hall w Sacramento za uduszenie dzieciaka. Dorastałem na Zachodnim Wybrzeżu, w Arkadii, na peryferiach Los Angeles. W mojej szkole było wielu Meksykanów, jeden z tych fasolojadów ukradł mojemu ojcu portfel, a to nie spodobało mi się za bardzo. Nie wiedziałem, że zabiłem tego biednego gnojka, dopóki ktoś nie oderwał moich palców od jego gardła.

Zamilkł i potarł głowę wierzchem dłoni.

- Miałem trzynaście lat. Myślałem, że pójdę do college'u i będę grał w futbol.

Nie wiedziałem, co powiedzieć i przez chwilę w zgodnym rytmie ładowaliśmy skrzynki na palety, a palety na ciężarówkę. Zacząłem myśleć, że może opowieść Hapa słyszałem tylko w swojej głowie. Znów przerwał ciszę.

- Więc jaka jest twoja historia? I nie rozczulaj się nade mną.

Hap nie był człowiekiem, którego mógłbym gładko okłamać, więc po prostu się otworzyłem, jakbym rozpościerał mapę, zaczynając od pobytu u Coxów, a kończąc na zwolnieniu z Waxham. Zanim się zorientowałem, opowiedziałem wszystko, ciężarówka była załadowana, a Hap i ja opieraliśmy się o zderzak, sącząc przez słomki colę z butelek.

- Nie zabiłeś go? - spytał Hap, wydymając lekko dolną wargę.  
Potrząsnąłem głową.

- Ale chciałeś.

- Tak.

- Chciałbym dostać skurwiela w swoje ręce.

Popatrzył na dłonie, jakby widział swoje masywne palce chwytające Coxa za gardło i ściskające jego szyję. Hap spojrział na mnie spod oka.

- Myślisz, że byłbyś w stanie z nim skończyć?

- Gdybym mógł, to bym to zrobił.

Hap uśmiechnął się szeroko.

- Założę się, że tak.

Odjechał kilka minut później, a ja z lekkim uciskiem w pierśsiach poszedłem zająć się następną ciężarówką.

\*\*\*

Tydzień później zupełnie nie pamiętałem o rozmowie z Hapem. Szedłem z pracy do domu, kiedy zatrzymał się przy mnie wielki cadillac. Przyciemniona szyba zsunęła się i w oknie pojawiła się oliwkowa twarz w kształcie księżyca w pełni. Pomyślałem, że ktoś mnie z kimś pomylił, tak jak Jake pomyliła mnie ze swoim bratem. Z okna wysunęła się tłusta dłoń.

- Vespucci - powiedziała twarz, ręka wciąż czekała.

Potrząsnąłem nią, niepewny, co powiedzieć.

Potem w oknie za Vespuccim pojawiła się druga twarz, na której widniał szeroki uśmiech poparty figlarnym mrugnięciem.

- Wsiadaj, Buck - powiedział Hap, otwierając drzwi.

\*\*\*

Samochód był większy od wszystkiego, co dotąd widziałem. Był wielki jak wnętrze pustej ciężarówki. Wszedłem tam i usiadłem naprzeciwko czarniawego Włocha i Hapa. Ich oczy badały moją twarz, jakby to była książka; nie mam pojęcia, czego próbowali się

w niej doszukać. Waxham nauczyło mnie ukrywania emocji, pokazywania światu twarzy pokerzysty. Przez długą chwilę jechaliśmy w ciszy, mierząc się nawzajem wzrokiem.

- Jesteś sierotą? - z mocnym włoskim akcentem spytała mnie ciemna twarz.

- Tak.

- Tak, co, dzieciaku? - poprawił mnie Hap z naciskiem w głosie.

- Tak, proszę pana - powiedziałem, nie chcąc zawieść Hapa.

- Dobrze. Dobrze, chłopcze. Jak masz na imię?

Powiedziałem, a on zaczął się śmiać.

- Od dziś będziesz się nazywał inaczej. Nowe imię w nowej pracy.

Nie miałem pojęcia, o czym on mówi.

- Nowej pracy?

- Pracy dla mnie. Zaczynasz dzisiaj.

Popatrzyłem na Hapa, a on tylko kiwnął głową, uśmiechając się, jakby zrobił mi wielką przysługę.

Samochód zatrzymał się przy opuszczonym magazynie w wielkim budynku w tej części miasta, w której nigdy dotąd nie byłem. Budynek zajmował całą przecznicę. Kiedyś prawdopodobnie mieściła się w nim jakaś fabryka pełna życia i potu, teraz jednak stał cichy i zapomniany, jak stary człowiek w domu opieki. Przez potłuczone okna na górnych piętrach wlatywały i wylatywały ptaki. Na ścianie widniał wyblakły napis „Columbus Textiles”.

- Ale najpierw test - powiedział Vespucci. - Żeby zobaczyć, jakie masz... możliwości...

Wydawał się wahać przy słowie „możliwości”, jakby czuł w ustach słodki smak.

- Chodźmy.

Wewnątrz znajdowały się pokryte kurzem pojedyncze meble, pozostawione tam, kiedy firma spakowała się i wyniosła. Produkowano tu prawdopodobnie tekstylia. Niedziałające od dawna krosna i porzucone maszyny do szycia leżały pogrążone we śnie na zapomnianych warsztatach. Główne pomieszczenie było ogromne

jak katedra, pośrodku stało najwidoczniej niedawno przesunięte niewielkie biurko. Na blacie leżał pistolet.

- O co tu chodzi? - spytałem zaniepokojony, szukając odpowiedzi na twarzach mężczyzn, którzy mnie tutaj przyprowadzili. Jeśli nawet tam była, brakowało mi doświadczenia, aby ją odczytać.

Dokładnie w chwili, gdy zadawałem to pytanie, otworzyły się inne drzwi. Weszło przez nie trzech mężczyzn. Ich kroki dudniły głucho na betonowej podłodze, ale w słabym świetle nie widziałem wyraźnie ich twarzy. Jednak jeden z nich miał niejasno znajomy chód, sposób chodzenia tak samo unikatowy i rozpoznawalny, jak odcisk palca.

- Hap, o co chodzi?

Potem rozległ się głos, który tak usilnie starałem się zapomnieć i uderzył mnie jak pięść.

- Właśnie - powiedział Pete Cox stojący pomiędzy dwoma mężczyznami, którzy właśnie weszli. - O co tu, kurwa, chodzi? Tych dwóch kolesi powiedziało mi, że jest tu coś, co... chciałbym... zobaczyć...

Napotkał mój wzrok i przez moment był równie zaskoczony jak ja. Wymówił moje imię, potem je powtórzył, osłupiały, jakby budził się ze snu. Potem spojrzał przez ramię na dwóch mężczyzn stojących po jego bokach - spojrzenie mieli twarde jak kamień.

- O co tu chodzi? - powtórzył słabo.

- To - warknął Vespucci - jest test.

- Co? - powiedział Cox, jakby nie dosłyszał.

- Test dla chłopaka, którego tak bardzo lubiłeś tłuc, twardej.

Oczy Coxa spoczęły na pistolecie leżącym na biurku i zaczął się wycofywać, jego stopy poruszały się niemal mimowolnie. Ale dwóch osiłków zablokowało mu drogę i przytrzymało go mocno za łokcie - nie mógł wykonać żadnego ruchu.

- Hej, zaraz, co to ma być...? O co tu w ogóle chodzi? On... zabił moją żonę. Powiedział wam o tym?

Jego głos zrobił się piskliwy.

Hap splunął na ziemię.

- Powiedział mi wszystko, co chciałem wiedzieć.

Nadal nie byłem w stanie wydobyć z siebie głosu... to zderzenie z przeszłością było jak porażenie prądem. Oto Cox, człowiek, który zmienił moje dzieciństwo w pasmo udręk, stał teraz przede mną. Jedyną rzeczą między nami był leżący na biurku pistolet.

Wtedy odezwał się Vespucci.

- Za dziesięć sekund ja i moi ludzie wyjdziemy stąd i zamkniemy drzwi. Na tym biurku leży pistolet. Gdzieś w tym pomieszczeniu są też naboje. Jutro rano wrócę, otworzę drzwi i tylko jeden z was przez nie wyjdzie. Jeśli otworzę je i zobaczę, że stoicie za nimi obaj, obu wam poderżnę gardła. Jutro rano żywy ma być tylko jeden z was.

Spojrzałem w twarz Coxa, wydałem z siebie odgłos, który musiał przypominać warknięcie i prawie czułem, jak Cox się kuli, szukając drogi ucieczki.

- To chyba jakiś żart. Nie mogę...

Zaczął protestować, ale wszyscy już się odwrócili i w milczeniu zmierzali w stronę wyjścia. Obaj staliśmy cicho, kiedy ryglowano drzwi. Żaden z nas nie drgnął, nie poruszył choćby jednym mięśniem; po prostu gapiliśmy się na siebie.

Potem, jakby ciężar milczenia zaczął go przygniatać, Cox sięgnął po broń. Rzuciłem się do przodu i zablokowałem go, zanim ją złapał. Runęliśmy na biurko, przewracając je, a pistolet poleciał na podłogę.

Rękami sięgnął do mojej twarzy, próbując wydłubać mi oczy; drapał mnie po twarzy. Obaj walczyliśmy o to, żeby się podnieść. Był większy ode mnie i kopał mnie tak mocno, że nie mogłem złapać równowagi. Mogłem zrobić tylko jedno - zacisnąć dłonie w pięści i okładać go po żebrach, po nerkach, raz, dwa, trzy razy, jeszcze i jeszcze. Może i miał przewagę masy, ale na podwórku w Waxham nauczyłem się wiele o sztukach brudnej walki. Musiałem go uderzyć pod żebrem, bo nagle stracił oddech i zsunął się na bok.

Poderwałem się, wzrok miałem lekko zamglony z napięcia i ruszyłem po broń. Złapał powietrze i wstał, ale pistolet już miałem w ręce.

- Dużo tym zdziałasz bez...

Ale zanim skończył, uderzyłem go pistoletem w twarz, wkładając w to tyle zaciekłości, że usta wypełniły mu się krwią. Upadł na podłogę. Zaczął się podnosić, więc uderzyłem go mocniej, z całej siły, i tym razem został na ziemi. Z gardła wydobyło mu się kilka słabych pisków, które szybko wybrzmiały w wielkim, pustym pomieszczeniu.

Pieprzyć naboje. Popatrzyłem na zardzewiałą maszynę do szycia, która wyglądała na nieużywaną od dziesięcioleci. Musiała ważyć ponad pięćdziesiąt funtów, ale kiedy dźwignąłem ją i ruszyłem w stronę pojękującej kupki na podłodze, wydała mi się lekka jak piórko.

Spojrzał na mnie, kiedy tak nad nim stałem, na jego zakrwawionej twarzy odbiło się przerażenie.

- Co... co ty wyprawiasz? - chlipnął.

- To za Pooleya - powiedziałem i zrzuciłem maszynę do szycia na jego głowę.

\*\*\*

Siedzę w swoim pokoju hotelowym w Filadelfii, oglądając występ Abe Manna w telewizji. Wyobrażam sobie, że tak właśnie będzie siedział za kilka tygodni od dziś, będzie oglądał siebie powtarzającego w kółko te same brednie. Że jest za prawami pracowniczymi, obniżeniem podatków i zniesieniem ulg dla bogaczy. Że jest za tym, aby kobiety miały prawo wyboru, za silniejszym wojskiem i pracą w domu. Ta sama populistyczna papka serwowana przez polityków co kilka lat.

Ma gardłowy głos; wydobywa się jakby z głębi płuc. To jeden z powodów, że odnosi takie sukcesy w polityce - dobrze wie, *jak* mówić, nawet jeśli nie wierzy w to, co mówi. I ma nowy gest - otwarta dłoń, palce rozstawione, podkreśla nią kluczowe słowa swojej wypowiedzi. Wariacja gestu wyliczania na palcach, wyciągania palca wskazującego, daje mu pewną władzę, jak staremu kaznodziei z Południa stojącemu za pulpitem. Łapię się na tym,

że nie słucham go. Powtarzam ten gest, patrząc, co robi podczas mówienia.

Dzwoni telefon, odbieram, zgłasza się Pooley.

- Czego się dowiedziałeś?

- Jak dotąd niewiele. Archibald Grant zniknął; od kilku dni nikt go nie widział.

- W takim razie ktokolwiek mnie wynajął, sprzątnął swojego pośrednika.

- Na to wygląda.

Myśli przelatują mi przez głowę.

- No to co dalej?

Pooley bierze głęboki wdech.

- Jeszcze pokopię, zobaczę, może trafię na jakiś ślad prowadzący od Granta do kogoś innego.

- Jesteś pewien, że chcesz to zrobić?

- Hej... ja też lubię czasem podnieść się zza biurka.

Uśmiecham się.

- Bądź ostrożny.

- Na pewno.

\*\*\*

Znów jestem w drodze, znów w swoim żywiole, w terażniejszości. Zmierzam do Ohio, zwanego stanem pola bitwy, gdzie Abe Mann spędzi trzy dni podczas swojej wyprawy... Cleveland, potem Dayton, potem Cincinnati. Głosy wyborców w tym stanie nie raz już przechylały szalę zwycięstwa, więc zadbanie o nich jest konieczne i oczekiwane. Próbuję sobie wyobrazić, co Abe Mann będzie czuł w tym punkcie kampanii. Zmęczenie? Irytację? Czy może poczuje się odnowiony, jak ja w tej chwili? Znów w terażniejszości.

W Cleveland jem lunch w restauracji „U Augustyna”. Jest ekskluzywna, jednak nie do końca, raczej udaje, że jest lepsza niż w rzeczywistości, niczym kobieta ze śladami po trądziku na twarzy, która nakłada zbyt dużo różu, aby ukryć blizny. Jedzenie jest bez

smaku. Para młodych ludzi przy stoliku obok rozmawia o nadchodzących wyborach i bez odwracania głowy słyszę każde ich słowo. Czy raczej słyszę każde jej słowo, bo dziewczyna dominuje w rozmowie.

- Uważam się za społecznie liberalną, ale ekonomicznie konserwatywną. Winston Churchill powiedział kiedyś, „jeśli jesteś młody i konserwatywny, to znaczy, że nie masz serca. Ale jeśli jesteś stary i jesteś demokratą, to znaczy, że nie masz pieniędzy”.

Mężczyzna po drugiej stronie stołu zakaszła.

- Ale ja mówię poważnie. Płacimy wysokie podatki i co za to mamy? Więcej marnotrawstwa w Waszyngtonie?

- Więc będziesz głosować na republikanów? - pyta mężczyzna.

- Nie, jeszcze nie jestem zdecydowana. Chcę posłuchać, co mają do powiedzenia kandydaci podczas konwencji i wtedy...

Mówi i mówi, jej głos jest jak kojący pomruk. Uderza mnie, że jest w tym samym wieku, w jakim byłaby Jake. Wiem, że nie powinienem odwracać głowy, wiem, że z całą pewnością nie powinienem nawiązywać kontaktu wzrokowego, ale w jej głosie jest coś, co obmywa mnie jak ciepła woda. Niezgrabnie zrzucam ze stołu widelec, który leci w stronę kobiety. Sięgamy po niego jednocześnie i przez sekundę patrzymy sobie w oczy. Nie wiem, co zobaczyła w moich, ale ja w jej twarzy widzę to, co mogłoby być.



# Rozdział piąty

Moim pierwszym płatnym zadaniem dla Vespucciego było zabicie kobiety. W niedzielne popołudnie, które spędziłem na spacerowaniu z Jake, czekał w moim mieszkaniu. Miał ponurą, poważną twarz.

- Columbus, wiesz, czym jest słup?

Nazywał mnie Columbosem odkąd drzwi do Columbus Textiles stanęły otworem po tym, jak rozwaliłem czaszkę Coxowi.

- Nie, proszę pana. Nie przychodzi mi na myśl żadne inne znaczenie poza tym, które znam.

- Ja jestem słupem. Słup to pośrednik. Ktoś pomiędzy. Rozumiesz?

Popatrzyłem na niego z całkowitym brakiem zrozumienia.

- Zostałem wynajęty przez pewnych ludzi, którzy chcą zlecić zabójstwo. Dali mi nazwisko celu. Zadaniem słupa, czyli moim, jest zebranie jak największej liczby informacji. Wtedy z kolei ja zlecam pracę jednemu z moich zawodowców. Zawodowiec nigdy nie spotyka się z klientem. To moja działka. Rozumiesz?

- Chyba tak.

- Dobrze, Columbus. Szybko się... uczysz.

- A ja jestem pańskim zawodowcem?

Zachichotał krótko.

- Jeszcze nie. Jesteś... jakby to powiedzieć... dublerem, jak w teatrze. Nauczysz się swojej roli i w razie konieczności będziesz gotowy zająć miejsce aktora. Dostaniesz pieniądze tylko wtedy, kiedy sprzątniesz cel. A kiedy już dostaniesz zapłatę - na jego twarzy

pojawił się szeroki uśmiech - cóż, wtedy pewnie będzie cię można uznać za zawodowca.

Poszedłem do kuchni i wyciągnąłem z szuflady pudełko krakersów. Ale tylko stałem z tym pudełkiem, obracając je w dłoniach.

- A jeżeli nie byłbym zainteresowany rolą jednego z pańskich profesjonalistów?

Odkasznął, zasłaniając usta pięścią, a uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Bóg dał ci wolną wolę. Nie mam zamiaru ci jej zabierać. Jednakże, Columbusie, spojrzałem w twoje oczy. Widziałem dzieciństwo sieroty; czułem, jak twoje dłonie zaciskają się w pięści. Jesteś zabójcą. Jak to się mówi... urodzonym zabójcą. Ten opuszczony magazyn cię nim nie zrobił. Byłeś nim, zanim w ogóle podniosłeś tę maszynę do szycia. Ja jedynie pomogłem ci zobaczyć, kim jesteś.

Odstawiłem pudełko krakersów na blat kuchenny. Dzwoniło mi w uszach i nie byłem pewien, czy to ze strachu, czy też dlatego, że z ust czarniawego Włocha usłyszałem słowa prawdy.

- Hap coś w tobie dostrzegł... dostrzegł tę cechę. Dostrzegł ją... instynktownie. Już po jednej rozmowie z tobą uznał, że mógłbyś wykonywać tę pracę.

- To znaczy, że on pracuje dla pana?

- Wielu ludzi dla mnie pracuje.

Patrzył na mnie uważnie przez chwilę, oceniał mnie.

- Mam przecucie. Mam przecucie, że i tak bym cię znalazł. To jest kwestia... jak to mówicie... przeznaczenia? Tak? To powoduje, że nasze ścieżki krzyżują się w niepojęty sposób.

Przerwał, machając ręką, jakby utknął na ciemnej ulicy i teraz chciał zmienić kierunek. Podał mi tekturową kopertę, taką, jakie znaleźć można w każdej szafce biurowej. Zwykłą, gładką, tekturową kopertę, dwadzieścia pięć na trzydzieści trzy centymetry, ciężką i sztywną.

- Przeczytaj to - powiedział - a potem pogadamy. Pewnie jutro.

\*\*\*

Spędziłem kilka godzin nad zawartością koperty, przejęty jak osoba, której zaufano w delikatnej i niebezpiecznej sprawie. Na pierwszej stronie widniało nazwisko wydrukowane dużą, czarną czcionką: Michael Folio. Był tam też adres: 1022 South Holt Ave., i opis: sto osiemdziesiąt siedem centymetrów wzrostu, waga dziewięćdziesiąt kilogramów, średnia budowa ciała, włosy szare, okulary w drucianej oprawce, brak tatuaży, brak znaków szczególnych. I jeszcze coś: „Michael ma tik nerwowy, jego górna warga marszczy się w prawym kąciку ust. Nie ma krewnych poza siostrą, Carol Dougherty, która mieszka w Kolumbii Brytyjskiej. Jej mąż to Frank Daugherty, hydraulik, mają dwoje dzieci, Shawn, lat dziesięć, i Carla, lat osiem. Od ponad siedmiu lat nie utrzymują kontaktu z Michałem”.

Następna strona zawierała szczegółowy opis biura Michaela: „Prawnik procesowy w kancelarii Douglas&Thackery. Biuro znajduje się na piątym piętrze pięciopiętrowego kompleksu biurowego znanego jako The Meadows. Firma zatrudnia 25 pracowników. Są to: Carol Santree, recepcjonistka...”. Tego typu rzeczy. Na trzeciej stronie był plan biura z zaznaczeniem miejsca pracy każdego pracownika. Czwarta strona była chronologiczną listą miejsc, w których Michael przebywał w ciągu ostatnich trzydziestu dni: „8 rano, cel wychodzi z domu, kieruje się na zachód w stronę ulicy Holt. Zatrzymuje się w Starbukcs na rogu Holt i Landover. 8.15 wychodzi ze Starbukcs i dalej zmierza na zachód ulicą Holt, aż do Highway 765, gdzie skręca na północ”.

I tak przez jakieś trzydzieści stron. Zaczęło do mnie docierać, ile czasu i energii zajęło stworzenie opisu, który miałem w rękach. Po co miałbym wiedzieć, że młodszy partner w jego firmie nazywa się Sam Goodwin? Że często jada lunch sam w Olive Garden? Że trasę, jaką jeździ do pralni, skraca sobie przez Romero Street? Jednak odpowiedź była oczywista... po to, abym ja, zabójca przydzielony do zlikwidowania Michaela Folio, mógł dokładnie zaplanować zamach i ucieczkę. Skoro wiem, kiedy kończy posiłek w Olive

Garden, i że wychodząc, spędza sporo czasu w ubikacji, mogę się na niego zasadzić w toalecie. Skoro wiem, że nie rozmawiał ze swoją siostrzenicą i siostrzeńcem od siedmiu lat, mogę udawać ich przyjaciela i „wpaść” na niego przy pralni. Zyskać jego zaufanie i dać się zaprosić do domu. Możliwości były nieskończone, ale tylko dzięki temu, że miałem informacje pieczołowicie zebrane przez Vespucciego.

To właśnie wtedy zaczęło się uzależnienie. Studiowałem te strony tak, jakbym czytał świętą księgę, w każdą linię wpatrywałem się godzinami, aż życie Michaela Folio wbiło mi się w pamięć. Złapałem się na tym, że właściwie nie myślę o niczym innym i czekam na telefon.

\*\*\*

Jedliśmy lunch, kiedy go zobaczyłem. Jake zamówiła paluszki chlebowe i sałatkę. Przekopywała się przez swój posiłek, podczas gdy ja czekałem na zamówiony makaron.

- Chciałabym, abys pojechał ze mną do domu na święta - powiedziała, spoglądając na mnie spod rzęs.

- Myślałem, że nie jesteś zainteresowana spotkaniami ze swoją rodziną.

- Też tak myślałam. I nie wiem dlaczego, ale są moją rodziną i z jakiegoś niewyjaśnionego powodu czuję się zmuszona odwiedzać ich w święta. Może powinnam powiedzieć coś o naturze i dojrzałości, i takich tam socjologicznych bzdurach, o których uczyłam się na pierwszym roku. Jeśli nie chcesz jechać, to nie musisz... zrozum.

- Dlaczego miałbym nie chcieć? Uśmiechnęła się.

- Nie wiem. Po prostu tak założyłam...

- Wciąż mnie nie rozgryzłaś, co? - powiedziałam.

- Za każdym razem, jak tylko pomyślę, że mi się udało, rzucasz mi podkręconą piłkę.

Znów zajęła się jedzeniem, ja spojrzałem na drzwi i wtedy go zobaczyłem. Michael Folio. Człowiek z koperty. Człowiek, który umrze, gdy tylko Vespucci wyda polecenie. Czekał przy stanowisku recepcjonistki, potem uniósł jeden palec, hostessa przytaknęła i poprowadziła go do stolika w połowie drogi między łazienką a miejscem, gdzie siedzieliśmy z Jake. Celowo wybrałem stolik, przy którym mogłem siedzieć plecami do ściany. W ten sposób miałem widok na całą restaurację.

Jake znów zaczęła mówić, ale nie słyszałem ani słowa poprzez narastający w uszach szum, kiedy patrzyłem na Michaela Folio - nie na zdjęcie w dokumentach, ale na żywego, oddychającego człowieka. Usiadł i zaczął studiować menu.

Jake odwróciła głowę, żeby zobaczyć, co mnie tak zaabsorbowało. Prawdopodobnie myślała, że zagapiłem się na jakąś kobietę, ale zobaczyła tylko mężczyznę w garniturze i krawacie.

- Znasz go? - powiedziała.

Potrząsnąłem głową.

- Słucham?

- Ten mężczyzna... patrzyłeś na niego, jakbyś go znał.

- Tak? - roześmiałem się. - Zagapiłem się w przestrzeń i zastanawiałem, gdzie do diabła jest mój posiłek.

Udało się. Znów zaczęła mówić o swojej rodzinie, przyniesiono mój lunch, owijałem nitki makaronu wokół widelca i próbowałem się skupić, ale co kilka sekund spoglądałem na oddychającego trupa, siedzącego samotnie na środku restauracji.

Wreszcie przeprosiłem i poszedłem do toalety. Po drodze musiałem go minąć. Zerknąłem na niego, przechodząc, ale tego nie zauważył. Czytał „Przegląd Sportowy” i był bardzo zaabsorbowany artykułem.

W łazience gapilem się na siebie w lustrze, próbując opanować drżenie. To było nowe odczucie; czułem jakby elektryczność, coś jak przecucie nadchodzącej burzy. Obmyłem twarz wodą i wycierałem oczy, kiedy drzwi do łazienki otworzyły się z hukiem.

Niejasno spodziewałem się, że wejdzie przez nie Michael Folio; w gruncie rzeczy tak zaplanowałem swoje wyjście, aby spotkać się

z kelnerką niosącą mu rachunek. Ale zamiast Folio zobaczyłem potężną postać Vespucciego. Świdrował mnie wzrokiem, jakby chciał mnie unieść i cisnąć przez pomieszczenie.

- Co ty robisz? - warknął zduszonym głosem.

- Nic. Ja...

- Miałeś nie robić nic, dopóki nie wydam ci rozkazu. To, co tu robisz, to nie jest nic!

- Odrabiam zadanie domowe na wypadek, gdyby pan zadzwonił.

- Zadanie domowe? Nie wciskaj mi kitu.

- To nic poza tym.

- Co to za dziewczyna?

- Co? Po prostu znajoma.

- Lubisz ją?

- To po prostu dziewczyna, panie Vespucci.

- Porozmawiamy o tym później. Zapłać rachunek i zjeżdżaj do domu.

Wiedziałem, że to nie był dobry moment na dyskusję. Kiwnąłem głową, przemknąłem koło niego i wróciłem do restauracji. Folio już zniknął. Jake patrzyła na mnie zatroskana, kiedy zbliżałem się do naszego stolika.

- Co się dzieje?

- Nie czuję się dobrze.

- Oj, przykro mi. Myślisz, że to ten makaron?

- Nie wiem. Po prostu chodźmy stąd.

Wstała ze współczuciem na twarzy.

- Idź do samochodu. Ja zapłacę.

Zawiozła mnie do domu, a ja udawałem, że mam mdłości. To nie było trudne, wystarczyło pomyśleć, jak zirytowany był Vespucci, jak płonęły mu oczy, gdy wszedł do łazienki. Wysadziła mnie z samochodu, a ja zaprotestowałem, nie chciałem, żeby odprowadzała mnie na górę... powiedziałem, że chcę być sam i przeczekać. Niechętnie pozwoliła mi iść i zarejestrowałem jeszcze, że minęło kilka minut, zanim odjechała.

\*\*\*

Vespucci nie pojawił się tamtej nocy ani następnego dnia, ani jeszcze następnego. Kilka razy rozmawiałem z Jake i powiedziałem, że to tylko grypa żołądkowa, że wszystko będzie w porządku, że jestem osłabiony i że nie chcę się z nią spotykać przez kilka dni. Chciała się mną zająć i myślę, że moje wykręty sprawiły jej przykrość. Sądzę, że wtedy w jej głowie mogło po raz pierwszy zakiełkować pytanie, dokąd zmierza nasz związek.

Przez cały dzień miałem włączone radio, taki szum, którego nie słuchałem, a który zabijał mękę czekania. Dlatego właśnie początkowo nie dotarło do mnie doniesienie o prawniku zastrzelonym przy swoim biurku na piątym piętrze Meadow Office Complex w północnej części miasta. Słowa reportera były tylko pomrukiem, przez który nagle przebiło się nazwisko „Michael Folio”. Poderwałem się jak do pożaru i pognałem do radia, podkreślając dźwięk tak mocno, jak tylko się dało. Reporter mówił o snajperze, tutaj, w Bostonie. Policja utrzymywała, że wystrzelony z dachu sąsiedniego budynku pocisk trafił ofiarę tuż nad prawym uchem. Michael siedział przy swoim biurku i przeglądał akta. Jego asystent usłyszał dźwięk tłukącego się szkła, pobiegł do biura i zastał szefa leżącego na biurku w kałuży krwi. W tej chwili nie było więcej informacji.

Właśnie wtedy otworzyły się drzwi i do środka wszedł Vespucci. Wskazał podbródkiem radio.

- Słyszałeś?

Kiwnąłem głową.

- Co to była za dziewczyna?

- Widuję się z nią.

- Pozbądź się jej.

- Dlaczego?

- Nie pytaj. Doskonale wiesz i bez tego.

Rzucił na blat kolejną kopertę i usiadł na stołku barowym.

- Panie Vespucci... to, co robisz w wolnym czasie, to moja sprawa... nie mam nic przeciwko...

Przerwał mi.

- Myślisz, że tylko ty nadajesz się do tej roboty? Że tylko ty możesz zostać profesjonalistą?

- Ja nie...

- Oto powody, dla których cię wybrałem. Po pierwsze. Nie masz matki ani ojca. Po drugie. Nie masz matki ani ojca. Czy wyrażam się zrozumiale? Tak?

Stałem tam z piekącymi policzkami.

- Związki są słabością. W tej pracy nie ma miejsca na słabości. W przeciwnym razie, zapewniam cię, zostaną odkryte i wykorzystane.

- Przez kogo?

- Przez kogo? - parsknął. - Zapomniałem, jaki z ciebie dzieciak. Teraz jesteś częścią biznesu, w którym zabija się ludzi. Kobiety i dzieci także, jeśli takie będzie zlecenie. W tej pracy ma się wrogów. Stróżów prawa, członków rodzin osoby, którą zabiłeś, swoich rywali w tym zawodzie. Tak. Zgadza się. Nie jestem jedynym słupem w tym kraju; nawet nie w tym mieście. Są inni, którzy zrobią wszystko, żeby cię powstrzymać. A oni znajdują tę dziewczynę i wykorzystają ją. To masz jak w banku.

- Ona jest pierwszą dziewczyną...

- Co? Której na tobie zależy? Która cię kocha? Pff... Columbus, powiem ci coś... ona jest tylko ciężarem, ogranicza cię, zabiera ci przestrzeń. Musisz się jej pozbyć. Powiedz jej, że więcej się nie zobaczycie. Nie mogę dać ci lepszej rady.

- Rozumiem.

- Czyli doszliśmy do porozumienia, tak?

- Powiedziałem, że rozumiem.

Powiedziałem to z pasją. Patrzył na mnie przez długi czas, oceniając, próbując przeniknąć moje myśli. Odwróciłem oczy i podniosłem kopertę.

- Co to takiego?

- Twój następny cel.

- Czy tym razem dostanę szansę pokazania swoich możliwości? Vespucci wstał.



- To nie zależy ode mnie.
  - W takim razie od kogo?
  - Pewnie od Boga. Zapoznaj się z dokumentacją - ruszył w stronę drzwi. - I zapomnij o tej dziewczynie, Columbusie.
- Nie czekając na moją odpowiedź, przeszedł szybko przez hol.

\*\*\*

Nazwisko ukryte w drugiej kopercie brzmiało Edgar Schmidt, policyjny detektyw. Nie powiedziano mi, że mam go zabić, ale trzy tygodnie później przeczytałem o jego śmierci na pierwszej stronie „Globe”. W trzeciej kopercie było nazwisko Wilsona Montgomery'ego, hydraulika, który miał konszachty z mafią. Zmarł tydzień później, chociaż nigdy nie dowiedziałem się, w jaki sposób. Czwarta koperta poświęcona była niejakiemu Seamusowi O'Dooleyowi, właścicielowi klubu nocnego. Został zastrzelony w alejce za swoim domem.

Studiowałem wszystkie te akta z niesłabnącą intensywnością. W gruncie rzeczy to, że nie wzywano mnie do zadania sprawiało, że jeszcze bardziej skupiałem się na następnych dokumentach.

Ale nie zapomniałem o dziewczynie - wbrew temu, co nakazał mi Vespucci. Chciałem go zadowolić, ale nie chciałem odrzucać jedynej części mojego życia, która miała jakieś znaczenie. Więc kiedy nadeszły święta, Jake i ja wsiedliśmy do jej małej hondy i pojechaliśmy do New Hampshire.

Jej rodzina powitała nas w drzwiach. Ojciec, Jim, ujął moją rękę i ścisnął ją ciepło, prowadząc nas do środka. Na kominku płomienie lizały osłonę, która utrzymywała polana w palenisku. Rustykalny dom wypełniony był drewnianymi meblami, jak wiele innych domów stawianych na wiejskich terenach Nowej Anglii. Większą część salonu zajmowała brązowa, skórzana sofa, a dom wydawał się równie ciepły, jak ogień. To był dom, prawdziwy dom, coś, czego nigdy nie miałem.

    Matka Jake, Molly, z uśmiechem przyjrzała się mojej twarzy.

- Jim, nie stój tak - powiedziała. - Weź jego bagaż. Umieścimy cię w pokoju Louisa. W nocy robi się tam trochę chłodno, ale dostaniesz dodatkowe koce i owiniesz się jak w kokon.

Wydawało się, że kiedy matka Jake raz otworzy usta, wylewa się z nich niepowstrzymany potok słów.

Jake uśmiechnęła się i wywróciła oczami, jakby mówiła „próbowałam cię ostrzec...”.

\*\*\*

Jedzenia na stole było tyle, że dałoby się nakarmić tuzin ludzi; brzoskwinie owinięte w prosciutto, sałatka z endywią i gruszkami na ciepło, szynka pieczona w miodzie, pieczona fasola i co najmniej trzy ciasta czekające na mniejszym stoliku: tarta dyniowa, keks i biszkopt.

- Jake powiedziała nam, że pracujesz w firmie dystrybucyjnej? - zapytał Jim, kiedy napelniliśmy talerze.

- Tak, proszę pana. To tylko na początek, aż zbieram dość pieniędzy, aby pójść do szkoły.

- Och? - powiedziała Molly, był to bardziej komentarz niż pytanie.

- Tak, proszę pani. Nie...

Jake przysłała mi na ratunek.

- Mamo...

- Co? Nic nie powiedziałam.

Spojrzałem na Jake i kiwnąłem głową, jakbym miał to pod kontrolą.

- Moi rodzice zmarli, kiedy byłem dzieckiem i dorastałem w rodzinach zastępczych, jakkolwiek trudno byłoby tam znaleźć ludzi, których można by nazwać „kochającymi”. Chciałbym więc pójść do college'u i sam za to zapłacić. A że nie wierzę w kredyty rządowe, to, jak powiedziałem, zbieram pieniądze.

Jim rzucił żonie surowe spojrzenie, a potem popatrzył na mnie.

- Cóż, uważam, że jest to podejście godne podziwu.

Zgrabnie zmienił temat.

- Co myślicie o przejażdżce do Nashua? Jake zawsze lubiła boczne drogi, ale ja od lat powtarzam, że autostradą jest znacznie szybciej...

- Jezu, tato, nie rób mi wstydu! - pisnęła radośnie i rzuciła w niego serwetką.

Rozmowa toczyła się na przyziemne tematy, a Molly nie pozwoliła, aby ktoś przejął nad nią kontrolę. Gadała bez przerwy... nie jestem nawet pewny, czy robiła przerwy na wzięcie oddechu. Ale byłem zachwycony każdą chwilą... jedzeniem, rozmową, rodziną i tym, że Jake pod stołem trzymała mnie za rękę. Ścisnęła ją dwa razy, jakby mówiła „kocham cię” i wierzyłem, że tak jest, wierzyłem w to tak, jak nigdy w nic nie wierzyłem. I zacząłem myśleć, że tak mogłoby być, Jake i ja, trzydzieści lat później, rozmawiający przy stole z własnym dzieckiem i jego partnerem. Mogłoby tak być.

\*\*\*

Zapaliłem sobie światło przy łóżku, żeby poczytać najnowsze akta przekazane mi przez Vespucciego, zanim wyjechałem. Wróciłem wtedy z ciężkiej zmiany - czekał na mnie w holu, ale nie zaprosiłem go do środka. Nie wiem, dlaczego tego nie zrobiłem, nie wiem nawet, czy się tym przejął. Po prostu przez sekundę wpatrywał się w moją twarz, a nie doczekawszy się zaproszenia, odwrócił się i poszedł. Miałem wrażenie, że on wie, iż nadal spotykam się z Jake, a w najbliższy weekend wybieram się za miasto, ale nie odezwałem się, aby to potwierdzić. Do diabła, jeśli chciał, żebym dla niego zabijał, to w porządku. A jeśli nigdy więcej nie podjąłby tego tematu, to też dobrze.

Akta dotyczyły Janet Stephens. Była sędzią w Piątym Sądzie Obwodowym Miasta Bostonu. Nie była mężatką, ale pozostawała w związku z prawniczką Mary Gibbons. Mieszkała w domku w Black Bay, w pobliżu Beacon Street, z psem corgi o imieniu Dusty. Sąd znajdował się w centrum, dwadzieścia minut piechotą od jej bramy.

Zdjęcie Janet przedstawiało kobietę w średnim wieku, z szerokim czołem i kakaową skórą. Jej ojciec był czarny, matka biała, ona zaś miała ten przepiękny odcień skóry często spotykany u potomstwa z mieszanych związków. Oczy miała przeszywająco zielone, a ciemne włosy w ciasnych skrętach sięgały jej do podbródka. Miała jednak nieproporcjonalnie duży nos, szpecący dość urodziwą twarz. Miała też ładną figurę, efekt ciężkiej pracy z osobistym trenerem i intensywnych treningów kardio. Sala treningowa, w której ćwiczyła, znajdowała się w połowie drogi między jej domem a sądem.

Nie wiedziałem, czy ktoś chce się jej pozbyć dlatego, że wsadziła do pudła niewłaściwego człowieka, czy może dlatego, że miała prowadzić ważny proces. Może zlecenie na jej życie nie miało nic wspólnego z wykonywaną pracą. Po prostu nie wiedziałem. Mój pośrednik pilnował, abym pozostawał w niewiedzy. Trzymałem ciekawość na wodzy, jak złego psa na smyczy. Im mniej dostajemy odpowiedzi na pytanie „dlaczego”, tym mniejszą mamy pokusę, aby dowiadywać się więcej o naszych klientach. To było tylko zlecenie, nie osobistego, coś, co miałem wykonać bez namysłu.

Byłem pogrążony we śnie bez marzeń sennych, kiedy ciemności przebił głos Jima. Powiedział coś o telefonie i chwilę trwało, zanim do mnie dotarło, że stoi z drzwiami ze słuchawką bezprzewodową w ręce.

- Słucham...? - powiedziałem, wciąż próbując oprzytomnieć.
- Dzwoni do ciebie pewien dżentelmen. Mówi, że to pilne.

Przebudzenie w tym łóżku, w tym pokoju, o tej porze było tak zaskakujące, że kiedy usiadłem, a Jim podał mi telefon, nie docierało do mnie, co się dzieje. Wyszedł z pokoju, aby zapewnić mi trochę prywatności.

- Halo? - powiedziałem do słuchawki, wzrokiem próbując przebić ciemność.

Z słuchawki dobiegł głos Vespucciego.

- Zaczynasz.

Vespucci. Znalazł mnie. Dokładnie wiedział, gdzie byłem, ustalił nawet numer do domu rodziców Jake. Pośrednik, słup, którego zadaniem było zbieranie informacji o celu, dowiedział się również wszystkiego o mnie. Te myśli w jednej chwili przemknęły mi przez głowę i pierzchy, a wtedy Włoch znów się odezwał.

- Dwadzieścia cztery godziny.

I połączenie zostało zerwane.

Zaczynasz. Dwadzieścia cztery godziny. Cztery słowa brzemienne znaczeniem, które rozciągało się od tej sypialni aż do domu w pobliżu Beacon Street. Wstałem rozbudzony, jakby pod nos podsunięto mi sole trzeźwiące, i zacząłem się ubierać.

Gdy wyszedłem z sypialni, niosąc swój bagaż, pojawił się Jim z dwoma kubkami parującej kawy.

- Przykro mi, że ten telefon pana obudził.

Podał mi kubek.

- Cierpię na bezsenność - powiedział, pociągając łyk kawy. - Zwykle wstaję przed czwartą. Mam przez to dużo czasu na myślenie.

- Która jest teraz godzina?

Kawa była bardzo dobra.

- Czwarta - powiedział, mrugając okiem. - Musisz jechać?

- Tak, proszę pana. Coś wypadło w pracy. Muszę kogoś zastąpić.

- Żaden problem. Weź kubek ze sobą.

- Nie mogę...

- Nie wygłupiaj się.

Wtedy w pokoju rozległ się głos Jake.

- Co się stało?

Wyglądała pięknie w zbyt dużej koszuli, stojąc i trąc oczy jak dziecko. Patrzyłem na nią i żalowałem, że muszę ją zostawić.

- Przepraszam... dostałem pilną wiadomość. Wszyscy się nagle pochorowali i muszę jechać do pracy. Pewnie to jakaś grypa. Ale mówią, że jeśli dotrę przed siódmą, zapłacą mi podwójnie. Nie mogę przepuścić takiej okazji.

Ziewnęła i popatrzyła na ojca.

- Jest jeszcze kawa?

- Pół dzbanka.
- No to nalej mi kubek, a ja się ubiorę, staruszku.
- Nie musisz się zrywać. Zadzwońię po taksówkę i pojedę do wypożyczalni samochodów. Firma płaci.

Podeszła i na oczach ojca pocałowała mnie w usta.

- Nie bądź głupi - powiedziała jak jej ojciec. - Zawiozę cię. Tatu... przepróż za nas mamę.

\*\*\*

Większą część drogi rozmawialiśmy o nieszkodliwych sprawach... o tym, jakie wrażenie zrobili na mnie jej rodzice, o okolicy, domu, łóżku, kolacji. Cieszyłem się, że nie muszę się koncentrować na tym, o czym mówimy; w myślach przeglądałem akta, które miałem w plecaku.

Przed moją klatką schodową pocałowałem ją w policzek, wymamrotałem kilka słów podziękowania i bez oglądania się pobiegłem do swojego mieszkania. Serce waliło mi tak, jakbym został porażony prądem. Otworzyłem szafę i wybrałem parę brązowych spodni i białą koszulę z długimi rękawami. Na nią włożyłem granatowy blezer. W tej samej chwili pięćdziesiąt tysięcy mężczyzn w całym Bostonie wkładało takie same ciuchy. Nic zapadającego w pamięć, nic wyraźnego. Taki sposób ubierania się, postawa i sposób poruszania się sprawiają, że ludzie patrzą na ciebie i nawet nie zauważają twojej obecności. Tej umiejętności chłopcy szybko uczą się w Waxham, jednak jestem pewien, że był inny powód, dla którego Hap zarekomendował mnie Vespuciemu.

Otworzyłem aktówkę, którą trzymałem pod łóżkiem. W środku znajdowały się narzędzia mojej pracy, które dostałem od Vespuciego po wyjściu z fabryki Columbus Textiles: półautomatyczny glock 17; pudełko dziewięćmilimetrowych naboí z wydrążonymi czubkami; ząbkowany nóż z antypoślizgową rękojeścią; plik fałszywych dokumentów, kart kredytowych i wizytówek. W razie, gdybym wpadł, trudno byłoby ustalić moją tożsamość, co dałoby

Vespucciemu dość czasu na zatarcie śladów; prawdopodobnie po prostu spaliłby to mieszkanie.

Nie zasłużyłem jeszcze na karabin snajperski i choć obecnie jestem dość dobry w strzelaniu z niego, nie jest to mój ulubiony *modus operandi*. Jest takie powiedzenie branżowe, że im bardziej możesz zbliżyć się do celu, tym lepszym jesteś zabójcą, ale ja uważam, że to powiedzenie jest nieuzasadnione. Bywa, że najgłupszy zabójca na świecie staje pół metra od celu i naciskają spust, a bywa, że najbardziej utalentowani strzelcy są w stanie trafić w cel z odległości pięciu przecznic. Zabójca zbyt blisko celu może być zmuszony radzić sobie z zaskoczonymi świadkami, podczas gdy strzelec wyborowy musi wziąć pod uwagę prędkość, natężenie światła słonecznego, pogodę, przeszkody i przypadkowych obserwatorów. Każde z podejść wymaga wielkich umiejętności. Cała sztuka polega na tym - wiedziałem to nawet ja, kompletny żółtodziób - aby zająć możliwie najwygodniejszą pozycję... w sensie umiejscowienia celu, zabicia go i ucieczki z miejsca zbrodni zaraz po zamachu.

Stałem na przystanku autobusowym na Beacon Street, czytając „Globe”, jak każdy inny człowiek znudzony dojazdami do pracy, raz po raz spoglądałem na zegarek i mruczałem coś do siebie. Drzwi domu otworzyły się i Janet Stephens wyszła ubrana w granatową sukienkę i białe trampki, odpowiednie na krótki spacer do sądu.

Kiedy tylko weszła na ulicę Common, złożyłem gazetę, wetknąłem ją pod pachę i ruszyłem za nią w odległości trzydziestu jardów, dostosowując mój krok do jej tempa i nie zmieniając dzielącej nas odległości. Miałem graniczące z pewnością przecucie, że Vespucci mnie obserwuje niczym Bóg, by się przekonać, czy jego nowy nabytek udźwignie ciężar pierwszego zlecenia.

Janet minęła parę turystów przyglądających się rzeźbie kaczki, a potem skręciła w lewo, w jedną ze ścieżek przecinających park. Szła dość szybko, nie aż tak, aby się spocić, ale wystarczająco szybko, bym musiał niezłe wyciągać nogi. Czulem, jak w uszach narasta mi bicie tętna, waliło jak bęben, łup, łup... Gdy wyciągnęła

ramiona, wyraźnie zobaczyłem jej szerokie plecy, szersze, niż to opisano w dokumentacji i z pewnością dosyć szerokie, aby w nie trafić i roztrzaskać kręgosłup, nawet z odległości prawie trzydziestu metrów.

Wyszła z parku i na przejściu dla pieszych zwolniła. Czerwone światło zmusiło ją do zatrzymania się, a czekając na zmianę, pochyliła się i zawiązała sznurowadło. Nie miałem wyjścia, również stanąłem na przejściu; było tam kilku innych pieszych, więc nie byliśmy sami.

Nadal czułem się, jakby skierowano na mnie ogromny reflektor. Popatrzyłem na biznesmena przed sobą i skoncentrowałem się na plecach Janet Stephens stojącej niewiele ponad pół metra ode mnie. Przykucnęła, materiał jej sukienki powiewał lekko, kiedy zawiązywała sznurowadło. Tylko dwie stopy. Glock na moich żebrach ukryty pod luźnym blezerem wydawał się ciężki. Prawą dłońią podrapałem się po brzuchu, ot, zwykły gest, a potem sięgnąłem głębiej, jakbym drapał się po żebrach. Czułem pod palcami zimną lufę. Teraz. Mogę to zrobić właśnie tutaj, na skraju parku, wyciągnąć pistolet, a potem...

Światło zmieniło się na zielone. Janet poderwała się i szybko ruszyła przed siebie. Przepuściłem innych pieszych i czekałem, aż odzyskam dogodną odległość. Wciąż byłem około trzydziestu metrów z tyłu. Janet Stephens zniknęła na schodach prowadzących do budynku sądu.

Czy Vespucci patrzył? Czy widział, jak się zawahałem i odnotował to w pamięci, a może nawet zaznaczył w notesie? Czy mnie ocenia, właśnie w tej chwili? „Columbus się zawahał. Zaprzepaścił możliwości. Musimy się go pozbyć przy pierwszej okazji”.

Odepchnąłem od siebie te myśli, ruszyłem w dół ulicy i wszedłem do koreańskiego sklepu... był ciemny i brudny jak nora susła. Półki pokryte warstwą kurzu od miesiący nie widziały mokrej szmaty. Wziąłem pudełko z folią spożywczą i upuściłem je na ziemię, jakby wyślizgnęło mi się z palców. Błyskawicznie wyciągnąłem broń z kabury i wsunąłem ją w szczelinę pod najniższą półką. Schowałem tam także nóż. Kiedy skończę, pewnie będą



potrzebowali solidnego sprzątanania, ale nie martwiłem się, że Koreanka znajdzie je podczas zamiatania. Myślałem, że miotła nie dotknie podłogi od wieków. Bezpiecznie umieściłem w schowku pistolet i nóż, jakby nigdy nic podniosłem pudełko, zaniósłem je do kasy, zapłaciłem, aby nie wzbudzać podejrzeń i wyszedłem na zewnątrz.

Wejścia do sądu strzegł wykrywacz metalu obstawiony przez trzech ochroniarzy. Położyłem moją świeżo zakupioną folię oraz klucze na tacy i nie podnosząc wzroku, przeszedłem przez bramkę wykrywacza. Odbierając swoje rzeczy, nie patrzyłem ochroniarzom w oczy, po prostu je zabrałem i poszedłem w stronę wind, gdzie zebrał się mały tłumek. Z akt wiedziałem, że sala rozpraw sędziny Janet Stephens znajduje się na szóstym piętrze. Wiedziałem także, że sędzina Janet Stephens nigdy nie korzysta z windy; zawsze wchodzi po schodach, co jest częścią jej reżimu treningowego.

Właśnie wtedy w holu zagrział szorstki głos: „Sędziowie przysięgli stawią się na szóstym piętrze. Na końcu korytarza po prawej. Sędziowie przysięgli, szóste piętro, koniec korytarza na prawo”.

Popatrzyłem na tłumek, zróżnicowaną grupę pustych spojrzeń, na ludzi, którzy wyglądali, jakby woleli być gdzie indziej. Taki tłum, w którym możesz siedzieć przez cały dzień i nikt cię nie zapamięta.

Sala obrad była ogromna i znajdowało się w niej przynajmniej pięćset osób. Mieliśmy wypełnić formularze i oddać je administratorce, która wpisywała nazwiska do tabeli. Usiadłem na końcu sali, nie wypełniając niczego. Chciałem jedynie pozostać anonimowy i pilnować czasu. Jedenasta trzydzieści. Z akt wiedziałem, że Janet Stephens zazwyczaj o tej porze zarządza przerwę.

Sala sądowa opustoszała. Zmitrężyłem pół godziny, kręcąc się po korytarzu, ale nietrudno było zlać się z otoczeniem. Na szóstym piętrze znajdowały się jeszcze trzy inne sale rozpraw, a ludzie przemykali w tę i z powrotem jak myszy uciekające przed światłem. Nikt nie chciał być widziany i nikt nie chciał patrzeć na nikogo. Hol

był cichy jak muzeum; czasem tylko postukiwały obcasy żon i dziewczyn oskarżonych, które próbowały wyglądać jak najlepiej dla swoich mężczyzn i dla przysięgłych. Wszyscy mówili szeptem, jakby okazując szacunek temu miejscu mogli sobie zapewnić uczciwe traktowanie.

Pracownicy sądu - sędziowie, prawnicy, stenografki, pomocnicy szeryfów - gdy tylko otwierają się drzwi sali rozpraw, spieszą w stronę wind, aby skorzystać z godzinnej przerwy na lunch. Poszedłem na klatkę schodową, szybko zszedłem na piąte piętro i czekałem. Potrzebowałem odrobiny szczęścia, tylko odrobiny.

Po kilku minutach usłyszałem, jak na piętrze otwierają się drzwi na schody. Z akt wiedziałem, że Janet Stephens lubi jeść lunch w delikatesach w północno-zachodniej części budynku. Zawsze zamawia warzywa gotowane na parze i brązowy ryż, je sama i jednocześnie przekopuje się przez poranną porcję dokumentów. Wiedziałem również, że zawsze wybiera schody zamiast windy. Właśnie taka rutyna - nużąca, nudna, normalna ludzka rutyna - sprawia, że łatwo być zabójcą.

Usłyszałem odgłos otwieranych drzwi, a potem miękkie skrzywienie białych tenisówek na betonowych schodach. W uszach słyszałem własne serce, które waliło jak indiańskie tam-tamy, ŁUP, ŁUP, ŁUP, ŁUP, ŁUP. Wziąłem głęboki wdech, starając się uspokoić, i ruszyłem w górę, na szóste piętro.

Oboje skręciliśmy za róg na krótkim ciągu dwunastu stopni między piątym a szóstym piętrem. Posłała mi nieobecny uśmiech, odwracając oczy, jakby naprawdę nie chciała rozmawiać z sędzią przysięgłym czy kimkolwiek innym podczas przerwy na lunch. Nic nie powiedziałem, tylko spojrzałem na nią, na jej miękkie ruchy, przyjazną twarz. Nie zrobiłem nic, co mogłoby ją zaalarmować, nic, co mogłoby ją zaniepokoić, po prostu zwykły obywatel na schodach w sądzie.

Minęła mnie na trzecim stopniu, mamrocząc „dzień dobry”. Pół sekundy po tym, jak ją minąłem i zniknąłem z jej pola widzenia, wyciągnąłem rolkę folii z pudełka, tym samym ruchem ją rozwinąłem i z szybkością atakującego lwa rzuciłem się zza jej pleców,

owijając płachtę plastiku wokół twarzy i ciągnąc w tył wystarczająco mocno, aby straciła równowagę.

Była tak zaskoczona i zdezorientowana, że nie zdołała utrzymać się na nogach. W ciągu kilku sekund owinałem folię pięć razy wokół jej głowy i wciąż ciągnąłem ją do tyłu, w górę schodów, gdzie trudniej byłoby jej odzyskać równowagę. Stojąc wyżej, widziałem, jak wywraca oczami, próbując dostrzec moją twarz, desperacko szukając sensu całej tej sytuacji, ale nie widziała, kto jej to robi. Wymachiwała rękami, chcąc odepchnąć moje ramiona, podczas gdy powinna próbować zedrzeć plastik z ust i nosa, ale nie mogę jej winić za to, że walczyła, że próbowała bronić się przed atakiem na obskurnych schodach sądu, mniej niż piętnaście metrów od sali, w której zasiadała przez ostatnich osiem lat. Kiedy wreszcie przestała walczyć, a jej oczy zaszyły mgłą, spokojnie wyszedłem z klatki schodowej i ruszyłem do windy. W holu nie było żywej duszy.

# Rozdział szósty

Jestem oszustem i kłamcą. Mówię sobie, że jestem uwarunkowany i zdyscyplinowany, że mój umysł to moja własność, coś, nad czym mam kontrolę. Mówię sobie, że potrafię zostać w terażniejszości, że to, co różni mnie od zwykłych ludzi zaludniających bożą ziemię to fakt, że ja, ja sam, potrafię odciąć przeszłość tak, jak zakreca się kran.

Ale ta cholerna prostytutka w jadłodajni i ta kobieta, siedząca przy sąsiednim stoliku w restauracji, która nawet nie wyglądała jak Jake, może tylko miała coś podobnego w oczach, uświadomiły mi, jakim jestem oszustem. Z kranu popłynął strumień, który spowodował powódź wspomnień, ale niech mnie szlag trafi, jeśli nie zatrzymam tego draństwa, tu i teraz. Mam mnóstwo innych zmar twień.

Znów jestem w drodze, tym razem zmierzam na południe, w stronę Indianapolis, a potem Lexington. Wyjeżdżam z niebieskich stanów do czerwonych i wiem, że kandydat na prezydenta Abe Mann spędzi tam niewiele czasu. Będzie chciał szybko jechać na zachód, do kluczowych dla sprawy stanów, do Iowa, Nowego Meksyku, Nevady, Waszyngtonu, Oregonu i wreszcie do Kalifornii. Jednak tam nie zdobędzie poparcia, choćby najmniejszego, ponieważ będzie martwy.

Prowadzę tak, jakbym przeciskał się przez tłum... nie przyciągając uwagi - wynajętym beżowym samochodem, nie przekraczam dozwolonej prędkości więcej niż półtora kilometra na godzinę, wrzucam kierunkowskaz zawsze, kiedy zmieniam pas. Zaczynam się odprężyć, uspokajać, pozwalam umysłowi zapadać się w

przyjemną nicość, ale kąciem oka dostrzegam Pooleya w czarnym SUV-ie. Ma opuszczone okno od strony pasażera i jedzie obok mnie. Daje sygnał jednym palcem, wskazując następny zjazd. Natychmiast zwalniam i pozwalam mu wsunąć się przed mój samochód, a potem jadę za nim na stację Shella przy drodze międzystanowej.

- Mam dziwne wieści - mówi, kiedy wysiadamy i stajemy obok swoich samochodów. Wygląda na zmęczonego, jakby nie spał od kilku dni, opadają mu powieki.

- Pojechałeś za mną, więc to musi być coś ważnego.

- Archibald Grant... ten twój pośrednik, który zaginał... - Tak?

- Znalazłem go w więzieniu w Providence.

- W więzieniu?

- Aha. To dlatego tak długo nie mogłem go namierzyć. Został oskarżony o pomoc w dokonaniu przestępstwa. Będzie musiał odsiedzieć swoje w więzieniu federalnym... może w Lompoc.

- Kurwa.

- Spokojnie, nie sypnął cię.

- Jesteś pewny?

- Całkowicie. Nie ma cienia wątpliwości, że dopadłbyś go.

- A co z...

- Nie powiedział, kto go wynajął... tyle tylko, że to był ktoś, kto jest bardzo blisko celu.

- Jakaś szansa, że wie więcej, niż powiedział? O moim związku z celem?

Pooley potrząsa głową.

- Nie wydaje mi się. To jeden z tych facetów, którym się wydaje, że są znacznie bardziej cwani, niż są... wiesz, co mam na myśli?

Gdyby wiedział, jaki jest twój związek z celem, to chciałby, żeby *ja* wiedział, że on wie... rozumiesz? To byłby dla niego powód do dumy.

Skinąłem głową.

- Więc wiemy tylko tyle, że ktoś z bliskiego otoczenia Manna wynajął zabójcę.

- No i tutaj robi się dziwnie, ten ktoś nie wynajął jednego zabójcy.

Oczy mi błyszczą i Pooley to widzi.

- Przepraszam. Nie wiedziałem i wiem, że moja robota to wie-dzieć, więc masz prawo być wkurzony... przepraszam. Nie wiem, jakim cudem mi to umknęło...

- Kto jeszcze dostał to zlecenie?

- Nie powiedział.

- Nie mogłeś tego z niego wycisnąć?

- Może gdyby nie był po drugiej stronie krat. Ale był on, byłem ja i kuloodporna szyba gruba na dwanaście cali. W jaki sposób miałbym go naciskać? Nie sądzę, żeby wierzył, że po wszystkim do niego przyjdiesz.

- Masz jakąś wskazówkę, podejrzenie, cokolwiek, że zostałem wynajęty pierwszy?

- Nie powiedział. Powiedział tylko, że klient chciał mieć pewność, że cel zostanie zlikwidowany i pomimo twojej reputacji zapłacił za trzech zabójców.

- Trzech?

Staram się mówić spokojnie, ale czuję, jak zaciska mi się gardło.

Pooley kiwa głową.

- Tak, wynajął trzech ludzi i nie obchodzi go, który z was wykona zadanie. Powiedział, że ten, który to robi, dostanie premię.

- Chryste!

- Właśnie.

- Mamy dwie niewiadome oprócz mnie i wystarczy jedna, żeby wszystko spierdolić.

- Wiem.

- Czy powiedział im wszystkim, że mają się kierować do Kalifornii?

- Przepraszam... Nie spytałem. Wróć...

- Nie, pieprzyć to. Musisz się dowiedzieć, kim są ci pozostali dwaj rewolwerowcy... i to możliwie szybko.

Pooley mruży oczy w słońcu i przytakuje. Dłonią osłania oczy.

- Tak, tak... oczywiście. Oczywiście, Columbusie.
- Ile czasu ci to zajmie?
- Nie wiem. Zrobię, co się da. Góra tydzień.
- Okay. Za tydzień spotkamy się w Santa Fe. Nie chcę, żebyś mi podawał te nazwiska przez telefon. Tylko osobiście, rozumiesz?
- Tak, Columbusie. Oczywiście.

Chcę powiedzieć coś więcej, ale widzi po moich oczach, że nie jestem w nastroju na przeprosiny. Wskakuje więc za kółko i odjeżdża, nie spoglądając nawet w lusterko.

\*\*\*

Pech. Pieprzony pech. Zaciskam dłoń na kierownicy i staram się uspokoić. Nie chcę stracić panowania nad sobą.

Powinienem zawrócić, pojechać do więzienia w Providence, wpaść do środka, wbić Archibaldowi Grantowi nóż pod żebra i powiedzieć mu, że to za wynajęcie trzech ludzi zamiast jednego. Jednak wykonywał tylko polecenia swojego klienta, a jeśli ten podał mało informacji, to co on mi pomoże? Wie, że jeden z nas prawdopodobnie zajmie się pozostałą dwójką, przed lub tuż po wykonaniu zadania, więc po wszystkim będzie się musiał dogadać tylko z jednym wściekłym zabójcą. I domyśla się, że kiedy już zabójca skasuje premię, to da się przeprosić.

Wiem, że powinienem machnąć ręką na to zlecenie - po prostu zawrócić na najbliższym zjeździe, wracać do Bostonu i powiedzieć Pooleyowi, aby znalazł mi coś innego. Pojawia się za dużo przeszkód, za dużo znaków, ale z jakiegoś powodu nie jestem w stanie odpuścić, nie jestem w stanie włączyć kierunkowskazu i zawrócić, jakby przyciągała mnie niewidzialna siła, magnes, coś niezależnego ode mnie.

Chcę zabić swojego ojca. Chcę być tym, który to zrobi, nieważne jakim kosztem. To zlecenie po prostu przyspieszyło nieuniknione; byłem na kursie kolizyjnym na długo przed tym, nim mi ktoś zapłacił. Vespucci powiedział, że los w niezrozumiały sposób krzyżuje ludzkie ścieżki, ale to niezupełnie tak. Tę ścieżkę rozumiem

doskonale. Abe Mann umieścił mnie na niej dawno temu, w chwili, kiedy porzucił Amandę B. jakby była zwierzakiem, którego potrącił samochodem. Jestem jego bękartem i niech mnie diabli, jeśli ktoś inny dorwie go przede mną.

Melduję się w hotelu Omni Severin, położonym w centrum Indianapolis. To jeden z tych wielkich luksusowych hoteli, który próbuje zachować swój związek z historią, ale wydaje się przez to dziwnie anachroniczny, jakby nie wiedział do końca, czym chce być i w efekcie nie jest ani stary, ani nowoczesny.

- Widzę, że zatrzyma się pan u nas na siedem dni, panie Smith.
- Tak.
- Pokój dla niepalących z łóżem królewskim?
- Tak.

Recepcjonistka, śliczna studentka, jak sądzę, pisze na komputerze. Po chwili podaje mi plastikową kartę - klucz.

- Teraz muszę pana ostrzec, że przez ostatnie dwa dni pańskiego pobytu zatrzyma się tutaj Abe Mann, a to może skutkować pewnymi... wie pan... niedogodnościami związanymi z zaostrzeniem rygorów bezpieczeństwa.

- Naprawdę? - pytam, udając mile zaskoczonego.

- Tak, proszę pana. Przyjeżdża tu w ramach trasy „Connecting America”, czy jak tam ją nazywa.

- I jesteście na tym samym piętrze?

- Nie... zarezerwował dla siebie całe piętnaste piętro. Dla siebie i swoich ludzi, powinnam powiedzieć. Nie musi się pan o to martwić.

- Okay, świetnie - posyłam jej ciepły uśmiech. - To jest coś, być w Indianapolis w tym samym czasie.

Chyba właśnie takiej reakcji oczekiwała, bo uśmiecha się do mnie pogodnie, wskazując drogę do wind i tłumacząc, jak mam się dostać na swoje piętro.

Wchodzę do pokoju, włączam telewizor i oto znowu jest, wszedobylski jak gwiazda. W roku wyborów dwudziestoczworgodzinne programy informacyjne dają z siebie wszystko, więc spodziewam się, że ujrzę kandydata Abe Manna za każdym razem, gdy zmienię stację. Stoi przed trzydziestoma pracownikami stalowni, każdy



z nich ubrany jest w roboczy kombinezon z niebieskim kołnierzykiem i kask ochronny. Abe Mann też ma kask i mówi o czymś, co nazywa „Pomostem dla Rodzin Pracujących”, potrząsając dłonią w kaznodziejskim stylu, jakby szczerze wierzył w słowa wydobywające się z jego ust.

W hotelu jest spora sala treningowa i decyduję się rozładować energię na bieżni. O tej porze jestem jedynym biegaczem; w rogu stoi telewizor, w którym bez dźwięku migają jakieś zawody sportowe, ale ignoruję go, po prostu przestawiam stopy, wpadam w uspokajający rytm. Planuję biec przez godzinę, a kiedy biegnę, przeszłość ma mnóstwo czasu, aby mnie dogonić.

\*\*\*

Nie miałem zamiaru się zmieniać i byłem zbyt krótkowzroczny, aby zrozumieć, co się ze mną działo. Tak, zabiłem Coxa maszyną do szycia w opuszczonej fabryce Columbus Textiles, ale nienawidziłem go i zabiłem go z pasją, z emocjami i gniewem. Gdy następnego ranka Vespucci otworzył drzwi, wyszedłem jako ta sama osoba, ale w jakiś sposób oczyszczona, jak przez chrzest.

Jednak zamordowanie Janet Stephens na schodach sądu, przy użyciu folii spożywczej, to było coś całkiem innego. Byłem pozbawiony emocji, działałem mechanicznie, to była skaza, której jeszcze nie mogłem zrozumieć. Wszystko zrobiłem jak trzeba; wypełniłem swoje zobowiązanie, przestudiowałem akta, znalazłem słabość, wykorzystałem rutynę i moje zlecenie zakończyło się sukcesem. Więc czego brakowało?

Na prośbę Vespucciego następnego ranka spotkałem się z nim w kawiarni.

- Masz konto w banku? - zapytał mnie nad małą filiżanką kawy.

- Tak.

- Zamknij je. - Podsunął mi małą karteczkę. - Kiedy będziesz potrzebował pieniędzy, idź pod ten adres. Żadnych więcej podpisów, papierków i czeków. Wszystko w gotówce.

- Co znajduje się pod tym adresem?

- Bank dla tych z nas, którzy banków nie lubią. Odkryjesz, że już masz tam konto. A na tym koncie pięćdziesiąt tysięcy dolarów, których nie było tam wczoraj.

Odchyliłem się, próbując ukryć, jak ta suma mnie poraziła. Vespucci wiedział, że tak było, ale nie powiedział nic więcej. Przez minutę w milczeniu popijaliśmy swoje espresso.

- Kiedy dostanę następne zlecenie? - spytałem wreszcie.

- Kiedy będziesz gotowy.

- Już jestem gotowy.

- Nie, Columbusie. Potrzeba ci miesiąca, żebyś... jakby to powiedzieć?... żebyś wrócił znad krawędzi.

Otworzyłem usta, ale kiedy zmierzył mnie wzrokiem, zamknąłem je bez słowa. Miał rację. Nie byłem gotowy.

- Columbusie, w biznesie, do którego właśnie wszedłeś, dużo się płaci, ale także pobiera się opłaty. Czy mówię z sensem? Pobiera się opłaty tutaj... - postukał się po głowie palcem wskazującym. - Jedynym zabezpieczeniem, które pozwala je spłacić, jest czas. Potrzebujesz czasu, żebyś znów mógł zrobić to, co zrobiłeś.

Kiwnąłem głową, ale wiedziałem, że jeszcze nie skończył.

- Nie wystarczy zrobić swoje i po prostu odejść. Wierzę... to trudno zrozumieć... wierzę, że musisz się połączyć z umysłem swojego celu... echhh.

Machnął ręką, jakby odganiał te słowa, jakby nie niosły przesłania, które chciał przekazać. Czekałem. Po chwili rozłożył ręce.

- Columbusie, nie dałem ci dość czasu na przygotowanie, ponieważ to był test na to, jak zadziałasz. Normalnie dostaniesz osiem tygodni na wykonanie zlecenia. Wykorzystuj ten czas nie tylko po to, by poznać zwyczaje swojego celu, ale i po to, aby się dowiedzieć, co się dzieje w jego głowie, musisz stać się nim i naprawdę zrozumieć jego... czy jej... motywacje. Kiedy już w pełni pojmiesz związek, tylko wtedy potrafisz go całkowicie przeciąć. Nie proś mnie o wyjaśnienia, bo nie wiem, dlaczego tak jest. Ale tak właśnie jest. To jedyne, co wiem.

Z tymi słowami wstał, rzucił na stół dziesięć dolarów na pokrycie naszego rachunku, przeprosił i wyszedł z kawiarni.

\*\*\*

Jake widziała, że się zmieniłem. Nie wiedziała, jak o to zapytać i dlaczego jestem pośpny, więc jej frustracja rosła.

- Co ja takiego zrobiłam?

Siedzieliśmy przy kolacji.

- Nic nie zrobiłaś.

- Odkąd wróciliśmy z New Hampshire, zachowujesz się... nie wiem... jakbym ci przeszkadzała.

- Jake, mówię ci, że to nie ma nic wspólnego z tobą.

- Gówno prawda.

- Co chcesz ode mnie usłyszeć? Daj sobie spokój.

Czułem, jak moja złość narasta. To była nasza pierwsza kłótnia i właśnie zdałem sobie sprawę, że Jake nie należy do tych, które odpuszczają.

- Z czym mam dać sobie spokój? Jak mam to zrobić, skoro nawet nie chcesz mi powiedzieć, o co chodzi?

Zacząłem coś mówić, ale przerwała mi.

- Mogłabym się tego spodziewać po innych ludziach, ale nie po tobie. Odkąd się poznaliśmy, byliśmy ze sobą uczciwi. Właśnie o to chodzi w prawdziwym związku. Ty musisz ufać mnie, a ja muszę ufać tobie. Inaczej się nie da, jeśli to ma naprawdę działać.

Miała rację, ale ja miałem związane ręce.

- Masz rację, przepraszam.

Widziałem, jak jej oczy łagodnieją, ale się nie ugięła.

- Przepraszasz, ale ja nawet nie wiem, za co. To nie jest rozmowa. To jest walenie głową w mur.

- Jake, powiedziałem, że przepraszam. Próbuję poukładać sobie pewne sprawy, ale musisz mi uwierzyć, że to moje problemy i nie nas dotyczą. Jedyłą rzeczą... jedyną rzeczą, na której polegamy każdego dnia, to właśnie my, nasz związek. Wiem, że to nie jest satysfakcjonująca odpowiedź, ale zależy mi, żebyś ją przyjęła do wiadomości... jeśli trzeba, padnę na kolana i będę cię o to błagał. Ale nie zniosę, jeśli się ode mnie odwrócisz. Po prostu... nie zniosę. We właściwym momencie wszystko ci powiem.

Jej żal się rozpułnął.

- Obiecujesz? - powiedziała słabo.
- Obiecuję.
- Ufasz mi? Całkowicie?
- Na całej tej planecie ufam tylko tobie.
- Kocham cię.

Odpowiedziałem jej tym samym i mówiłem to z całkowitą pewnością.

# Rozdział siódmy

Moje następne zlecenie było katastrofą. Akta dotyczyły Richarda Levine'a, bukmachera z East Side. Vespucci odrobił zadanie domowe, ale nawet w zadaniu domowym mogą zdarzyć się luki, a w tym przypadku z bardzo szczególnego powodu - tym razem cel wiedział, że się zbliżam.

Levine był drobny, miał niecałe metr sześćdziesiąt wzrostu, chroniczne bóle głowy i krewkie usposobienie. Zbił fortunę na wymuszeniach, a w miarę, jak zwiększał się stan jego konta bankowego, wydłużała się lista wrogów. Jako człowiek ostrożny miał stałą obstawę w postaci pięciu ochroniarzy - profesjonalistów, byłych glińiarzy, facetów, którzy nie mieli czasu zmięknąć. Mieszkał w wielkim domu przy Beacon Hill i rzadko z niego wychodził, wysyłając pracowników z księgami, wypłatami i po zakupy. Tylko garstka ludzi cieszyła się zaufaniem pozwalającym przekroczyć próg jego domu. A oni byli mu doskonale znani, pozostawali na jego liście płac od ponad dziesięciu lat. Żaden z nich nie wycofał się z interesu, bowiem istniały tylko dwa sposoby, aby odejść od Levine'a - umrzeć albo zniknąć bez śladu.

Vespucci nie miał planów domu; w tajemniczy sposób wyparowały z Departamentu ds. Budownictwa. Mój ślup nie mógł ponadto rozmawiać z ludźmi Levine'a. Miałem więc osiem tygodni i bardzo mało informacji. Jednak moją uwagę przyciągnęło ostatnie zdanie w dokumentach: „Cel wie, że za jego głowę wyznaczono cenę”.

Sukinsyn wiedział. Wiedział, że wynajęto kogoś, kto ma go zabić, wiedział, że dokładnie w tej chwili ktoś może ładować broń, żeby go sprzątnąć.

Musiałem zrobić to, co Vespucci wiedział, że muszę zrobić - powinienem znaleźć się w głowie mojego celu, nawiązać połączenie, aby potem je zerwać, jak powiedział. Ale jak miałem to zrobić, skoro nie mogłem się do niego zbliżyć?

Zacząłem biegać po jego ulicy w koszulce Boston College i spodenkach gimnastycznych, które kupiłem w sklepie w pobliżu szkoły. Jestem pewien, że wyglądałem jak zwykły zziębnięty biegacz ganiający po sąsiednim parku, spływający potem i wypluwający sobie płuca.

Ulica była zwyczajna, stały przy niej drogie rezydencje, jednak dom na końcu przecznicy, należący do Levine'a, wyraźnie się wyróżniał. Dwupiętrowa budowla w stylu Tudorów z wielką bramą i rozległym trawnikiem spoglądała na resztę domów jak pedantyczny nauczyciel na swoich uczniów. Nie zatrzymałem się, nie zawiązałem sznurowadła i nie przyglądałem się bliżej; było za wcześnie, aby sobie pozwolić na coś takiego.

Z akt, które dał mi Vespucci, wyciągnąłem rozdział z nazwiskami i zdjęciami pomagierów Levine'a, stojących nisko w hierarchii, tych, którzy zbierali zakłady w mieście. Vespucci podał też nazwę baru w Małej Italii, gdzie kilku z nich lubiło marnować czas, zamiast wracać do swoich żon. Nie było to wiele, ale na początek zawsze coś.

Wszedłem do knajpy Antonio's na Stuart Street, w dół od Maggiano's. Był to słabo oświetlony, niewielki lokal z długim dębowym barem, ciągnącym się wzdłuż całej tylnej ściany. Wyposażenie stanowiło kilka tarcz do strzałek, szafa grająca, trzy stoliki, telewizor nastawiony na mecz Soxów i gruby Irlandczyk nalewający drinki przedziwnej zbieraninie gości, studentów i turystów.

Dwóch bukmacherów Levine'a siedziało przy stoliku obok szafy, pili piwo i zmęczonymi oczami oglądali mecz. Próbowałem wychwycić strzępy rozmowy, ale większość dotyczyła „pierdolonych Soxów”.

Obejrzałem finałowe zagranie, w którym pałkarz słabo podał piłkę do łapacza.

- Kurwa! - powiedziałem głośno. - To mnie kosztowało tysiąka - dodałem.

Nie musiałem odwracać głowy, aby wiedzieć, że moje słowa trafiły tam, gdzie trzeba. Odstawiłem swoje piwo, usłyszałem krzesła skrzypiące na drewnianej podłodze, potem ciężkie kroki, aż wreszcie po moich obu bokach pojawiły się twarze.

- Obstawiałeś Soxów, chłopcze?

Odwróciłem się ze zmarszczonymi brwiami i popatrzyłem na niższego z dwóch mężczyzn, o którym wiedziałem, że nazywa się Ponts.

- Tak. Szlag by to. Wiem, że nie powinno się nigdy obstawiać na czuja... ale dziś miałem przeczucie.

Ponts parsknął.

- Wszystkim się to zdarza.

Wyższy, o imieniu Gorti, wtrącił się do rozmowy.

- Przechlapane, nie?

- Co pijesz, młody? - zapytał Ponts.

- Ja? - spojrzałem na butelkę, jakbym nie wiedział. - Budweisera.

Ponts zawołał do barmana.

- Seamus, trzy Budweisery.

- Nie musicie...

- Chryste, właśnie straciłeś tysiąka przez cholernych Soxów.

Przynajmniej tyle mogę zrobić.

Błyskawicznie pojawiły się przed nami trzy piwa.

- W takim razie dzięki... - powiedziałem.

- Z kim się założyłeś, młody?

Odsunąłem butelkę od ust i spojrzałem podejrzliwie na Pontsa.

- Z kim?

- Kto jest twoim bukmacherem?

- Jesteście z policji?

Popatrzyli na siebie i zaczęli chichotać.

- Nie, młody. Nie jesteśmy glinami.

- Nie bardzo nam z nimi po drodze, możesz być tego pewien - dodał Gorti.

- No, w każdym razie... dzięki za piwo. Ale muszę już...

Ponts nie pozwolił mi dokończyć zdania.

- Słuchaj, młody, pytam dlatego, że ten tutaj Ben Gorti i ja, Stu Ponts, prowadzimy w tym barze zakłady bukmacherskie.

- Serio? - starałem się wyglądać na mile zaskoczonego.

- Tak jest. I niech zgadnę, nadal korzystasz z usług bukmache-  
ra swojego tatusia gdzieś tam w domu?

Uśmiechnąłem się, jakby trafił bez pudła.

- No to co byś powiedział na to, żeby twój staruszek bawił się  
sam, a ty zaczniesz bawić się z nami?

- Naprawdę, powinienem już...

- Powiem ci coś... ile normalnie dajesz?

- Ile obstawiasz, młody? - dodał Gorti, jakby dla wyjaśnienia.

- Zazwyczaj pięćset. Chyba, że mam przecucie. Wtedy róż-  
nie...

Próbowałem brzmieć jak ryba, która właśnie połyka haczyk.  
Uśmiech Pontsa się poszerzył.

- No to dam ci pierwsze pięćset na koszt firmy i pięć tysięcy  
dolarów kredytu. Czy bukmacher twojego taty daje ci takie warun-  
ki?

- Nie, proszę pana.

- Mów mi Ponts.

- Okay...

Mięsistą dłonią klepnął mnie w plecy.

- No to kogo typujesz w tym tygodniu w Miami?

\*\*\*

Z zabójstwem często łączy się pewne błędne pojęcie. Ludzie będący najbliżej celu powiedzą potem, że nawet nie widzieli wynajętego mordercy, że nie wiedzą, jak mógł się zbliżyć do ofiary; facet zjawiał się jak duch i władował pocisk w ich przyjaciela, męża, współpracownika, nie wzbijając nawet kurzu. Powiedzą, że ktoś z nich musiał zdradzić, będą patrzeć po sobie podejrzliwie, będą oglądać się przez ramię za każdym razem, kiedy za drzwiami przesunie się jakiś cień i wtedy, gdy będą zmuszeni podążać ciemną alejką.



A jednak bardzo często znają twarz człowieka, który pociągnął za spust, prawdopodobnie ściskali jego dłoń, prawdopodobnie robili z nim interesy, do diabła, prawdopodobnie w małym barze w Małej Italii postawili mu piwo.

Gdybym nie poznał Levine'a, gdybym nie mógł nawiązać z nim połączenia, mógłbym poznać jego korzenie, dowiedzieć się, gdzie był, zanim zamieszkał w wielkim domu na końcu ulicy. Był tam, gdzie był, ponieważ był najlepszy w tym, czym teraz zajmowali się Ponts i Gordi. Zgadywałem, że był bardziej bezwzględny i mniej skłonny do wspaniałomyślności niż ktokolwiek w tym biznesie. Nie wiedziałem, czy tego samego wymagał od swoich pracowników, ale miałem zamiar się dowiedzieć.

\*\*\*

To nie w dniu przed oddaniem strzału wszystko poszło nie tak; to zdarzyło się w noc przed tym, zanim pociągnąłem za spust. Zajmowałem się kredytem, który ludzie Levine'a dali mi na wabia. Jak głupi zagrałem natychmiast; nie miałem czasu na zwyczajne zakłady. Zagrałem jak kompletny frajer, natychmiast obstawiając kasę, którą wygrałem, przepuszczając każdą wygraną, jaka mi się trafiła, naciągałem limity, a Ponts oblizywał się jak bezdomny kot na widok butelki świeżego mleka. Przez trzy tygodnie wtopiłem mnóstwo kasy, a potrzebowałem jeszcze cztery tysiące osiemset.

Spotkałem się z nim, kiedy wychodził z Antonio's.

- Słuchaj, młody...

- Cześć, Ponts. Mogę w ten weekend postawić wygraną z poprzedniego zakładu?

- Ile?

- Podwójną stawkę.

Gwizdnął lekko.

- Cztery osiemset?

- Może nawet pięć.

- A może oddasz mi te cztery osiemset, które już jesteś mi winien i pójdziemy sobie stąd?

- Kurde, Ponts... powiedziałaś, że mam pięć tysięcy kredytu.
  - Ale, młody...
  - Cztery osiemset to nie pięć.
  - Tak, ale możesz stracić dziesięć...
  - Nie, jeśli wygram..
  - No nie wiem, młody.
  - W porządku... Postawię w takim razie dwieście na B.C., trzy punkty i zwycięstwo Virginia Tech nad Michigan.
  - Chcesz tylko dwieście?
  - Chcę pięć tysięcy, ale powiedziałaś, że dasz mi tylko dwieście. Popatrzył na mnie spod oka i wyciągnął mały notes.
  - Dzieciak chce pięć tysięcy... dam dzieciakowi pięć tysięcy. Pięć, żeby wygrał piętnaście. Miejmy nadzieję, że szczęście się do ciebie uśmiechnie, kolego.
  - Mam przeczucie.
- Uśmiechnął się i mrugnął.
- Mam nadzieję.

\*\*\*

Trafiłem z B.C., ale przegrałem pozostałe zakłady. Teraz byłem winien Pontsowi i Gortiemu dziewięć tysięcy osiemset i po raz pierwszy odczułem, jak się wkurzają, kiedy coś się sypie. Przez dwa tygodnie nie pokazywałem się w Antonio's po to tylko, aby podgrzać atmosferę. Może myśleli, że uciekłem. Może myśleli, że nie wrócę.

Kiedy wreszcie pokazałem się w barze, usta Pontsa zamieniły się w cieniutką linię. Wszystkie pozory przyjaźni i zażyłości zniknęły. Nie byłem ich przyjacielem; to były interesy.

- Gdzie nasza kasa? - zapytał przy barze.

Gorti usadowił się po mojej drugiej stronie.

- Daj mi skończyć piwo.

Cały czas grałem zepsutego studencika z college'u. Ponts wyjął mi z ręki butelkę i osuszył ją dwoma łykami.

- Już skończyłeś. Gdzie moja forsa?  
Z kieszeni wyciągnąłem zwitek banknotów.  
- Mam tu pięć tysięcy. Jeśli tylko pozwolisz mi postawić dziś wieczorem...

Grubas wyrwał mi rulonik z ręki i podał szybko Gortiemu, który zaczął przeliczać pieniądze. Wreszcie skinął głową.

- Masz pięć dni. Przyniesiesz dwa razy tyle, ile jesteś winien.  
- Zaraz... po co tak ostro...?  
- Wydaje ci się, że to jest ostro? Ostro będzie w piątek rano, jeśli nie będziesz miał kasy.  
- Jezu. Wyjechałem na kilka dni. A teraz jestem i płacę.  
- Zapłaciłeś mi połowę.  
- Nie rozumiem, dlaczego...

A potem głos mi zamarł, a słowa utknęły w gardle. To, co zobaczyłem, było ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewałem i dokładnie taką, przed którą ostrzegał mnie Vespucci.

Do baru, wraz z grupą znajomych, weszła Jake.

Planowałem, że w piątek przyjdę i poproszę o przedłużenie terminu, poudaję biedaka i zobaczę, jak Ponts poradzi sobie z faktem, że nie mam pieniędzy. Zaczynałem rozumieć to, co Vespucci powtarzał o stworzeniu związku z celem; moim zadaniem było szukanie w ludziach zła. Każdy ma ciemną stronę, ja zaś miałem się w niej zagnieździć, manipulować nią, rozciągać i wyolbrzymiać. W moim celu muszę znaleźć zło, posmakować go, włożyć w nie palec tak, jak Tomasz w ranę w ciele Chrystusa. Wtedy akt zabójstwa zmieni znaczenie, stanie się koniecznością. To swego rodzaju sztuczka, iluzja stworzona przez umysł, aby poradzić sobie z koszmarem tej pracy. Chciałem zobaczyć, co Ponts mi robi, abym zabijając Levine'a, rozumiał, co on robił innym. Wtedy mógłbym odejść nie jak płatny morderca, ale jak dobry obywatel pogodzony z decyzją odebrania komuś życia.

Jednak wszystko zmieniło się w chwili, gdy Jake weszła do baru i zobaczyła mnie. Natychmiast podeszła, pocałowała mnie w usta, wypowiedziała moje imię... inne, niż to, które podałem Pontsowi i Gortiemu.

Zacząłem mówić coś na odczepnego, chciałem ją splawić, ale Pons czytał we mnie jak w księdze. Przerwał mi, zanim na dobre zdołałem się odezwać, zwracając się bezpośrednio do Jake.

- Witaj! Jestem Pons, a to Gorti... jesteśmy przyjaciółmi twojego chłopaka. Jak masz na imię, ślicznotko?

Odezwiała się do nich ciepło.

- Jake. Jake Owens.

Pons uśmiechnął się tak szeroko, jakby chciał ją połknąć.

- Jake, chodzisz tutaj do szkoły?

Kiwnęła głową.

- Prawie kończę B.C. Skąd się znacie, chłopaki?

- Jesteśmy starymi znajomymi, prawda? - i wypowiedział moje imię, to, którego użyła Jake.

- Tak - mruknąłem. - Wiesz, Jake... skończę tylko rozmawiać z kolegami i zaraz do was przyjdę.

- W porządku - powiedziała, jakby wiedziała, że przeszkodziła w czymś, w czym nie powinna.

- Miło było cię poznać, Jake Owens z B.C. - powiedział Pons, przeciągając słowa, jakby wcale nie chciał ich wypowiadać.

Ledwie odeszła, jego oczy stwardniały.

- Nie obchodzi mnie, że podałeś nam lipne imię, nie obchodzi mnie, że uważasz się za tak kurewsko bystrego, żeby sobie z nami pogrywać. To, co mnie obchodzi, to cztery tysiące osiemset, które jesteś nam winien. Teraz wiesz, że znamy Jake Owens z B.C. Dostaniemy kasę w piątek albo czyjeś dni są policzone. Rozumiemy się?

Kiwnąłem głową.

- Tak... jasne, Pons.

- Nie zrób znów niczego głupiego, dzieciaku.

Poklepał mnie po policzku i odwrócił się w stronę baru, jakby nasza rozmowa była skończona.

\*\*\*

Pociłem się. Siedziałem w swoim mieszkaniu, okno miałem otwarte, znad wody docierała przyjemna bryza, a jednak się pociłem, jakby w pokoju panował upał.

Zignorowałem radę Vespucciego, utrzymałem związek z dziewczyną, która mnie kochała i teraz była w to wszystko zaangażowana. Dwóch niskich rangą pracowników mojego celu znało jej imię, a co gorsza... znali moje.

Muszę oczyścić sytuację. Oczyścić siebie, bez informowania Vespucciego o moich planach. I czułem, że to musi stać się jak najszybciej, bez względu na pieniądze. Nie wiedziałem, co Ponts i Gorti zrobiliby, żebym zrozumiał wiadomość.

Siedziałem w cieniu pobliskiego budynku, obserwując wejście do baru Antonio's. Mżyło, a krople wody zbierały się na daszku mojej czapki baseballowej i kapąły na ziemię. Byłem zdeterminowany i bardzo skupiony. Czekałem, ignorując wszystko poza wejściem do knajpy, nie przestępowałem nawet z nogi na nogę, żeby się rozgrzać. Wiał chłodny wiatr ze wschodu.

O północy Ponts i Gorti wyszli się z baru. Nie potykali się; zauważyłem, że żaden z nich, nawet siedząc przez cały dzień w barze, nie wypijał więcej niż dwa piwa. Chcieli sprawiać wrażenie, że są tam dla przyjemności, ale ten lokal był ich miejscem pracy, równie nieciekawym jak każde biuro w Ameryce. Kiedy opuścili bar, obaj byli trzeźwi.

Ponieważ przez kilka ostatnich tygodni spędzałem z nimi sporo czasu, wiedziałem, że jeżdżą razem czterodrzwiowym oldsmobilem, modelem, który kupują chyba same starsze panie. Jak tylko obaj wsiedli, otworzyłem drzwi i wślizgnąłem się na tylne siedzenie ich samochodu.

Odwrócili się do mnie zaskoczeni.

- Młody, co ty tu robisz? - spytał Gorti na sekundę przed tym, zanim go zastrzeliłem. Zaczerpnął haust powietrza - pocisk zniszczył mu lewe płuco - ale już się nim nie przejmowałem. Skierowałem broń na Pontsa, który oddychał spazmatycznie, niewygodnie zgarbiony za kierownicą.

- Kurwa, Jezu Chryste, młody, nie zabijaj mnie.
- Jedź.
- Mam żonę i dom...
- Powiedziałem, jedź.

- Jasne, młody. Jasne.

Przekręcił kluczyk i wrzucił bieg, a potem wolno wyprowadził samochód na ulicę. O tej porze Mała Italia była ciemna i pusta, zimno i deszcz zniechęciły przechodniów.

- Jedź drogą na południe. Powiem ci, kiedy skręcić.

\*\*\*

Ponts po drodze próbował mnie zagadywać. Powiedział, że to tylko pięć tysięcy i że to tylko biznes. Powiedział, że jego żona chce wreszcie mieć dziecko. Powiedział, że nawet nie pamięta imienia mojej dziewczyny, jeśli o to mi chodzi.

Pozwoliłem mu gadać do woli, aż wreszcie się poddał i prowadził dalej w milczeniu. Usiadłem tak, aby nie widział mnie w lusterku wstecznym. Pozwoliłem, by strach rozprzestrzenił się w jego głowie jak trujące opary. Nie wiedział, gdzie była moja broń, gdzie były moje oczy ani kiedy padnie strzał.

Dałem mu kilka wskazówek, aż zajechaliśmy przed opuszczoną fabrykę Columbus Textiles, tu odebrałem życie Pete'owi Coxowi i sam, odnowiony, powstałem jak feniks z popiołów.

W środku nic się nie zmieniło. Żadnej policyjnej taśmy, żadnych worków na dowody, żadnego proszku daktyloskopijnego. Ciało Coxa i wszelkie ślady naszych zmagania zostały starannie usunięte przez ludzi Vespuciego.

Wskazałem Pontsowi krzesło za starym warsztatem dziewiarskim. Drżały mu nogi, ale nie zemdlął, choć jego oddech był coraz bardziej wysiłony, jak u psa po długim biegu.

- Columbus, co tutaj robimy?

Wrócił więc do imienia, które mu podałem; to był dobry znak. Wyciągnąłem kartkę papieru i ołówek, które miałem w kieszeni.

- Narysujesz mi mapę.

Zaczął coś mówić, ale szybko zamilkł.

- Chcę dokładnego planu domu Richarda Levine'a: sypialnie, salon, kuchnia, kible, pralnia, gdzie jada, gdzie sypia, gdzie sra. Chcę mieć krzyżyki w miejscach, w których siedzą ochroniarze,

gdzie chodzą, kiedy mają przerwę, którą wchodzi, którą wychodzą. Napiszesz o każdym szczególe, wszystko, co wiesz o tym domu i bywających w nim ludziach.

- Kurwa. To ty. To ciebie wynajęli.

Spojrzał na mnie ze zdumieniem, jakbym właśnie zrobił niesamowitą sztuczkę magiczną. Popatrzyłem na niego zimno.

- Pisz.

\*\*\*

Do świtu została mniej więcej godzina. Ponts i ja weszliśmy na frontowy ganek domu Levine'a. Wiedziałem, że śledzą nas kamery, ale trzymałem mu lufę na zębrach, a czapka dobrze osłaniała moją twarz. Wiedziałem, gdzie są kamery, więc mogłem ją kryć. Wiedziałem też, że przychodzimy jakieś dwadzieścia minut przez zmianą straży. O 5.30 rano nie ma człowieka, który nie byłby zmęczony, zwłaszcza jeśli po długiej, nudnej deszczowej nocy perspektywą jest ciepłe łóżko.

Podeszliśmy do frontowych drzwi i Ponts nacisnął dzwonek. Interkom zamocowany na kolumnie z boku obudził się ze szczeknięciem.

- Ponts, co ty tu robisz?

- Mam prośbę do Dicka.

- Przyjdź po śniadaniu.

- Ernie, to nie może czekać. Chodzi o dzieciaka mojej siostry. Pracuje w dokach na pierwszą zmianę, ale szuka czegoś na boku. Już mówiłem o tym Dickowi; wiem, że nie śpi, tylko czyta „Daily Racing Form”... no już, tylko na chwilę i znikamy.

- Levine wie, że masz przyjść?

- Wspomniałem mu o tym kilka tygodni temu. Powiedział, że ze względu na mnie się zastanowi.

Mimo że obiecałem, że przeżyje, jeśli odegra swoją rolę do końca, ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszał Ponts, było szczeknięcie otwieranych drzwi. Spełnił swoje zadanie i nie chciałem, żeby mi przeszkadzał.

\*\*\*

Cała sprawa zajęła osiem minut. Zastrzeliłem Pontsa i jednocześnie kopnąłem drzwi, mocno uderzając nimi strażnika, który miał mnie obszukać. Upadł na plecy, a wtedy strzeliłem mu w głowę, aż tył jego czaszki uderzył w stojącą w holu donicę z begonią. Tłumik sprawiał, że dźwięk wystrzału przypominał cichy kaszel.

Nie zajmowałem się, jadalią po prawej stronie, tylko poszedłem w lewo i zastrzeliłem dwóch strażników siedzących przy kuchennym stole, zanim w ogóle zorientowali się, co się dzieje. Dwa strzały w pierś i krew zalała ich niebieskie koszule, dwa purpurowe owale na wysokości serca.

Nie zatrzymując się, ruszyłem do tylnej klatki schodowej. Szybko pokonałem stopnie, po drodze przeladowując pistolet. Strzałem w twarz zabiłem strażnika siedzącego na stołku u szczytu schodów i sennie przeglądającego „USA TODAY”, jego twarz zamieniła się w czerwoną miazgę. Z łazienki wyłonił się gruby facet, jakiś dodatkowy ochroniarz, o którym Ponts mi nie wspomniał. Spodziewałem się, że Ponts spróbuje w coś grać, może zatrzymać dla siebie jakieś strzępy informacji, których mógłby użyć z zaskoczenia. Jednak Ponts nie żył, a ten biedny pionek miał pecha i znalazł się po niewłaściwej stronie lufy. Nie miał czasu na reakcję. Dostał strzał w serce.

Został już tylko ostatni, Richard Levine, niegdyś bukmacher, a obecnie szef bukmacherów w Bostonie. A ja go nienawdziłem. Nie ze względu na jego działalność czy interesy albo ze względu na zło, które musiał w sobie nosić, skoro osiągnął taki poziom.

Nie, nienawdziłem go ze względu na to, co oznaczało to zlecenie, co obnażało i ile mnie kosztowało. Vespucci miał całkowitą rację. Nie mogłem wrócić do Jake ani teraz, ani nigdy. Skoro nie mogłem jej pilnować przez cały czas, skoro nie mogłem jej trzymać w ukryciu, skoro nie mogłem jej chronić przed moim światem, to zawsze będzie w grze, zawsze będzie zaangażowana w wyścig i nawet nie będzie wiedziała, że bierze w nim udział. I właśnie dlatego nienawdziłem Richarda Levine'a każdą komórką swojego ciała.



Kiedy wszedłem do jego sypialni, siedział na tylnym tarasie, popijał sok pomarańczowy i czytał „Racing Form”. Odwrócił głowę, spojrzał na mnie i natychmiast domyślił się, o co chodzi, dlaczego tutaj byłem i co miałem zamiar zrobić z bronią trzymaną w ręce. Na moment, tylko na moment spuścił wzrok, jakby pogodzony z tym, że ten dzień nadejdzie, że jego wyścig dobiegł końca. Jednak to wrażenie zaraz zniknęło, zastąpione przez stalową determinację, która prowadziła go przez ostatnich dwadzieścia lat. Sięgnął pod fotel, przewrócił stół, strącając na ziemię wszystkie talerze, licząc na moment mojego zaskoczenia. Usiłował złapać broń schowaną pod siedzeniem.

Mój pierwszy pocisk trafił go pod pachą, gruchocząc zębra i pozabawiając woli walki. Zgiął się i upadł obok przewróconego stołu, prosto w porozrzucone jedzenie i potłuczone szkło. Fotel, pod który sięgał, przewrócił się, a zamocowana pod nim broń upadła tylko kilkadziesiąt centymetrów dalej. Popatrzył na nią tak, jak zawistny człowiek patrzy na żonę bliźniego, bliską, a jednocześnie nieosiągalną. Jestem pewien, że pomyślał sobie „gdybym tylko był trochę szybszy”.

Mój drugi nabój już na zawsze powstrzymał go od myślenia.

# Rozdział ósmy

Oglądam Abe Manna na zgromadzeniu w centrum Indianapolis. Stoi na podium z setką machających dzieci na podwyższeniu za sobą, mówi o budowaniu podstaw edukacji, o odpowiedzialności i prywatnych szkołach, o ulgach podatkowych dla pracujących rodzin. Puste słowa wyuczone na pamięć, wypowiedziane niemal beznamiętnie, jakby już zaczynał uginać się pod ciężarem setek przemówień do mało przejętego tłumu, i to bez perspektywy odpoczynku.

Jestem członkiem tego tłumu, jednak moje półprzymknięte powieki to maska, tarcza, za którą mogę się schować; wzrokiem wyłapuję każdy szczegół wydarzenia. Po obu stronach podwyższenia stoi czworo nauczycieli w zielonych koszulkach ze złotym napisem „James A. Garfield Elementary School”, dwie czarne kobiety i dwóch białych mężczyzn. Mężczyźni są w tak oczywisty sposób członkami Secret Service, że ich obecność to raczej ostrzeżenie niż praca; są ubrani w taki sposób, żeby na zdjęciach w jutrzejszej „Indianapolis Star” przywódca nie wyglądał na osobę potrzebującą stałej ochrony.

Przed tłumem, odgradzony stalowymi barierkami, stoi rząd fotografów. Jest tam kilku facetów z bródkami, większość ma długie włosy zebrane w kitkę, jest też kilka kobiet. Między ziewnięciami robią zdjęcia, po prostu wykonują swoją pracę. Każdy z nich z łatwością mógłby zabić Abe Manna, jednak problem stanowiłaby ucieczka. Zabójstwo to tylko połowa zadania; zabójca dostaje pieniądze także za to, że kiedy ciało upadnie, sam zniknie bez śladu.

Oceniam, że tłum liczy jakieś pięćset osób. Jestem ubrany tak, jak większość obecnych tu młodych ludzi - szary garnitur, ciemny krawat, czarne buty i czarny pasek. Normalnie włożyłbym ciemne okulary, ale niebo jest zachmurzone, a ja nie chcę niepotrzebnie zwracać na siebie uwagi. Jak już powiedziałem, jest taki sposób stania, ubierania się, układania włosów, utrzymywania pustego wyrazu twarzy, trzymania rąk, ziewania, że kiedy ktoś na ciebie patrzy, to tak naprawdę cię nie widzi, ani w tłumie, ani w pokoju, ani nawet mijając cię w korytarzu.

Naliczyłem ośmiu agentów Secret Service przemykających przez widownię; zdradzają ich lekkie wybrzuszenia marynarek w pasie i to, jak rozglądają się dookoła, zamiast patrzeć na scenę. Podejrzewam, że w miarę posuwania się na zachód będzie ich coraz więcej. Z iloma z nich ostatecznie będę musiał sobie poradzić, to na razie zagadka.

Czekam do końca przemówienia. Ludzie się rozchodzą. Chociaż wielu zwolenników wyszło przed zakończeniem mowy, stwierdzam, że mniej podejrzeń wzbudzę jako owca w stadzie. Po raz ostatni spoglądam na kandydata Abe Manna schodzącego z podium i ściskającego ręce swoich pomocników. Na jego twarzy widać zmęczenie i choć się uśmiecha, oczy ma melancholijne.

\*\*\*

Z Indianapolis trasa Manna prowadzi do Little Rock, Oklahoma City i Santa Fe. Jadę za nim, ale nie uczestniczę w kolejnym zlocie ani nie zatrzymuję się w tym samym hotelu, co Mann i jego świta. Stoję jednak przed telewizorem i jak papuga powtarzam słowa jego przemówień, aż w końcu znam je na pamięć. Zaczynam rozumieć, jak mało w mowach politycznych jest improwizacji. Na początku każdego przemówienia dodaje dowcip o lokalnym zabarwieniu, coś, żeby tłum dostrzegł zainteresowanie jego miastem, stanem, problemami. Potem przechodzi to tekstu, który wypowiadał tysiące razy. Rozumiem jego znudzenie. Włożenie pasji w pozbawione znaczenia słowa jest prawie niemożliwe.

Kiedy docieram do Santa Fe, jadę do La Fonda, hotelu w stylu hiszpańskiego puebla. Znak nad drzwiami oznajmia, że to „Hotel na końcu szlaku”, ale to kłamstwo. Szlak nawet nie zbliża się do końca, nie dla mnie. Melduję się i czekam na pukanie do moich drzwi.

Pooley przyjeżdża trzy godziny później. Wykorzystałem ten czas, aby się przespać, więc kiedy wchodzi do pokoju, czuję się odświeżony.

Trzyma grubą tekturową kopertę. Ma spokojny wyraz twarzy.

- Czy się dowiedziałeś? - pytam, kiedy już się przywitaliśmy.

- Jeden kawałek układanki. Oprócz ciebie z całą pewnością wynajęto jeszcze dwóch zabójców. Jeden z nich to Hiszpan, Miguel Cortega. Pracował trochę w Nowym Jorku i Chicago, zanim przeniósł się do D.C. Nie wiadomo, co robił w Europie.

- Wiesz coś o nim?

Pooley potrząsa głową.

- Uruchomiłem pewne kanały, żeby ustalić nazwisko, konkretnie rozmawiałem z Wiliamem Ryanem z Vegas. Wykonał parę telefonów i dowiedział się, że to Cortega.

Ryan był wysoko postawionym pośrednikiem, który reprezentował obie strony: zleceniodawców i zabójców. Pooley i ja raz z nim pracowaliśmy i obaj byliśmy pod wrażeniem jego profesjonalizmu.

- Czy Ryan używał go wcześniej?

- Dwa razy. Dwa razy strzały z dużej odległości i dwa potwierdzone zgony.

- Snajper.

Pooley skinął głową.

- Na to wygląda.

- Czy ten Cortega wie, że jest jednym z trzech, czy jest równie ciemny, jak ja byłem?

- Powiedziałem Ryanowi, żeby to ostrożnie sprawdził. Nie był pewny, ale uważa, że nie wie.

- A wie może, czy Cortega ma wyznaczoną jakąś datę, czy będzie czekał na okazję?

- Zlecenie mówi, że ma zdjąć cel w tygodniu zlotu, tak jak ty.

Odetchnąłem głęboko.

- No, przynajmniej tyle dobrego. To profesjonalista, więc nie będzie się wyrywał do przodu. To oznacza, że nadal mam trochę czasu.

- Może tak, może nie.

- Mów dalej.

- Numer trzy. Nie znam jego nazwiska, ale wiem, kto jest jego pośrednikiem.

- Kto?

- To ci się nie spodoba.

- Jezu, Pooley, kto taki?

- Vespucci.

Spojrzałem przeciągle na mojego przyjaciela, to nazwisko ogarniało mnie jak trująca chmura. Nie słyszałem go od tak dawna, że czasem zastanawiałem się, czy Włoch nadal jest w grze. Wygląda więc na to, że owszem, jest i jakaś dziwna część mnie czuje... co właściwie... dumę? Dumę, że znów mam szansę wykazać się przed tym starym draniem? Dumę, że zdejmę jednego z jego ludzi i wypełnię zadanie? Dumę z tego, że będzie musiał zmierzyć się z faktem, że wciąż żyję? Czy może niepokoi mnie uczucie, którego doświadczam po raz pierwszy od bardzo dawna, strach?

Pooley kaszle lekko.

- Wiem, że jego nazwisko dodaje osobistego znaczenia tej misji, ale chyba lepiej wiedzieć takie rzeczy.

- Jasne, że tak. - Otrząsam się z niepokoju i patrzę Pooleyowi w oczy, żeby wiedział, że znów jestem skoncentrowany. - A nie wiesz, kto zlecił to zadanie?

- Próbowałem się dowiedzieć, ale to beznadziejne. Nie wiem, jaką władzę dzierży ten stary Włoch, ale nikt nie chce puścić pary z ust.

- Okay, Pooley, dobra robota.

Uśmiecha się.

- O tym zleceniu z pewnością się mówi.

- Tak.

- Wszędzie jest przecież mnóstwo pracy. Możesz je sobie odpuścić i nic nie stracisz.

Potrząsnąłem głową.

- Pooley, ta sprawa jest moja. Mam swoje powody, nawet jeśli teraz nie są jasne.

- Robisz się filozoficzny.

- Może.

- Cóż, w takim razie nie będę wnikał - stwierdził z uśmiechem.

- Mógłbyś załatwić kilka rzeczy, zanim wrócisz do Bostonu?

- Pewnie.

- Chcę nowy samochód, jakiegoś SUV-a, coś większego.

- Zrobi się.

- I chcę, żebyś zajrzał do lokalnej kwatery Manna. Powiedz im, że jesteś budowlańcem i obsługujesz specjalne imprezy w całym kraju. Zobacz, jakie mają systemy zabezpieczeń na spotkaniach Manna. Sprawdź, czy korzystają z prywatnych, lokalnych firm czy może z państwowych. Ktoś musi pilnować klakierów, koordynować dzieciaki, gliniarzy i żołnierzy, którzy z nim pracują. Chcę wiedzieć, kto i w jaki sposób dostał pracę przy tej kampanii.

- Jasne. Może uda się na jutro po południu, najdalej na piątek.

- Rób, co będziesz musiał. Weź zapasowy klucz z szafki. Zostań tutaj aż do naszego następnego spotkania.

Podniósł się, potem zatrzymał, odwrócił do mnie i podał mi kopertę.

- Prawie zapomniałem. Masz.

- Co to jest?

- Jeszcze trochę pogrzebałem. Nie pytaj, jak i gdzie. To... jakby to powiedzieć... załącznik do materiału wyjściowego. Myślę, że pomoże ci się skupić.

- Dlaczego uważasz, że muszę się skupić?

- Widzę, Columbusie.

\*\*\*

Siedzę w McDonalddie, najbardziej amerykańskim z fast-foodów. Ostatnio przeczytałem, że Abe Mann lubi tutaj jadać, naśladuje Billa Clintona. Jedząc tłuste hamburgery w popularnej

sieciówce, sprawia wrażenie, że jest „jednym z nas”, „zwykłym człowiekiem”, a nie jednym z nadętych arystokratów opalających się na plażach Nantucket. Jego doradcy dobrze rozgrywają karty; notowania w rankingach rosną i ma dobrą prasę. Jest jak zaprogramowany, uważa, aby nie popełnić żadnego błędu, nie zaryzykuje swojej nominacji, więc jego kampania jest równie pozbawiona życia, jak hamburger leżący na tacy przede mną. Obaj mamy misję i zmierzamy w to samo miejsce na mapie.

Po parkingu wałęsa się brązowy pies. Wygląda na bezpańskiego i nie może usiedzieć na miejscu, jakby dostał zbyt dużo kopniaków w zębra i bał się następnych. Węszy koło śmietników, ale czegokolwiek tam szuka, nie znajduje.

Otwieram kopertę, którą dał mi Pooley i wyciągam z niej plik papierów. To kolejne elementy układanki, chociaż ta jest już ułożona, wszystkie klocki są na swoim miejscu. Wycinki z gazet, rachunki z hoteli, wyciągi bankowe, oficjalny testament i dziennik, cała historia ułożona chronologicznie. Jak Pooley to poskładał albo, co bardziej prawdopodobne, kto mu to dał, oto pytania, na które chyba nie chcę poznać odpowiedzi. Pokazują, że moja matka, LaWanda Dickerson, nie jest jedyną kobietą, którą Abe Mann na zawsze usunął ze swojego życia.

\*\*\*

Nazywała się Nichelle Spellman. Była wiceprezesem działu planowania lokalnego Captain-McGuire-Magness, światowej firmy przetwórstwa rolnego z siedzibą w Topece, w Kansas. Pierwszy raz spotkała Abe Manna, kiedy przemawiała przed komisją Kongresu powołaną do zbadania zarzutu zмовy cenowej pośród spółek rolnych. Przez osiem lat spotykali się często, w tajemnicy i na całym świecie.

Nichelle Spellman od jedenastu lat była mężatką i miała siedmioletnią córkę. Nie była zbyt ładna, nieco pulchna, z ciemnymi oczami i ciemnymi włosami. Była dość nieciekawa, ale posiadała wykształcenie wyniesione z Ivy League i dar sprawiania, że ludzie

czuli się przy niej dobrze. Pełniąc funkcję wiceprezesa CMM, miała także sporo możliwości wręczania łapówek.

Zaczęła od drobiazgów, kopert z rzeczami, które kongresmen mógł przyjąć jako „prezenty” - biletami na przedstawienia w Vegas, na turniej golfa Pro-Ams, drobiazgi, które powodowały, że członkowie komisji ds. etyki unosili brwi, ale nie zadawali pytań. Mann nabrał wprawy w ukrywaniu pieniędzy, używając pośredników i otwierając konta na całym świecie. Przez lata znajomość się rozwijała, a suma pieniędzy przechodzących z rąk do rąk była oszałamiająca. W zamian Kongres trzymał się z daleka od spraw CMM. Komisje specjalne rozwiązano. Zarzuty upadły. Zmowa cenowa w rolnictwie nie była tak medialna, jak afera dopingowa w pierwszej lidze baseballu albo seksafera w Hollywood, więc nie było trudno odwrócić od niej uwagę. Zwłaszcza, że zostało to poparte czekiem opiewającym na siedmiocyfrową kwotę.

Znajomość zakończyła się gwałtownie za sprawą FBI, które przyłapało Nichelle Spellman na wręczaniu łapówki. Mann nie był świadom, że federalni prowadzą śledztwo, aż w końcu było za późno. Próbował się z nią skontaktować przy różnych okazjach jedenaście razy, ale jego telefony nie doczekały się odpowiedzi. Musiał się upewnić, że go za sobą nie pociągnie, że jego nazwisko nie wypłynie, nie teraz, kiedy właśnie został wybrany Przewodniczącym Kongresu. FBI kontynuowało śledztwo, mówiło się o Wielkiej Ławie Przysięgłych, zeznaniach, procesie.

Szesnastego maja tamtego roku, kiedy Wielka Ława Przysięgłych miała wysłuchać zeznań pani Spellman, jej córka Sadie została uprowadzona prosto ze szkolnej ławki. Do szkoły przyszedł mężczyzna, powiedział, że jest z biura męża Nichelle i Sadie musi z nim natychmiast iść, ponieważ zdarzył się nagły wypadek. Mężczyzna robił wrażenie osoby godnej zaufania, nie wzbudzał podejrzeń i był pewny siebie, więc nauczycielka zgodziła się bez wahania. Tydzień później Nichelle, odpowiadając na pytania zadawane jej przez Wielką Ławę Przysięgłych, za każdym razem odwoływała się do Piątej Poprawki do Konstytucji. Była zrozpaczona, ale zdecydowana; spytano ją, czy w świetle tragedii rodzinnej potrzebuje



więcej czasu, odpowiedziała, że nie; to były jej zeznania i chciała, aby trafiły do akt. Proces został wstrzymany. Nazwisko Abe Manna nie padło z jej ust ani razu.

Miesiąc później tajny agent policji z Kansas, Nichelle, jej mąż i córka zostali znalezieni martwi w wypełnionym śniegiem rowie w pobliżu opuszczonego lotniska. Wszyscy zostali zastrzeleni z bliskiej odległości. Gazety opisywały to jako nieudaną próbę ujęcia porywaczy, przykre zakończenie smutnej afery. Na ciele córki widać było ślady pobicia. Nigdy nie aresztowano nikogo podejrzanego.

Odkładam papiery, obracając w myślach nowe informacje.

Abe Mann najwyraźniej nabrał pewności siebie w zleceniu zabójstw. Nichelle nawet o nim nie mówiła, nie wsypała go, a jednak chciał mieć pewność, że nie zmieni zdania i jego tajemnice zabierze ze sobą do grobu.

Ile razy jeszcze zlecił egzekucję? Ile ciał zostało schowanych głęboko w szafie kongresu? Czy sprawia mu to przyjemność, czy czuje się jak Bóg, decydując o życiu i śmierci?

Wygłąda na to, że jestem bardziej podobny do ojca, niż sądziłem.

\*\*\*

Przy stoliku kilka stóp dalej siedzi samotnie mężczyzna, ewidentnie na kogoś czeka. Nerwowo postukuje stopą o podłogę i co kilka sekund spogląda na drzwi. Wreszcie pospieszenie wchodzi przez nie kobieta, a za nią dwóch małych chłopców. Jestem pochylony nad aktami, metodycznie przeżuam swojego hamburgera, próbując nie patrzeć, nawet kiedy para dosłownie szczeka na siebie.

- Ustaliliśmy dwunastą trzydzieści. Siedzę tu od godziny!
- Spróbuj bez pomocy spakować ich na weekend. No spróbuj !
- Próbowałem się dodzwonić na twoją komórkę.
- Może byłam trochę zajęta, nie wpadłeś na to?
- W poniedziałek przywiozę ich o godzinę później.
- Nie rób sobie kłopotu.

- Świetnie, Amy. Naprawdę świetnie. I to na ich oczach.
- Nie waż się teraz zgrywać porządnego...

Po kilku dalszych zdaniach kobieta wypada na zewnątrz, zostawiając mężczyznę samego z dwoma chłopcami. Każdy z nich ma plecak i wyraz zawstydzenia na twarzy.

Kończę mój lunch i niosę tacę do kosza na śmieci. Wciąż czuję tłuszcz na języku, chociaż wypilem cały kubek coli, nie mogę się go pozbyć.

Wychodzę na parking i nie mogę uniknąć małego zbiegowiska, które powstało obok mojego wynajętego samochodu. Nie chcę na nikogo patrzeć, chcę tylko wsiąść i odjechać, ale już na to za późno. Patrzą na mnie, potrząsają głowami, chcą, abym do nich dołączył, chcą, abym zobaczył to, co oni, i jak oni poczuł litość.

Kobieta, która przywiozła do McDonalda swoje dzieci, wysiadła z minivana, ale zostawiła otwarte drzwi i pracujący silnik.

- Nie widziałam go. Po prostu wyskoczył mi przed samochód.

Brazowy pies leży przed samochodem, tylne łapy ma złamane, oczy dzikie. Próbuje się dźwignąć, ale nie może, więc znów opada, dyszy nerwowo, zbiera siły do kolejnej próby, znów i znów.

Próba, porażka, odpoczynek, próba, porażka, odpoczynek. Próba. Porażka.

\*\*\*

Idę przez dziedziniec La Fondy, mijam ludzi kończących lunch i zmierzam do swojego pokoju.

Potem świat zwalnia, dźwięki cichną, wszystko zawęża się do jednego obrazu, jakbym patrzył przez tunel. Jeden obraz, w którym mieści się wszystko, co w życiu widziałem. Z mojego pokoju wychodzi człowiek, w dłoni ma pistolet, na twarzy świeżą krew. Nasze spojrzenia spotykają się. Rozpoznaję go, znam go. Nie widziałem go od lat, ale to z pewnością on. Ładowałem jego ciężarówkę, przedstawił mnie temu czarniawemu Włochowi, przyprowadził Coxa do fabryki tekstyliów. Zawsze wiedziałem, że on, Hap Blowenfeld, był zabójcą, że Vespucci zrekrutował go przede mną, że

ta ciężarówka musiała być przykrywką. W tej chwili, w tym jednym przeblysku zrozumiałem i zarejestrowałem każdy szczegół dotyczący tego Hapa, trzymającego w ręce nową beretę, tego, który nadal waży jakieś dziewięćdziesiąt kilogramów, faceta który ma na czole trzycalową bliznę, której nie było tam wcześniej, i który teraz ma na twarzy krew Pooleya.

A potem wszystko wraca do normalnej prędkości, ale jest jakby ostrzejsze, kolory są żywsze, zapachy wyraźniejsze, Hap się nie waha. Podnosi broń i wypala, tłumik wycisza odgłos strzału, jednak ja ruszam się szybko jak lampart, który w dżungli natknął się na większego od siebie drapieżnika. Wypadam z powrotem na dziedziniec, kula uderza w ścianę tylko kilka cali od mojej głowy i wiem, że Hap za mną nie pójdzie, podobnie jak mnie jego także wyszkolono w znikaniu. To nie jest teraz moje zmartwienie, moim zmartwieniem jest iść tak szybko i tak normalnie, jak to tylko możliwe. Muszę przejść przez hol do range rovera, którego dziś rano Pooley zostawił dla mnie na parkingu pod hotelem. Może nie przyciągnę żadnych spojrzeń i może jeszcze zdążyć dopaść tego sukinsyna w samochodzie, zanim odjedzie.

Uruchamiam silnik i objeżdżam budynek w samą porę, aby zobaczyć czarne audi wyjeżdżające na San Francisco Street, piszczące oponami przy zjeździe z betonu na asfalt. Nareszcie coś miłego po całym tym koszmarnym dniu, od tamtego pieprzonego psa z połamanymi nogami poczuwszy, na Pooleyu pałętającym się po Santa Fe skończywszy. Powinien był jechać z powrotem na wschód, ale to ja powiedziałem mu, żeby został. Chciałem mieć więcej informacji, a przecież sam mogłem je zebrać, to ja wciągnąłem go w to bagno i teraz nie żyje przeze mnie, biedny pieprzony Pooley, przez całe swoje cholerne życie babrzący się w gównie.

Nie musiałem widzieć jego ciała, aby wiedzieć, co się stało: Vespucci był dobrym pośrednikiem i wywęszył, że do tego zlecenia wynajęto kilku fachowców, a Hap natknął się na mnie, ponieważ robił to, co ja - próbował się dostać do głowy Manna, stworzyć połączenie po to, aby je zerwać. I zobaczył mnie, namierzył i poszedł do tego pokoju, sądząc, że mnie w nim zastanie, ale tam

czekał na mnie Pooley. Niczego nie podejrzewając, otworzył drzwi i dostał kulkę w głowę. Jeśli nawet niedokładnie tak było, to musiało wydarzyć się coś bardzo podobnego. Teraz Hap zwiększał odległość między nami, ponieważ to on siedział w audi. Kazałem Pooleyowi przyprowadzić coś większego, jakiegoś SUV-a, bo sądziłem, że mam mnóstwo czasu na zrealizowanie moich planów.

Mija godzina, zanim uświadamiam sobie, że audi zniknęło, a ja jestem sam.

# Rozdział dziewiąty

Ciemność. Tylko ciemność.

I ból.

Zameldowałem się w podrzędnym hotelu i siedzę w ciemnościach na łóżku, nasłuchuję huku wielkich ciężarówek jadących autostradą i rozmyślam.

Wcześniej na lokalnym kanale informacyjnym wspomniano o strzelaninie w La Fonda i o martwym mężczyźnie, który zameldował się jako Jim Singleton, ale nie było pewności co do jego tożsamości. Policja badała sprawę, ale ja wiedziałem, że nigdy jej nie rozwiążą. Pociski w ciele Pooleya były nieoznaczone, broń najprawdopodobniej zniszczona, a człowiek, którego znałem jako Hapa Blowenfelda, pewnie był już daleko od Santa Fe, zapewne w drodze do Nevady, gdzie Abe miał następny przystanek. Może mieli nagranie z kamer ochrony, na którym widać Hapa i mnie w holu budynku, ale będą zdrowo kłąć, bo nie da się rozpoznać naszych twarzy. Obaj wiedzieliśmy, gdzie są kamery i jak się poruszać.

Dlaczego Hap próbował mnie zabić? Przypuszczalnie z tego samego powodu, z jakiego to ja właduję kulkę Miguelowi Cortedze i jemu samemu. Końcem gry jest śmierć kandydata Abe Manna podczas konwencji i nie możemy sobie pozwolić na to, aby ktoś nas uprzedził. Ktokolwiek nas wynajął, chciał trzech zabójców, chciał mieć pewność, że zadanie zostanie wykonane. Jednak ostatecznie tylko jeden człowiek pociągnie za spust. To stanowi część tej pracy, konieczne ryzyko. Kilku zabójców oznacza kilka zabójstw i trzeba się z tym liczyć.

Ale Hap mnie nie zabił; zabił część mnie, mojego jedyne-  
go przyjaciela, mojego brata i dlatego właśnie zapłaci własnym ży-  
ciem, mniejsza o Abe Manna.

Ciemność. I ból. I Pooley.

\*\*\*

Po tym, jak zabiłem Levine'a i wszystkich jego ochroniarzy, Vespucci poprosił mnie o spotkanie na szczycie piętrowego parkingu w pobliżu rzeki. Zrobiło się zimno, na ziemi leżał śnieg sięgający kolan, cały Boston pokryty był bielą. Na odsłoniętym dachu bez żadnych przeszkód chłostał nas wiatr.

Vespucci był sam, owinięty w grubą parkę, ale nie miał kapelusza. Stał, patrząc na mnie twardym, zimnym wzrokiem, jakbym stanowił jedynie zwykłą niedogodność.

- Co się stało? - rzucił się na mnie, kiedy tylko podszedłem.

- Zerwałem połączenie.

- Zerwałeś! - podniósł pełen pogardy głos. - To była krwawa łaźnia! Zabiłeś siedmiu jego ludzi! Zostawiłeś za sobą masakrę!

- Wypełniłem zadanie.

- Nie, Columbus! Nie! Mylisz się. Twoim zadaniem było zabić Richarda Levine'a. Tylko Richarda Levine'a!

- Zrobiłem to, co było konieczne.

Zaczął coś mówić, potem zamilkł i popatrzył na mnie ciężko. Miałem czerwoną twarz, jednak nie od wiatru. Kiedy znów się odezwał, głos miał mocny, ale pełen żalu.

- Columbus. Nie jesteś właściwym człowiekiem do tego rodzaju pracy. To stwierdzenie jest dla mnie bolesne. Wiem, że to moja wina. Nie... jak to powiedzieć... nie doradzałem ci tak, jak powinienem. Przyjmuję na siebie odpowiedzialność.

Przestąpił z nogi na nogę, ale nie odwrócił wzroku. Nie odzywałem się, czekając, aż skończy.

- Twój... szal... sprawił, że mam pewne trudności. Rozmiar tego, co zrobiłeś, zmusił tutejszą policję do zaangażowania w śledztwo wszystkich sił. I nie tylko policja zwarła szyki, ale także kilka

powiązanych ze sobą rodzin z tego miasta wysłało... hm... ludzi, którzy mają odkryć, kto stoi za śmiercią Levine'a i jego ludzi.

Jego oczy lekko złagodniały. Dostrzegł chyba, że dotarło do mnie, jaki mu sprawiłem kłopot.

- Teraz rozumiem, panie Vespucci. Nie powinienem był...

- Nie powinieneś być widywać się z Jacqueline Owens po tym, jak ci powiedziałem, żebyś z nią zerwał.

To sprawiło, że załamem się rumieńcem. Nie spodziewałem się, że wciągnie w to Jake. Skąd wiedział?

- Tak. Wiem, dlaczego to zrobiłeś. Wiem, że ci mężczyźni odkryli, że masz dziewczynę. A idąc tym tropem, mogli rozgryźć i ciebie. Columbusie, ostrzegałem cię. Ale ty nie słuchałeś. Ech...

Splunął na ziemię, jakby chciał pogrzebać moją głupotę pod śniegiem.

- Naprawię to.

Potrząsnął głową.

- Obawiam się, że jest na to za późno. Życzę ci wszystkiego najlepszego.

Sięgnął pod płaszcz, ale w sekundę miałem w ręce pistolet i celowałem w jego głowę. Szybkość mojej reakcji zaskoczyła go; nie wiem, czego się spodziewał, ale byłem gotowy. Nawet okryty hańbą byłem gotowy.

Przez chwilę wyglądał na zaskoczonego, potem dotarło do niego, gdzie jest jego dłoń i jak to musiało wyglądać. Powoli, bardzo powoli wyciągnął z zanadrza dużą tekturową kopertę.

- Przez to, co zrobiłeś, przyjdą nas szukać. To jest nasze ostatnie spotkanie. Mam nadzieję, że rozumiesz.

Rzucił kopertę na śnieg i ruszył w stronę schodów w rogu parkingu.

\*\*\*

W kopercie było tyle pieniędzy, że mogłem porzucić mieszkanie i przenieść się do kawalerki we Framingham, jakieś trzydzieści mil od miasta. Niedługo był tu tani hotel, pokój miał tylko piętnaście

metrów kwadratowych. Pomieszczenia przerobiono na mieszkania, montując w łazienkach maleńkie lodówki i zlew. Musiałem kupić sobie jednopalnikową kuchenkę. Poza tym było tam tylko łóżko, rodzaj twardego materaca opadającego ze ściany.

Pooley wprowadził się po czterech dniach. Wydałem trochę pieniędzy na małą hondę i odebrałem go z Waxham, kiedy wreszcie go wypuścili. Wyglądał tak samo, był mizerny i rozczochrany, ale sprawiał wrażenie zdrowszego. Ostatnie lata w Waxham były dla niego nie najgorsze. Stał się kimś w rodzaju przedsiębiorcy, dogadał się z kilkoma strażnikami i w poprawczaku stworzył wielki rynek nielegalnych dóbr. Kupił sobie ochronę starszych wychowanków i był traktowany jak szef. Wyszedł stamtąd, mając ponad pięć tysięcy dolarów w puszcze po kawie zakopanej za murami przez jednego ze strażników.

- Moja cela chyba była większa - powiedział, kiedy otworzyłem drzwi od mieszkania.

- Pewnie tak.
- Masz jakieś piwo?
- W lodówce.

Wyciągnął butelkę, zdjął kapsel i pociągnął długi łyk. Z mebli miałem tylko koślawą sofę, którą kupiłem na wyprzedaży garażowej. Pooley opadł na nią, ja zaś usiadłem na podłodze, opierając się o ścianę.

- Dobrze cię widzieć.
- Dobrze wyglądasz. Tak, dobrze wyglądasz.

Siedzieliśmy przez chwilę, nagle zadowoleni, na powrót odnajdując uczucia, które dla siebie mieliśmy. Były krzepiące i znajome jak stara kurtka. Opowiedziałem mu o wszystkim, o tym, czego nie było w listach, zaczynając od tego, jak Jake pomyliła mnie ze swoim bratem i kończąc na tym, jak Vespucci mnie odprawił. W trakcie opowiadania zarzucał mnie pytaniami, wypytywał o szczegóły, drobiazgi, konkrety. Przyjął do wiadomości rolę Vespucciego w moim życiu i wyrzucał z siebie pytania jak karabin maszynowy. Ilu ma ludzi? Jak zdobywa informacje? Jak spotyka się ze swoimi kontaktami? Ilu zabójców dla niego pracuje? Czy sam zbiera



informacje, czy ktoś to robi dla niego? Jak się ubiera? Jak dba o siebie?

Próbowałem odpowiedzieć na tyle, na ile byłem w stanie. Pooley w najmniejszym stopniu mnie nie oceniał; właściwie to był zafascynowany. Poprosił, abym mu pokazał moją broń, więc wyciągnąłem pistolety, wyjaśniłem, jak się nimi posługiwać, jak je ukrywać na ciele.

- Mógłbym to robić - powiedział wreszcie po chwili milczenia, nasłuchując głębokiego mruczenia pługu śnieżnego oczyszczającego ulicę.

- No nie wiem, Pooley. Zabicie celu...

- Nie, nie mówię o tej części z zabijaniem. Nie mam na to nerwów. Ale mógłbym być twoim słupem. Robić to, co robił Vespucci.

W głowie zaczęły mi się obracać kółeczka.

- A jak byś się za to zabrał?

- Nie wiem. Pewnie zacząłbym od strzępków informacji.

- Nie jestem pewien...

- Columbusie, w Waxham byłem cholernie pomysłowy.

Wypowiedział to imię powoli, jakby oblepiało mu język, ale z uśmiechem na twarzy. Od tej chwili nigdy nie zwrócił się do mnie moim prawdziwym imieniem. Używał tylko imienia zabójcy, które nadał mi Vespucci.

- Mówię poważnie - ciągnął dalej. - Zwracam uwagę na szczegóły, jestem w to wmieszany, przetrwałem poprawczak. Przemknąłem przez niego jak kameleon; tak naprawdę uciekłem stamtąd, zanim mnie zwolnili. Mógłbym dostarczać ci informacje, a ty mógłbyś dalej robić to, co robisz. Zajmę miejsce zwolnione przez Vespucciego. I będę w tym lepszy niż on.

- A gdzie w ogóle zaczniesz szukać kontaktów? Tu niezbyt chętnie wita się nowych. „Hej, wyglądasz na uczciwego. Chcesz zabić kogoś dla mnie?”

- To ja będę się o to martwił.

- Nie da się tak. Ja też się będę martwił.

- Jak chcesz. Daj mi sześć miesięcy. Mamy razem tyle kasy, że nie musimy się przejmować przynajmniej przez rok. Jeśli się uda,

świetnie. Jeśli nie, zostanie nam mnóstwo czasu, aby pomyśleć o czymś innym. Zaczniemy smażyć hamburgery, ładować piwo na ciężarówkę czy robić cokolwiek innego, coś, do czego przygotowuje Waxham.

Przez długi czas nic nie mówiłem. Piłem piwo, siedziałem pod ścianą i obracałem w głowie tę myśl. Wreszcie popatrzyłem na niego. Uśmiechał się szeroko, oczy mu błyszczały.

- Jesteś pewny, że chcesz się w to pakować?

- Równie pewny, jak ty, kiedy rozwaliles Coxowi jego pieprzony łeb.

Wyciągnąłem rękę i stuknęliśmy się butelkami.

- No to do roboty.

Trzy tygodnie później przyszli po mnie.

\*\*\*

- Właśnie podjechał jakiś mercedes i wysiadło z niego trzech facetów.

- Co?

Pooley siedział na sofie, osłaniając oczy przed słońcem wpadającym przez małe okno. Przez przypadek wyglądał przez nie w odpowiedniej chwili.

- Rozdzielają się, jeden idzie od frontu, drugi na schody, a trzeci na tył. Czarni faceci w garniturach.

Czarni faceci, garnitury i mercedes. Żadna z tych rzeczy nie pasowała do podniszczonej kawalerki we Framingham; wszystkie trzy równie dobrze mogłyby być światłem ostrzegawczym na latarni morskiej.

Nie potrzebowałem dalszych informacji. W ciągu sekundy byłem na nogach i otwierałem walizkę z bronią. Pięć sekund później miałem dwa naładowane i gotowe do użycia Glocki. Pooley sturlał się z sofy. Rzuciłem mu dwa puste magazynki. Błyskawicznie zaczął ładować naboje, jakby przez całe życie nie robił nic innego. Uśmiechnąłbym się na ten widok i podziwiałbym, jak ze zręcznością

wirtuoza grającego na fortepianie manewrował pociskami, ale miałem coś innego do roboty.

Podkradłem się do drzwi mieszkania, przyciłem się za nimi, po czym jeden z pistoletów przyłożyłem lufą do drewna. Pooley leżał na dywanie i zerkał przez małą szparę między drzwiami i podłogą. Przez korytarz przemknął cień, a potem do drzwi zaczęły się zbliżać dwa buty w kolorze burgundzkiej czerwieni.

Pooley nie wahał się, kiwnął głową dając mi sygnał do strzału. Siedem razy nacisnąłem spust, robiąc dziury w drewnie, a nozdrza natychmiast wypełnił mi zapach prochu, dymu i krwi.

Otworzyłem drzwi i pochyliłem się nad podziurawionym kulami ciałem czarnego mężczyzny, który przyszedł mnie zabić. Niewidzące spojrzenie miał skierowane w sufit, a na twarzy wyraz... zaskoczenia? Nie miałem jednak czasu zastanawiać się nad tym, pogałem korytarzem w stronę klatki schodowej prowadzącej do alejki na tyłach budynku.

Po schodach biegł kolejny czarny mężczyzna; wystrzelił pierwszy, trafiając mnie w prawe ramię i posyłając na ziemię. Podbiegł, chcąc zapewne mnie wykończyć, ale popełnił błąd, przez sekundę zatrzymując się nad moim skulonym ciałem. Pooley strzelił mu w głowę z małej odległości, ściana i moja twarz pokryły się czerwoną mgielką, jakbym kapał się we krwi. Nie wiedział, że mam towarzystwo, nie pofatygował się, żeby mnie sprawdzić, dowiedzieć się, czy nie czekają na niego jakieś niespodzianki. W gruncie rzeczy ich amatorszczyzna kazała mi się zastanowić, czy to faktycznie Vespucci ich przysłał. Albo może został zmuszony do wydania mnie, może w ten sposób zrobił mi przysługę, przekazał ostatni gest. Jeśli został zmuszony, aby kogoś do mnie wysłać - jeśli dopadły go inne rodziny z Bostonu - cóż, przynajmniej posłał kogoś z niższej ligi i dał mi szansę na walkę.

Kopnąłem drzwi mieszkania na pierwszym piętrze. Wiedziałem, że jego najemca pracuje i nie będzie go w domu. Okna wychodziły na front budynku i wraz z Pooleym dopadliśmy do nich, aby popatrzeć na trzeciego strzelca. Stał tam, spoglądał na zegarek, przestępował z zimna z nogi na nogę i z rosnącym zaniepokojeniem popatrywał na moje okno.

Pooley wyjął magazynek z mojego glocka, napełnił go, załadował i oddał mi broń. Potem odrobinę uchylił okno, tylko tyle, aby wsunąć lufę. Trzeci strzelec z kieszeni marynarki wyjął skrawek papieru, sprawdził adres, popatrzył na zegarek, znów sprawdził adres, zmarszczył brwi i wtedy... pyk... Mój pierwszy i jedyny strzał trafił go w twarz, roztrzaskując nos i wyrwijając pół twarzy. Szarpnął się w tył i przewrócił na pokryty śniegiem asfalt.

Pooley i ja zebraliśmy cały dobytek do dużego worka na śmieci i poszliśmy na parking do samochodu. Trzeci strzelec leżał martwy na śniegu, a wokół jego głowy czerwieńiała kałuża krwi. Budynek mieścił się przy małej uliczce odchodzącej od głównej drogi, o tej porze dnia praktycznie nie było tu ruchu. Mieliśmy szczęście, że przez pięć minut, które spędziliśmy w moim mieszkaniu, zbierając rzeczy, nikt nie wjechał na parking.

Popatrzyłem na ciało niedoszłego zabójcy i zauważyłem jakiś papier, który nadal ścisnął w dłoni, świstek papieru, który wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Columbusie, chodźmy, zanim ktoś się pojawi.

Pooley miał rację, powinienem wskoczyć za kierownicę i uciekać stąd, ale chciałem wiedzieć, czy na tym kawałku papieru jest może jakaś wskazówka mogąca doprowadzić mnie do człowieka, który próbował mnie zabić. To była tylko ostrożność.

Złapałem paperek, na którym ołówkiem, ledwo czytelnie, naskrobany był mój adres we Framingham, nic poza tym. W każdym razie nie dostrzegłem nic, dopóki nie spojrziałem na drugą stronę.

Widniał tam drugi adres, zapisany tą samą ręką.

Pooley musiał zauważyć, że straszliwie zbladłem.

- Co jest?

- Mają adres Jake.

\*\*\*

Nie rozmawiałem z Pooleyem. Przycisnąłem gaz do dechy, gnając w stronę Bostonu jak pocisk wystrzelony z armaty. Pędziłem na oślep, ignorując coraz większy ból w ramieniu, koncentrując się na

jednej jedynej rzeczy - na dotarciu do Jake. Nie zwolniłbym, nawet gdyby Bóg we własnej osobie zastąpił mi drogę.

- Nie wiemy, czy nie pojechali najpierw do niej.

Nie odpowiedziałem, a Pooley nie zagadywał mnie więcej. Oklapł tylko na swoim siedzeniu jak po ciężkim wysiłku.

Dojechałem do Bostonu i przejeżdżałem skrzyżowanie za skrzyżowaniem, aż wreszcie z piskiem opon zatrzymałem się przed jej blokiem. Zostawiłem samochód byle jak na ulicy, nie zawracając sobie głowy szukaniem miejsca parkingowego.

- Columbus! Columbus! Na litość boską, uspokój się. Wiesz, jak wyglądasz? Jak wariat...

Pooley krzyczał, ale jego słowa do mnie nie docierały, pędziłem po dwa stopnie naraz. Nie użyłem domofonu; po prostu stłukłem pięścią szybę w drzwiach i przekręciłem klamkę od środka, a moja dłoń ociekała krwią. Pobiegłem po schodach do jej mieszkania.

Załomotałem zakrwawioną ręką; odkryłem, że nie jestem w stanie unieść tej zdrowej, pewnie pocisk w ramieniu sprawił, że stała się bezużyteczna. Gdzie ona była? Boże, proszę, nie mów mi, że oni... Znów załomotałem, łup, łup, łup, raz jeszcze i znowu. Proszę, powiedz mi, że oni nie... Vespucci powiedział, żebym przestał się z nią widywać i przestałem, wyjechałem z miasta bez pożegnania, nie zadzwoniłem do niej, nie wysłałem listu, chciałem, aby to umarło, ale nie w taki sposób, łup, łup, łup, nie w taki sposób, łup, łup, łup...

A potem drzwi się otworzyły. Pojawiła się w nich twarz Jake, jej piękna twarz, mój Boże; była cała i zdrowa, zaskoczona moim widokiem, już miała się rozgniewać, ale zobaczyła krew na mojej koszuli, na mojej ręce...

- Co ci się stało?

Przestraszona wciągnęła mnie do środka. Z ulgi nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Ona mogła.

- Zamartwiałam się. Przez całe tygodnie ani słowa, ani telefonu, nic. Nie wiedziałam, co ci zrobiłam, czym cię zraniłam. Tak bardzo cię kocham, po prostu nie mogłam tego zrozumieć.

Mówiąc, rozpinała guziki mojej koszuli, zobaczyła ranę na moim ramieniu i wstrzymała oddech. Bez słowa poszła do kuchni, złapała jakąś szmatkę i puściła gorącą wodę z kranu.

Wiedziałem, że będę musiał zrobić najtrudniejszą rzecz w życiu, trudniejszą od zabicia człowieka. Skończyć to i mieć pewność, że to koniec, mieć pewność, że nigdy po nią nie przyjdą. Nie mogłem tak po prostu uciec i jej zostawić.

Wróciła ze strzępem mokrego materiału i zaczęła przemywać moją ranę, ale złapałem ją za nadgarstek i odepchnąłem.

- Musisz się wyprowadzić.

- Co takiego?

- Musisz się stąd wynosić. Zabierz swoje rzeczy, zabierz tylko to, co możesz spakować w pięć minut i wynoś się stąd. Jedź gdzieś, gdziekolwiek, ale wynoś się z Bostonu i nie wracaj.

- O czym ty mówisz?

- Po prostu to zrób!

Mój głos musiał ją wstrząsnąć, do oczu napłynęły jej łzy.

- Nie rozumiem!

- Jake, jestem złym człowiekiem! Jestem gorszy niż zły. Jestem pieprzonym koszmarem. Nie wiesz o mnie kurwa nic!

- Co, co... - chlipnęła.

- Kurwa, nigdy cię nie kochałem. Byłaś dla mnie tylko materacem. Czymś, z czym można spać, żeby przestać myśleć o innych gównach w życiu.

- O czym ty mówisz? - to był ledwie szept, twarz miała zalaną łzami.

- Myślisz, że mi na tobie zależy? Myślisz, że nie dymałem dwudziestu takich lasek, jak ty?

- O czym ty mówisz? - powiedziała jeszcze ciszej łamiącym się głosem.

- Teraz znikam i ty też masz zniknąć. Jake, znam ludzi, którzy chcą ci zrobić krzywdę. Ludzi, z którymi jestem związany. Dałem im, kurwa, twój adres i teraz chcą sami obejrzeć twoją dupę. Sprawdzić, czy faktycznie jest taka fajna, jak mówiłem.

Cofnęła się o krok, szlochając.

- Jake, nie mogę ich powstrzymać. Nie wiem, po co ja ci to właściwie mówię. Chyba po prostu chciałem dać ci szansę ucieczki.
- Ja nie rozumiem...
- Gównu mnie obchodzi, czy rozumiesz, czy nie. Jak dziś stąd nie znikniesz, to po ciebie przyjdą.
- Kocham cię - powiedziała słabo.
- Musisz stąd zniknąć, i to już.
- Ale ja cię kocham! - krzyknęła z mocą, która mnie zaskoczyła.
- Nie wiem, o czym mówisz, ale to nie jesteś ty. Nie wiem, kto to taki, ale to nie ty. Jeśli powiesz mi, co się stało, to może będę mogła...

I wtedy ją uderzyłem, zakrwawioną pięścią walnąłem ją w szczękę, aż upadła na podłogę.

- Niiieeeeeee... - zaczęła zawodzić.

Kopnąłem ją mocno w żołądek. Słyszałem swój głos wydobywający się z gardła, jakby nie należał do mnie.

- Jake, to jest wszystko, co musisz wiedzieć. Dla facetów, z którymi pracuję, to będzie tylko rozgrzewka. Jeśli w ciągu następnych dziesięciu minut nie znikniesz z Bostonu, pojawią się tu osobiście, pojmujesz to?

- Dłaczegoooooo... - teraz się dławiła, nie mogła złapać tchu.

- Dziesięć minut. I zapomnij o mnie. Zapomnij nawet moje imię. A jeśli jeszcze kiedyś się spotkamy, to będzie twoja ostatnia chwila na tym świecie. Obiecuję ci to.

Rzuciłem jej na twarz mokrą szmatę, odwróciłem się i wyszedłem, zostawiając ją łkającą na podłodze.

Wraz z Pooleym obserwowaliśmy z pobliskiej uliczki, jak Jake gramoli się do swojego samochodu, jak wrzuca do niego poszewkę na poduszkę wypełnioną swoimi rzeczami i odjeżdża.

Nigdy więcej jej nie widziałem.

# Rozdział dziesiąty

W każdym człowieku drzemie skłonność do przemocy. W którymś momencie życia zostaje poddany testowi. Uderzenie ojcowskim pasem, cios otwartą dłonią w twarz, bójka w barze, złamany nos, zakrwawione usta, podbite oko, pistolet przy twarzy, nóż dźgający żebra. Reakcja człowieka na przemoc jest w niego wdrukowana. Może się kryć, odsuwać albo patrzeć niewzruszenie. Może się podnieść albo może się przejąć. Albo może sam uciec się do przemocy.

A co jest przeciwieństwem przemocy? Miłość? Łagodność? A czy te przeciwieństwa, łagodność i przemoc, Kain i Abel, mogą być w człowieku jednocześnie? A może jedna jego część walczy z drugą, jak wrogie armie w długotrwałej wojnie? A jeśli tak jest, to która strona jest silniejsza?

Jadę do Nevady, zraniony, choć nie fizycznie, i zmęczony. Nie podążam śladem mężczyzny, którego mam zabić, w każdym razie już nie. Jestem na innym tropie. Teraz poluję na myśliwych.

Kongresmen Abe Mann nie będzie przemawiał w Las Vegas. Jest aż nadto świadom tego, że dla wielu wyborców to miejsce grzechu. Wie, że jego zdjęcie zrobione w tej mekce hazardu, pieniędzy i prostytucji może odwrócić przychylność mas. Zamiast tego zrobi jeden przystanek w Carson City - stolicy stanu, a potem ruszy na północ, do Waszyngtonu. Jego materiały prasowe tylko ogólnikowo wspominają o Nevadzie, a kolacja, którą zje w stolicy, jest prywatna i bez udziału dziennikarzy.

Nie znam *modus operandi* Miguela Cortegi, ale jestem pewien, że Hap Blawenfeld będzie podązał za kongresmenem jak cień.



Z tego właśnie powodu, choć nie tylko, Hap jest pierwszy do odstrzału.

Jadę przez Vegas. Żyje tu ktoś, kogo znam; waham się przed nazwaniem go przyjacielem. Praca Pooleya polega... polegała... na tym, żeby znać innych pośredników, ludzi, którzy szukają fachowców do wynajęcia. Często spotykam się z nimi bezpośrednio, jak w tamtym magazynie z Archibaldem Grantem i aktówką, która odmieniła moje życie. Pośrednicy lubią rzucić na mnie okiem, zobaczyć mnie osobiście, ocenić. Robią to jak starsze panie oglądające melony w warzywniaku. Pooley mawiał, że wystarczy spędzić ze mną pięć minut, a każdemu przejdzie chęć oszukania mnie na umówionej zapłacie. Mam nadzieję, że to wciąż działa.

Jadę w dół Flamingo, zmierzając na zachód do Summerlin, aż docieram do okolicy nazwanej niefortunnie Leśne polany. Każdy dom jest dokładnie taki sam, jak przesłodzony raj, morze beżowych stiuków i rdzawych hiszpańskich dachówek. Przy każdym z nich jest trawnik wielkości znaczka pocztowego. Jedyne „lasy” w sąsiedztwie to wyłysiałe palmy na niektórych podwórkach.

W przedmieściach Vegas miłe jest to, że dyskrecja jest niemal ujęta w przepisach. Ludzie chodzą ze spuszczoneymi oczami, unikają kontaktu wzrokowego z sąsiadami. Tak jakby upały i pustynny krajobraz zainfekowały serca tych, którzy tu mieszkają. Albo może zbyt wielu tutejszych mieszkańców jest zaangażowanych w niezbyt czyste interesy.

Parkuję samochód przy krawężniku obok jednopiętrowego domu oznaczonego numerem 506. Już tu kiedyś byłem, właściwie dwa razy, ale w innych okolicznościach. Tym razem szukam pomocy.

Drzwi otwiera mi mały Indianin o imieniu Max, zanim zdążę zapukać. Jest ciemny i łysieje, a jego uszy są zbyt duże w stosunku do twarzy. Jest niewysoki, ale ciało ma zwarte, muskularne, jak pitbull. Jego głos jest chrapliwy.

- Columbus...
- Max.
- Pan Ryan cię nie oczekuje.

- Potrzebuję jego pomocy.
- Max milknie i mruga kilka razy. Czeka na więcej.
- Mogę wejść?
- Zależy jakiego rodzaju pomocy potrzebujesz.
- Mój słup nie żyje.

To wystarczyło. Otwiera drzwi szerzej i wchodzi do holu. Natychmiast obszukuje mnie dwóch dużych facetów o ciemnej skórze, jak Max. Może to jego synowie lub bratankowie, na czubkach głów mają takie same jak on łysinki. Kierują mnie na krzesło przy drzwiach, siadam i czekam. Kiedy Max wychodzi, lekko stawiając stopy na marmurowej posadzce, stają po mojej lewej i prawej stronie. Prośenie o pomoc wymaga pokory i chcę mieć odpowiedni wyraz twarzy.

Każę mi czekać, a to sygnał, że w tej sytuacji to on jest górą. Chce, abym wiedział, że przewaga jest po jego stronie. Ale ja się nie wiercę, nie pokasłuję, nie rozprostowuję nóg. Po prostu siedzę na krześle i wpatruję się niewzruszenie w jeden punkt na ścianie. Moi dwaj goryle chcą ze mną pogadać, próbują zagajać, ale ja milczę. Po pół godzinie Max wraca do holu.

- Pan Ryan przyjmie cię w swoim biurze.

Okno biura jest wielkie i wychodzi na nieskazitelnie utrzymane podwórko. Na skórzanej sofie pod ścianą leży na wpół rozebrana kobieta; nie potrafię powiedzieć, czy czuwa, śpi, czy może jest znużona. Ryan siedzi w fotelu, patrząc w telewizor z płaskim ekranem zawieszony na ścianie ponad sofą. Dźwięk jest wyłączony, ale na ekranie przemykają wykresy obrazujące stan światowej gospodarki. Ryan ma na sobie tylko kąpielówki, choć nie jest mokry.

- Co mogę dla ciebie zrobić? - pyta, nie odrywając oczu od telewizora.
- Pooley nie żyje.
- Max mi powiedział.
- Szukam tylko jednego.
- Tak?
- Informacji.

- Co mi za nią dasz?
- Będę ci winien przysługę.

Ryan wreszcie na mnie spojrział, a ja poczułem ciężar tego spojrzenia. Oceniał mnie, myślał. Dziewczyna na sofie porusza się, ale nie patrzę na nią, nie odwracam oczu i spokojnie odwzajemniam spojrzenie Ryana, jakby nasze źrenice były połączone. Ten człowiek jest handlarzem, a ja wymachuję wielką marchewką.

- Zgaduję, że zważywszy na zapłatę, jaką oferujesz, jest to informacja trudna do uzyskania.

- Nie składam tej oferty bez namysłu.

- Rozumiem. Co chcesz wiedzieć?

- W Carson City pewien człowiek będzie chciał się pozbyć beretty 92F, kaliber dziewięć milimetrów lub zamienić ją na coś innego. Chcę wiedzieć, do którego pójdzie dostawcy.

Obracał moje słowa w głowie, kalkulował.

- Masz na pieńku z tym facetem?

- Jak powiedziałem, Pooley nie żyje.

- Rozumiem.

Podszedł do sofy i klepnął dziewczynę w biodro. Podniosła się bez słowa, przeciągnęła się i wyszła z pokoju, szurając długimi nogami. Przypatrując mi się uważnie, opadł ciężko na zwolnione przez nią miejsce.

- Teraz rozumiem. Zdobycie tej informacji nie jest trudne. Chodzi o to, że udostępnienie ci jej byłoby z mojej strony nieroztropne.

- Sądzę, że w tego rodzaju pracy roztropność jest sprawą względną.

Moja odpowiedź sprawia, że śmieje się z przymusem.

- Zgadzam się z tobą. Oto moje warunki. Zamiast przysługi chcę, abyś po zakończeniu zadania pracował dla mnie. Będę twoim nowym słupem.

- Na jakich zasadach?

- Takich samych, jakie obowiązywały między tobą a Pooleyem.

Nic więcej.

- Dlaczego?

- Wprawdzie zamierzałem ograniczyć zatrudnienie, ale ty jesteś kimś, kogo Rosjanie nazywają Srebrnym Niedźwiedziem. Słyszałeś to określenie?

Potrząsam głową.

- Nigdy nie zawałiłeś roboty. Całkowicie angażujesz się w zadanie i na wolnym rynku jesteś wart kupę kasy. Srebrny Niedźwiedź. Mogę cię przyjąć jako mojego jedyne go partnera, a zarobię więcej niż przez całe życie. A trochę już zarobiłem.

- Poniekąd wykorzystujesz moją sytuację.

- Cóż, posłuszę się twoimi słowami - nie składam tej oferty bez namysłu.

- W takim razie dam ci taką obietnicę. W zamian za nazwisko dostawcy zgodzę się rozważyć twoją propozycję. Nie sądzę, abyś spodziewał się po mnie czegoś więcej.

Ryan uśmiecha się szeroko.

- To by było nieroztropne.

Uśmiecham się także. Nasz wzajemny szacunek rośnie.

- Nie byłbyś Srebrnym Niedźwiedziem, gdybyś odpowiedział inaczej.

- Przypuszczalnie masz rację.

Wstaje i opuszcza ręce wzdłuż ciała.

- Dobrze, Columbusie. Zgadzam się na twoje warunki. Jedź do budki telefonicznej na rogu Desert Inn Road i Paradise. Jest tam małe centrum handlowe, a telefon jest przy sklepie 7Eleven. Zanim tam dotrzesz, będę znał to nazwisko.

\*\*\*

Carson City to mało interesujące miasto u zbiegu dróg międzystanowych numer 50 i 395. Jego budynki i ulice są stare i zaniedbane, a wszelkie atrakcje zapewnia mieszkańcom sąsiadujące z nim Reno. Carson City wygląda przez to jak czyjaś spóźniona refleksja, jak młodszy brat noszący ubrania po całej rodzinie.

Wjeżdżam do miasta i jadę na południe, mijam sklepy i cmentarz, aż znajduję Colorado Street. Szukam parku przemysłowego,

betonowej bryły bez okien, jednego z tych koszmarów architektonicznych rzuconych tu i tam bez żadnego planu, jakby dziecko rozrzuciło klocki. Nietrudno go znaleźć; człowiek, który zadzwonił do budki w Vegas, podał mi jasne wskazówki.

Znajduję parking na uboczu i zatrzymuję mojego beżowego sedana. Zanim wyjechałem z Vegas, odstawiłem SUV-a i wynająłem taurusa. Przez okno mam widok na jedyne drzwi do budynku, stalowe i solidne, z elektronicznym zamkiem kodowym na ścianie. Jako zabójca wiem mnóstwo o momentach kluczowych, podatności, celowaniu w czas. Trudniej zdjąć cel chroniony jak Richard Levine, zabarykadowany w swojej posiadłości. Dostawca, na którego właśnie czekam, będzie pracował w dobrze chronionym bunkrze, ma mnóstwo ochroniarzy i trudno będzie go dopaść. Dlatego nawet nie próbuję dostać się do środka budynku fortecy. Poczekam tak długo, jak będzie trzeba.

Kilka godzin później z budynku wychodzi kobieta w czapce i okularach w drucianych oprawkach. Na parkingu jest tylko jeden samochód, stary niebieski mustang. Wsiada, wyprowadza samochód z parkingu i jedzie na północ, w stronę gór. Popęłniła błąd, wybierając rzucające się w oczy auto; łatwo ją śledzić - jakby miała na dachu czerwone światło. Nie wiem, czy jedzie do domu, czy ma się z kimś spotkać, czy może chce zatrzymać się w sklepie spożywczym. Nie ma to znaczenia, bo i tak w jakimś momencie będzie sama, a ja będę gotowy.

Nie trwa to długo. Kobieta zjeżdża na parking przy Caribou Coffee i wyłącza silnik. Nie jest czujna; podejrzewam, że jest w tym biznesie od niedawna i jeszcze nie rozumie, że musi zachować ostrożność.

Kiedy wychodzi z kawiarni, trzymając papierowy kubek parującej kawy, już na nią czekam.

- Tara?

Podsakuje zaskoczona, potem przygląda mi się i próbuje umiejscowić gdzieś moją twarz.

- Tak?

- Pójdiesz ze mną.

Przez jej twarz przemyka tysiąc myśli, jedna czarniejsza od drugiej. Widzę, jak spogląda na kubek kawy w prawej dłoni, na kluczyki w lewej i znów na mnie, oceniając sytuację.

- Podejrzewam, że jesteś gotowy na to, że cię oparzę kawą albo wsadzę ci kluczyki do oka?

- Tak.

- Czy chodzi o moje interesy?

- Chcesz o tym rozmawiać na parkingu?

Patrzy na mnie, rozważa pytanie i potrząsa głową.

- W moim samochodzie?

- Powinnaś pomyśleć o sprawieniu sobie czegoś mniej kolorowego.

\*\*\*

Hap jest nie dalej niż milę stąd. Planuje spotkanie z Tarą w ciągu trzydziestu minut, musi dokonać wymiany - nowa broń za stare pieniądze. Nie zdaje sobie sprawy, że będę uczestniczył w tym spotkaniu, ale to nie zmienia faktu, że jest groźny. Zabójcy są nieufni z natury, ostrożni z doświadczenia. Mógł usłyszeć coś w jej głosie, lekkie drgnięcie, które da mu znać, że rozmawia pod przymusem lub ma broń przystawioną do głowy. Podczas rozmowy mogła przemycić jakiś kod, coś ustalonego wcześniej, jakieś niewinne z pozoru słowo sugerujące, że dzieje się coś nieoczekiwane. Sądzę, że odegrała to idealnie, ale nie jestem Hapem ze słuchawką po drugiej stronie linii i nie zamierzam lekceważyć tego spotkania.

Na miejsce wymiany wybrałem cmentarz, który mijalem po drodze do biura Tary. Jest po północy i jest ciemniej, niż się spodziewałem; księżyc ledwie świeci. Czekam od godziny, przyzwyczajając oczy do ciemności. To niewielka przewaga, ale czasem wystarczy drobiazg, aby szala przechyliła się na twoją stronę. Nie martwię się o to, że Tara spróbuje skontaktować się z Hapem i powie mu o zasadce; po tym, co jej zrobiłem, przynajmniej przez miesiąc nie będzie mogła dużo mówić.

Nocą na cmentarzu jest zimniej, niż przewidywałem; zimny wiatr z pobliskich gór przenika aż do kości. Tablice nagrobne są małe i rozmieszczone w równych rzędach. Nie dają praktycznie żadnej osłony przed wiatrem. Z dwoma załadowanymi i odbezpieczonymi pistoletami na kolanach, przykucam, opierając się plecami o kamień z wyrytym napisem: MICHAEL MATHESON, 1970-1979. Uważnie obserwuję bramę. Hap żyje parę lat dłużej niż chłopiec, na którego grobie siedzę, ale planuję, że dziś dołączy do Michaela Mathesona.

Nie zaplanowałem ani nie przewidziałem tylko tego, że Hap będzie pracował w tandemie. Wiem od Pooleya, że do zabicia Abe Manna podczas konwencji jego partii wynajęto trzech zabójców. Nie wiem natomiast, przynajmniej nie przez następne dwie minuty, że dwóch z nich - Miguel Cortega i Hap Blownfeld - pracują razem.

Wygląda na to, że mam duże kłopoty.

# Rozdział jedenasty

Krwawię na cmentarzu, w miejscu wiecznego spoczynku, jakby sama ziemia chciała mnie przykryć jak wielu innych przede mną. Mam w ciele dwie rany, jedną w miejscu, gdzie pocisk wbił mi się w bok i pogruchołał żebro, a drugą na plecach - tamtędy wyszedł. Koszula przesiąka mi krwią i przyznaję, że nieco się martwię jej utratą. Nie boję się, że umrę od tej rany, przynajmniej jeszcze nie teraz, ale obawiam się, że mogę stracić przytomność, zanim dopadnę drugiego strzelca. Jestem pewien, że jednego z nich załatwiłem, no, prawie pewien. Kurwa, nie mam stuprocentowej pewności. Nagle czuję wielkie zmęczenie, oczy ciężą mi, jakbym miał powieki z żelaza.

Nie po raz pierwszy mnie postrzelono.

\*\*\*

To było siódme zlecenie, odkąd zacząłem pracować z Pooleyem. Działaliśmy w zgodnym rytmie; dowiódł swojej intuicji, budując sieć kontaktów i kontraktów, rzetelności w zbieraniu informacji, których potrzebowałem, aby pracować efektywnie. Miał rację. Był naturalny w tym, co robił. Szybko i w każdym aspekcie przerósł Vespucciego; miał oko myśliwego i przebiegłość ofiary - jedno i drugie wyniósł z Waxham - i nasz sukces był głównie jego dziełem.

Szczególnie jedna z klientek była pod wrażeniem. Niedawno dla niej zabiłem - w Nowym Jorku - maklera giełdowego, który kupił akcje, a powinien był je sprzedać. Wynajął wprawdzie prywatną



firmę ochroniarską, ale jej pracownicy byli kompletnie nieprofesjonalni.

Pooley pokazał się kilka tygodni po tym, jak cel został znaleziony w kilku kawałkach na moście George'a Washingtona.

- To była duża robota, Columbusie... Nasza klientka... to rekin wśród małych rybek... główny gracz na rynku zakupów.

- Dobrze... Nie chcę, żebyś się przemęczał.

Uśmiechnął się.

- Pomyślałem sobie, że mógłbym wybrać się w podróż. Zobaczyć kawałek świata.

- Zasługujesz na urlop.

- Nie wybieram się na wakacje. To podróż w interesach.

- Dokąd?

- Do Włoch.

Popatrzyłem na niego sceptycznie.

- Mówiłem ci... ta ostatnia klientka była pod wrażeniem. Chce wynająć cię znowu. Natychmiast.

- Cel jest za granicą?

- Tak. Potrzebuję miesiąca na zebranie danych. Potem masz sześć tygodni na realizację. Podała konkretną datę operacji. Szóstego czerwca. U schyłku nocy.

- Zapłaci za ten warunek?

- Zająłem się tym.

\*\*\*

Wykorzystałem te cztery tygodnie na przygotowanie umysłu, tak jak nauczył mnie Vespucci. Wpadłem w rutynę; w niezmienności było coś uspokajającego. Ciężko pracowałem, każdego ranka biegałem pięć mil, potem przez kilka godzin czytałem, na zmianę prozę współczesną i klasyków: Wolfe, Mailer, Updike, Steinbeck, Maugham i Hemingway. Potem lekki posiłek i sparring bokserski w sali treningowej, gdzie wszyscy płacili gotówką i nikt nie zadawał pytań. Kolację zjadałem w domu i zazwyczaj oglądałem przy tym wiadomości. Potem do łóżka. Każdego dnia to samo. Wygoda

powtarzalności. I nie musiałem myśleć o Jake. Nie chciałem myśleć o Jake.

Pooley podał mi brązową tekturową kopertę.

- Jak było?

Wzruszył ramionami.

- Mają tam popieprzony sposób załatwiania spraw. Nie lubią obcych, chyba że sypią forszą na prawo i lewo. A nawet wtedy za bardzo ich nie lubią. Ale jedzenie jest dobre.

- Znalazłeś to, czego szukałeś?

- Wszystko masz tutaj. Nasza klientka ma pewne wpływy.

- Masz jakieś podejrzenia?

Pooley potrząsnął głową.

- Nieee... pora, o której masz to zrobić, jest dziwna, ale nie ma w tym niczego, z czym byś sobie nie poradził.

- Będę na terenie przeciwnika.

- To prawda. Nie będziesz miał przewagi własnego boiska.

- No cóż, w porządku. Dzięki, Pooley. Dobrze cię widzieć.

- Ciebie również, Columbusie.

\*\*\*

Nazwisko zapisane na kartce brzmiało Gianni Cortino. Miał pięćdziesiąt dwa lata i dzielił czas między Rzym a Positano, miasteczko na wybrzeżu. Działał w branży nieruchomości, ale zajmował się też usługami, hotelami, restauracjami. Był bogaty, jego majątek oceniano na setki milionów.

Pooley dobrze odrobił zadanie domowe. Jak wielu bogatych ludzi Cortino bardzo mocno ścisnął swój portfel i nie pozwalał, aby pieniądze po prostu się rozchodziły. Jego słabością były cygara - Cuban Cohibas. Był oddany swojej żonie, dwóm synom i pierwszemu wnukowi, Bruno, który miał zaledwie jedenaście miesięcy. Mówiło się o skandalu, w który był zaangażowany Cortino i pewien lewicowy polityk z Florencji, ale okazało się, że były to plotki rozpuszczane przez rywala w interesach. O ile Pooley wiedział, Cortino nie brał łapówek. Żadnych dziwek, hazardu, nielegalnych dóbr,

po prostu człowiek sukcesu w kraju, który podejrzliwie patrzy na sukces.

Miał także ochroniarza.

Ochroniarz nazywał się Stephano Gorgio. Gorgio spędził trzynaście lat we włoskich siłach specjalnych, w dywizji górskiej, a następnie pojechał jako najemnik do ogarniętej wojną Serbii. Jego wuj był niegdyś partnerem biznesowym Cortino. Po powrocie do Włoch Gorgio spotkał się z Cortino i został jego prywatnym ochroniarzem. Cortino zwolnił firmę, z której usług korzystał dotychczas, i zatrudnił Stephano. Byli razem od siedmiu lat.

Gorgio miał w ramieniu dwie kule. Rywal Cortino, który usiłował zdyskredytować jego wiarygodność, próbował go zabić. Mimo przestrzelonego ramienia Gorgio udusił go gołymi rękami.

Akta zawierały mnóstwo szczegółów umożliwiających ustalenie sposobu funkcjonowania Cortino. Czy każdego dnia jada w tej samej restauracji? Czy do pracy jeździ tą samą drogą? Czy z Rzymu do Positano jeździ w jakiejś określonej porze miesiąca? Tymi samymi drogami? Tym samym samochodem? Pociągiem? W powtarzalności jest spokój. Ale jest w niej także śmierć.

\*\*\*

Przyjechałem do Rzymu o trzeciej w nocy i wziąłem taksówkę do małego hotelu w środku miasta. Nazywał się Hotel Mascagni. Należał do Cortino i był jednym z pierwszych, które nabył po przybyciu do Rzymu. Przez dwadzieścia lat pracy nad powiększaniem fortuny kupił i sprzedał wiele nieruchomości, ale tę jedną zatrzymał. Nie byłem pewien, co to o nim mówi, czy może mi to pomóc w nawiązaniu połączenia, które potem mógłbym przeciąć, ale to była pierwsza namacalna część człowieka, którego miałem zabić.

W hotelu było tylko czternaście pokoi na sześciu piętrach i stara dwuosobowa winda wbudowana w malutki hol. Był tam także bar i restauracja - łącznie miały rozmiar przeciętnego amerykańskiego salonu. Niezbyt liczna obsługa regularnie przytakiwała, kłaniała

się i gestykulowała. Budynek emanował ciepłem, takim samym, jakie czułem, czytając akta Cortino. Zastanawiałem się, czy zatrzymanie się tutaj nie było błędem. Szukałem zła w człowieku, a tymczasem - jak dotąd - znalazłem tylko dobroć i życzliwość.

Pierwsze dwa tygodnie spędziłem na poznawaniu miasta nie z pozycji turysty, ale raczej bogatego biznesmena. Unikałem zabytków - Koloseum, Panteonu, Watykanu. Zamiast tego skoncentrowałem się na zatłoczonych ulicach handlowych noszących nazwy miesięcy - Settembre, Novembre. Jadałem w restauracjach, o których wiedziałem, że jadał w nich Cortino, w knajpkach specjalizujących się w przyrządzaniu owoców morza i makaronów, ale unikałem widywania go. Z czasem poczułem się pewnie, zacząłem myśleć jak ktoś miejscowy, zapuściłem korzenie.

W trzecim tygodniu wsiadłem w pociąg z Rzymu do Neapolu, a potem wynająłem samochód i pojechałem do Positano. Podróżowałem jak Cortino - chociaż rzadkie i zaskakujące, by tak dobrze sytuowany człowiek korzystał z pociągów, to Cortino tak, jak wtedy, gdy jeszcze nie miał pieniędzy. Wyobrażałem sobie, że to jego sposób zapomnienia o walce, jakby uważał, że takie wywyższenie się spowoduje jego upadek. Była to cecha, którą podziwiałem.

Pociąg był czysty i wygodny, jechali nim na wybrzeże zarówno miejscowi, jak i turyści. Natomiast dworzec w Neapolu był brudny i cuchnący. Naciągacze o ciemnych twarzach czatowali na łatwowiernych turystów, ale na mnie tylko rzucali okiem i wracali do polowania na łatwiejsze ofiary.

Do Positano pojechałem taksówką, białym mercedesem vanem, wietrzną, wąską drogą wzdłuż linii brzegowej. Kierowca słabo mówił po angielsku i cieszyłem się z tego; nie miałem ochoty na pogawędkę. Wiedziałem, że Cortino mieszka wysoko na wzgórzu ponad miastem, a biorąc pod uwagę, że mieszkało tam około czterech tysięcy ludzi, musiał być dobrze znany. W aktach przeczytałem, że Positano zostało wybudowane na zboczu wzgórza schodzącego do morza, ale nie byłem przygotowany na to, co zobaczyłem. Positano było miastem pionowym; wydawało się, że jeden budynek stoi na dachu drugiego, pięły się pod ostrym kątem, jak półki na

sklepowych regałach. Czerwone, różowe, żółte, białe, brzoskwiniowe i piaskowe budowle wcinają się w zielen liści, jakby były częścią góry, kończąc się tam, gdzie zaczynało się niebo lub morze.

Turyści byli wszędzie. Otyli Niemcy z saszetkami u pasa przepychający się od sklepu do sklepu, podczas gdy po uliczkach przełykały vespy jak chmary komarów, wszyscy i wszystko zmierzało w jednym kierunku... do morza. Byłem zachwycony tym miejscem. Byłem zachwycony jego porządkiem, prostotą i logiką; kościelnymi dzwonami, czarnym piaskiem, oryginalnymi sklepikami, wąskimi alejkami, sprzedawcami kawy, sprzedawcami lodów, sprzedawcami makaronu i byłem zadowolony, że właśnie tutaj zabiję Cortino. Nie w zgiełku Rzymu, gdzie łatwiej byłoby uciec, nie w pociągu czy na dworcu w Neapolu, brudnym i śmierdzącym. Byłem zadowolony, że jestem częścią tego miejsca i stworzę nową legendę dla miasta, które wyglądało staro, a wydawało się jeszcze starsze. Nie wiem, dlaczego byłem szczęśliwy, poza tym, że doświadczałem silnych doznań dotyczących tego miejsca, może mojego miejsca w nim. Jakby wykonywana przeze mnie praca - zabijanie i życie, które wiodłem, prowadziły do tego akurat punktu i jakoś były z nim związane, wcinają się w skałę, spadały z urwiska, ciężkim deszczem opadały do morza. Było w tym coś artystycznego i nieskończenie smutnego. Było tu też jakieś ciepło, nie tylko fizyczne, ale i psychiczne. Jeśli nie mogłem mieć Jake, jeśli nie mogłem mieć kogoś, kto przykryje mnie jak koc, to może mógłbym znaleźć bezpieczeństwo, zrozumienie, obietnicę i głębię w tym niesamowitym miejscu.

Melduję się w hotelu leżącym w połowie wzgórza. Mam pokój z tarasem wychodzącym na klif i morze. Siedzę w ciemności, w górze widzę dom Cortino, łososiową posiadłość z wysokimi, łukowymi oknami na szczycie wzgórza. Zgodnie z aktami Pooleya miał przyjechać do miasta na tydzień przed planowanym zabójstwem.

Wykorzystałem ten czas, dopasowałem się do tego miejsca i pozwoliłem, by ono dopasowało się do mnie. Byłem tylko kolejnym

*turista* w mieście żyjącym z turystów i stopniowo traciłem kolory jak gliniana doniczka stojąca na słońcu. Kupiłem słomkową fedorę i nosiłem ją; jadałem w kafejkach nad morzem; kręciłem się po sklepach z pamiątkami i przyciskałem twarz do przeszklonych lad w cukierniach. Popłynąłem łodzią na Capri i wróciłem z oparzeniem słonecznym. Łączyłem się z tym wszystkim, ale ani na chwilę nie zapomniałem, dlaczego tu jestem.

- Napije się pan kawy, cappuccino, coli?

Kelnerka wyglądała miło; miała bladoniebieskie oczy i opalone policzki.

- Kawy... *grazi*.

- *Prego*. Skąd pan przyjechał?

- Z Los Angeles. W Stanach Zjednoczonych.

- Marzę, aby tam pojechać. Bardzo piękne miejsce.

- Marzeniem Amerykanów jest przyjechać tutaj.

- Ach... - spojrzała na morze, które dla niej straciło swój urok już dawno temu. - Przyniosę panu kawę.

Kiedy wróciła, uśmiechnąłem się do niej. Miejsce nie było zatłoczone.

- Ilu ludzi mieszka w Positano?

- Mniej więcej cztery tysiące.

- Pewnie wszyscy się znają?

- O tak.

- Jacyś Amerykanie?

- Tak... mają tu letnie domy. I paru Anglików.

- Ile kosztuje tutaj dom?

- Zależy, jak wysoko jest położony... albo jak blisko plaży.

Łyknąłem kawy. Nie wyglądała na bardzo zajęta, więc dalej ciągnąłem ją za język.

- Powiedzmy, tamten na górze.

- Należy do bardzo bogatej rodziny Cortino.

- Dom wygląda na duży.

- Jest. Pięć... jak to się mówi... pokojów do spania...

- Sypialni?

- Właśnie - uśmiechnęła się. - Przypuszczam, że... ze dwa miliony euro.

Gwizdnąłem lekko.

- Tak, drogo. Ale to miła rodzina. Pomogli odbudować kościół. Pani Cortino... jej nogi... jakby to... nie działają. To bardzo... przykre.

- Jeździ na wózku?

- Tak.

- W tym mieście to musi być trudne.

- Tak... ale on się nią zajmuje. Pilnuje, żeby wszystko działało, jak trzeba.

- To bardzo miłe.

- Tak.

Do kafejki weszła para hałaśliwych Austriaków. Uśmiechnęła się, przewróciła oczami i poszła pomóc im się ulokować. Piłem kawę i rozmyślałem.

Jego żona jest sparaliżowana. W tym mieście musiało to być potwornie trudne; nie zbudowano go z myślą o wózkach inwalidzkich. Tych informacji nie było w aktach. Dlaczego Pooley je wyciął? Martwił się, że muszę zabić dobrego człowieka, że nie ma w nim zła, które ułatwiłoby mi zadanie?

\*\*\*

Pierwszy raz zobaczyłem Cortino i jego ochroniarza Gorgio tydzień później. Przyszedł do kościoła w pobliżu mojego hotelu, kamiennej świątyni pomalowanej na kolor skały tak, że wtapiała się w klif. Była dość posępna, ozdobiona typową katolicką ikonografią. Wiedziałem, że to jedna z pierwszych rzeczy, jakie Cortino robi po powrocie do Positano; w aktach była notatka, że zawsze idzie do kościoła, zapala dwie świece i klęka przed ołtarzem. Dla kogo pali świece, nie wiedziałem, może dla swoich rodziców.

Siedziałem w pobliskiej restauracji, spokojnie jadłem krewetki i usiłowałem nie zwracać na siebie uwagi. Cortino wszedł do kościoła z ponurą twarzą. Wyszedł odmieniony, jakby zobaczył anioła.

To mnie zaskoczyło. Czy nastrój człowieka naprawdę może aż tak się zmienić z tego powodu, że ukląkł w kościele? Co tam znalazł? Jakie słowa wyszeptał? Odkryłem, że zafascynowany wpatruję się w jego spokojną twarz. Zerknąłem na ochroniarza Gorgio, a i on z całą pewnością mnie zauważył.

Co za przekłety błąd. Popatrzyłem jakby przez niego, ot, kolejny głupi turysta rozkoszujący się smakiem lokalnej kuchni. To musiało go zadowolić, ponieważ poszedł za swoim szefem i pomógł mu wsiąść do zaparkowanego nieopodal dwuosobowego mercedesa. Nie podniosłem wzroku; walczyłem ze swoją krewetką aż usłyszałem, że samochód zniknął za rogiem, zmierzając w dół wzgórza. Gorgio był prawdziwym zawodowcem, gdybym pojawił się w pobliżu domu jego szefa, na pewno przypomniałby sobie, że już gdzieś mnie widział.

Wkurzony wróciłem do pokoju hotelowego i wyłączyłem światła, byłem wkurzony na siebie, na niekompletne akta, na wszystko, czego dowiedziałem się o Cortino... bo to sprawiało, że... co? Byłem zazdrosny? O niego? O jego życie?

Uderzyło mnie to jak obuchem. Czy właśnie to powinienem wykorzystać? Moją własną zazdrość? Nie zło w nim, ale zło we mnie? Dotarło to do mnie z całą mocą. W jaki sposób zabójca powinien zlikwidować dobrego człowieka? Odwołać się do własnej niegodziwości; postawić się naprzeciwko takiego człowieka i starać się go pomniejszyć. Ale dokąd zaprowadzi mnie ta droga? Jaką cenę zapłacę za skupienie własnej nienawiści na samym sobie?

Kręciłem się po hotelu i restauracjach po mojej stronie wzgórza, aż nadszedł szósty czerwca, dzień, w którym miałem włączyć kulkę w Gianniego Cortino. Tamtego ranka wynająłem skuter w wypożyczalni w porze, kiedy była najbardziej zatłoczona. Byłem tylko kolejnym Amerykaninem w morzu angielskich twarzy.

Z twarzą zasłoniętą czarnym kaskiem zjechałem w dół jedyną drogą prowadzącą przez miasto, a potem wspiałem się na wzgórze. Chciałem zobaczyć z bliska dom Cortino, więc przejechałem obok niego powoli, zerkając kątem oka. Na szczęście nie było tam nic, co



choćby przypominało ogród. Dach domu znajdował się na wysokości ulicy, do frontowych drzwi prowadziły kamienne stopnie. Nie było bramy ani kamer. Positano było cichym, spokojnym miasteczkiem, zbyt małym, by przejmować się przestępczością. To iluzja, która zniknie jeszcze przed świtem. Na podstawie informacji dostarczonych przez Pooleya wiedziałem, że najprostsza droga prowadzi przez boczne drzwi; mój partner sądził, że najprawdopodobniej prowadzą do prywatnej sypialni Stefano Gorgio. Przejechałem obok, jak tysiące skuterów każdego dnia.

\*\*\*

O drugiej w nocy wymeldowuję się z hotelu, mam przy sobie tylko mały plecak. U stóp wzgórza zostawiam samochód. Nocny recepcjonista podsuwa mi dokumenty do podpisania, po czym wraca do lektury francuskiej gazety „Le Monde”. Ponieważ od kilku dni ubieram się na czarno, nie zauważa w moim stroju niczego niezwykłego. Wychodzę szybkim krokiem. W Positano raczej nie kwitnie nocne życie. Ulica jest wyludniona, słyszę tylko poszczekiwanie psów.

Wejście na wzgórze drogą prowadzącą do domu Cortino zajęło mi godzinę. Minął mnie jakiś samochód, ale przycupnąłem w krzakach i samochód pojechał dalej, nawet nie zwalniając. Dotarłem do zakrętu, przy którym stał dom Cortino, przebiegłem przez ulicę i przeskoczyłem przez żywopłot oddzielający dom od drogi. Zamiast podejść do drzwi frontowych po kamiennych stopniach, wspiałem się po winorośli, w ten sposób dostałem się od góry do bocznych drzwi, co pozwoliło mi uniknąć przechodzenia bezpośrednio pod oknami wychodzącymi na morze.

Boczne drzwi były uchylone. Niezbyt szeroko, ale wystarczająco, aby to dostrzec. Dlaczego? Czy w taki sposób Gorgio wietrzył pokój, wpuszczając bryzę znad morza? Nie wydawało mi się to prawdopodobne, nie w przypadku ochroniarza. W uszach zabrzęczały mi dzwonki alarmowe.

Podszedłem do drzwi, całą minutę nasłuchiwałem uważnie, ale wewnątrz nie słyszałem żadnego dźwięku, żadnego chrapania, oddechu, nic. Wyciągnąłem broń i wrzuciłem plecak w krzaki, wstrzymałem oddech i pechnąłem drzwi. Zawiasy nie zaskrzypiały, dzięki Bogu choć za to. Żadnej reakcji. Wsunąłem głowę do pokoju dosłownie na sekundę. To mi wystarczyło. Przebywałem w ciemności wystarczająco długo, oczy zdążyły się przyzwyczać.

W pokoju nikogo nie było; pośrodku stało wielkie, puste łóżko. Wszedłem cicho, ledwie oddychając, zmysły miałem wyostrzone jak zwierzę w pułapce, nasłuchiwałem najmniejszego odgłosu. Włoski na przedramionach zjeżyły się, jakby wylały jakieś wibracje w powietrzu i przekazywały mi ostrzeżenie. Dlaczego drzwi były otwarte? Dlaczego właśnie tej nocy? Po raz pierwszy dotarło do mnie, jak nonszalancko podszedłem do tego zadania. Nie znalazłem w moim celu niczego, co mógłbym znieawidzić, nic, na czym mógłbym się oprzeć i to był mój błąd. Zabicie tego człowieka stało się potwornie trudne, sknocilem wszystko, zanim w ogóle coś zrobiłem. Nigdy więcej nie popełnię tego błędu.

Sypiania Cortino była usytuowana po tej samej stronie domu. Wszedłem z pokoju, trzymając broń w pogotowiu. Wcześniej nie czułem do niego nienawiści, ale teraz go znieawidziłem. Nienawidziłem go za to, że nie dał mi powodu do nienawiści. Jeszcze kilka kroków przez hol i stanąłem przed główną sypialnią. Wyczułem w powietrzu jakiś gryzący zapach, ale nie mogłem go zidentyfikować.

Sprawdziłem drzwi. Nie były zamknięte na klucz. Wszedłem do pokoju powoli, ostrożnie i bezgłośnie.

W nozdrza uderzył mnie odór krwi. Na łóżku, oparte o zagłówek, wpatrujące się we mnie pustymi oczami leżały dwa ciała, Cortino i jego sparaliżowanej żony. Pod ścianą zobaczyłem zwłoki Stefano Gorgio; brakowało mu większej części twarzy.

Przyszedłem zabić człowieka, który już nie żył.

Uświadomienie sobie tego zajęło mi sekundę. Za sobą usłyszałem hałas. Odwróciłem się i ujrzałem kobietę - trzymała uniesioną broń i uśmiechała się.

Kurwa. Podała konkretną datę wykonania zlecenia. Szósty czerwca. U schyłku nocy. Nawet za to zapłaciła. A teraz miała frajera na tacy, jeszcze jedno ciało, które mogła zostawić za sobą. Policja będzie miała co robić.

- Pooley powiedział, że jesteś dobry - powiedziała. I punktualny. Po czym strzeliła mi w pierś.

# Rozdział dwunasty

Minęło dwadzieścia minut, zanim uświadomiłem sobie, że jestem sam na cmentarzu w Carson City, w Nevadzie. Nie wiem, kto jest ranny, Hap Blownfeld czy Miguel Cortega, wiem tylko, że zawaliли robotę i nie wykończyli mnie. Pożalują tej decyzji.

Gramolę się na kolana, ból w boku staje się niemal nie do zniesienia. Podpieram się o nagrobek, wstaję i rozglądam się. Pusto. Na wschodzie niebo jaśniej; nisko nad horyzontem widzę chmury jak różowe palce. Muszę się stąd wydostać. Wlokę się w stronę bramy, gdzie zostawiłem samochód - mam nadzieję, że nadal tam jest. Nad horyzontem pojawia się słońce. Jeden z nagrobków po lewej stronie przyciąga moją uwagę. Jest cały w czerwonych kropkach, chwytają słońce jak kamienie w pierścionku. Wykręcam szyję, nie chcę tracić czasu, ale muszę sprawdzić, co to jest, muszę sprawdzić, dlaczego krew jak farba rozprysnęła się na marmurowym nagrobku. Najpierw dostrzegam na ziemi nieruchomą rękę, potem tors unoszący się w ciężkim oddechu, wreszcie nieznaną twarz.

Podchodzę ostrożnie bliżej, aż widzę wyraźnie, że upuścił pistolet i ścisną ranę na brzuchu. Postrzał w brzuch to najgorsze, co może się człowiekowi przytrafić. Jakimś cudem przetrwał noc.

- Miguel Cortega?

Kieruje na mnie wzrok, ale nie odzywa się. Oddech ma chrapliwy, jakby powietrze przechodziło przez zgniecioną rurę. Teraz widzę, że dostał dwa strzały - jeden w żołądek, drugi w płuco.

- Pracowałeś z Hapem.

Nie odpowiada.

- Dokąd jedzie teraz? Gdzie i kogo ma zamiar zabić?

Cortega tylko się na mnie gapi, ale jego spojrzenie traci ostrość. Z kącika ust wydostaje się trochę różowej piany i spływa dwiema strużkami po policzku.

Będzie żył jeszcze z godzinę, może dłużej. Mógłbym wpakować w niego pocisk i skończyć jego agonię, ale nie czuję litości. Pieprzyć jego i pieprzyć Hapa.

Z trudem odchodzę, ból jak gorące żelazo przeszywa mi bok. Ku swojej uldze znajduję samochód na parkingu.

Przydrożne stacje benzynowe to teraz na szczęście dobrze zaopatrzone sklepy. Kupuję dużo bandaży i kremu antybakteryjnego, muszę opatrzyć rany, zanim znajdę coś bardziej właściwego. Sprzedawca rzuca na mnie okiem, ale niebieski tusz jego więzionych tatuaży mówi mi, że nie będzie zadawał żadnych pytań, nawet nie unosi w zdziwieniu brwi. Jadę, dopóki przy drodze nie pojawia się Motel Six. Sprawdzam ranę, opatruję ją tak dobrze, jak mogę, gaszę światło, padam do łóżka i śpię osiemnaście godzin.

\*\*\*

Droga z Lake Tahoe do Seattle jest sucha i pusta. Wschodnia część stanu Waszyngton to pustynia, to całe mile płaskiej ziemi. Udaje mi się przejechać tylko około dwustu mil. Bok boli tak bardzo, że zaczynam odpływać, ale nie przejmuję się opóźnieniem w stosunku do planu. Do konwencji wciąż został ponad tydzień, a Abe Mann przedtem uda się na odpoczynek w Seattle i Portland. Nie pokaże się aż do przedostatniego wieczoru, kiedy to zgrabnie wejdzie na scenę i ucałuje swoją żonę po jej prezentacji. To będzie „niespodzianka”, zaplanowana, przeciwczona i rozpisana jak scenariusz teatralny. Nie powinien pojawić się na scenie aż do ostatniej nocy, wygłosi wtedy najważniejsze przemówienie w całej swojej karierze politycznej. Nie zaplanowano tylko tego, co będzie prawdziwą niespodzianką - mianowicie tego, że wcale nie wróci na scenę.

Zatrzymuję się w Economy Inn w Walla Walla, w stanie Waszyngton. To rząd czterech tanich hoteli dla zmęczonych i niezbyt majątnych. W telewizji Mann stoi na tle portu w Seattle, za plecami ma setki kolorowych kontenerów. Mówi o potrzebie wzmocnienia ochrony portu, o ostrzejszych przepisach antyterrorystycznych, restrykcjach na import i o większych funduszach na ochronę granic. Gestem kaznodziei podkreśla każde zdanie, jego twarz jest odpowiednio surowa, a oczy pełne ognia i determinacji. Znalazł temat, w który wierzy, i widać to w jego oczach. Przez chwilę zastanawiam się, jak jego oczy będą wyglądać, kiedy zabiję go z bliskiej odległości. Zastanawiam się, czy przed śmiercią zdołam mu powiedzieć, że jego zabójca to zarazem jego własny syn. Zastanawiam się, czy go to w ogóle obejdzie.

Apteka mieści się na szczycie wzgórza po drugiej stronie miasta. Bez Pooleya, bez pośrednika, nie mogę pójść do lekarza ani załatwić recepty. A skoro tak, muszę się leczyć sam, korzystając z ogólnie dostępnych farmaceutyków. Robię to od tak dawna, że wiem, czego szukać, jakie stosować dawki, jak opatrywać ranę, żeby nie wdała się infekcja. Napęłam koszyk tubkami maści kamforowej, rolkami bandaży, słoiczkami tylenolu w żelowych kapsułkach, płatkami kosmetycznymi i rolkami plastra. Walczę teraz z gorączką i nawet jeśli sprzedawca dziwnie na mnie patrzy, nie zauważam tego. Płacę gotówką i szybko wychodzę.

Obok apteki stoi mały kościółek. Nie zauważyłem go wcześniej, ale kiedy wrzucam torby do samochodu, od zaporowanych szyb odbija się światło i przyciąga moją uwagę. Przypomina mi się wyraz twarzy Cortino, który wyszedł z kościoła zbudowanego na wzgórzu w Positano i spokój, który tam znalazł. Nieoczekiwanie orientuję się, że wchodzę do środka.

Sanktuarium jest puste. Jest w nim najwyżej dwadzieścia ławek ustawionych między kolumnami, zwróconych w stronę niewielkiego podwyższenia, na którym znajduje się pulpit. Na ścianie wisi prosty mahoniowy krzyż. Przez zaporowane szyby sączy się popołudniowe światło, okrywające kościół miękkim eterycznym blaskiem. Myślę o Pooleyu i nagle uginają się pode mną nogi. Siadam

i staram się uspokoić oddech, czekam, aż przejdą mi mdłości. Nie wiem, jak długo to trwa.

- Dzień dobry.

W nawie stoi młody mężczyzna skąpany w świetle padającym przez okna. Ubrany jest konserwatywnie, w niebieską koszulę wpuszczoną w popielate spodnie.

- Dzień dobry - udaje mi się odpowiedzieć.

- Wszystko w porządku?

- Tylko odpoczywam.

- Przyszedł pan we właściwe miejsce.

Mam nadzieję, że jeśli nie będę się odzywał, to sobie pójdzie. Zamiast tego siada naprzeciwko, pochyla głowę i patrzy na mnie.

- Jest pan nowy w kościele?

- Przejeżdżałem tędy.

- Podróżny?

- Tak. Przepraszam, że tak tu wszedłem...

Macha ręką.

- Kościół z zamkniętymi drzwiami jest jak dom bez okien. Nazywam się Garret. Jestem pastorem.

Wyciąga rękę, a ja ją ściskam. Pojęcia nie mam, dlaczego właściwie nie wychodzę. Kurwa, jestem zmęczony.

- Wygląda pan młodo jak na kaznodzieję.

- Miło, że pan tak mówi. Ale robię to od dawna. Już dwadzieścia kilka lat.

Uśmiecham się słabo.

- Coś panu powiem. Niech pan powie Bogu, cokolwiek pan chce. Gdyby mnie pan potrzebował, jestem w biurze za tamtymi drzwiami.

Wstaje, nie jestem pewny, co właściwie robię, ale słyszę swój głos.

- Pastorze?

- Tak?

Stoi i czeka na odpowiedź.

- Nie martwi się pan, że przez te drzwi może wejść niebezpieczeństwo?

Słyszę, jak mówię, ale głos nie jest mój, niezupełnie. W każdym razie nie brzmi jak mój.

Kaznodzieja spogląda na mnie z namysłem.

- Nie. To miejsce odpoczynku, sanktuarium...

Jednak przerywa nagle, bo wstaję i chwytam go za gardło. Jego oczy szybko zmieniają wyraz, od spokoju, przez zaskoczenie, do przerażenia. To nie tak. To nie ja patrzę w jego oczy, nie ja wyciągam pistolet zza pasa, to nie moja prawa ręka wbija kolbę pistoletu w jego twarz, i jeszcze raz, uderza go z furją, łup, łup, łup, znów i znów, i znów.

- Dlaczego? - charczy między kolejnymi uderzeniami.

Nie wiem, co odpowiedzieć na to pytanie, nie wiem, kim jest osoba, która bije bezbronnego kaznodzieję w łagodną twarz, aż zamienia się w maskę z krwi i zgrozy.

- Kurwa, kurwa, kurwa - mamrocze ten ktoś, kto nie jest mną i rzuca jęczący strzęp na podłogę.

W ciągu pięciu minut znów jestem w drodze, jadę przez pustynię na zachód, pod kołami mojego samochodu przemyka niekończąca się droga. To nie ja trzymam kierownicę, zapominając o bólu. To nie ja mam dziko wykrzywioną twarz.

\*\*\*

Chmury jak niski sufit wiszą nad centrum Seattle, szare i nabrziałe deszczem. Na południu Mount Rainier wypełnia horyzont jak jakaś narośl na krajobrazie. Wygląda jakoś obco, niewłaściwie, jakby oderwała się od łańcucha górskiego i przyszła tu na własną rękę. Tego ranka jest zamglona, jej wierzchołek ginie w chmurach.

Czas się skupić. Muszę nakreślić plan działania i późniejszej ucieczki. Od czasów Positano - od chwili, gdy zdołałem pokonać drogę, mając w ciele dwie kule i jakimś cudem zdołałem ukraść skuter, nie zemdlałem i przejechałem w nocy sześćdziesiąt mil do Neapolu, nie trafiłem na policję i jakoś ukryłem się do czasu, aż dotarł do mnie Pooley, który sprowadził lekarza - od tamtego wieczora, kiedy wszedłem do pokoju po to, by zabić, a zamiast tego



zostałem kozłem ofiarnym i wpadłem w pułapkę, od tych właśnie wydarzeń o wiele staranniej planuję swoją pracę. Vespucci skupiał się na psychologicznej stronie tego biznesu, ale patrząc z perspektywy czasu, niewiele uwagi poświęcił stronie technicznej. Jego zadaniem było pozbieranie informacji, dostarczenie zabójcy najlepszych narzędzi do usunięcia celu. Jednak samą metodę, czyn i strategię zostawiał swoim ludziom.

Planowałem dostać się do Abe Manna podczas mowy, którą miał wygłosić w Los Angeles na dzień przed rozpoczęciem konwencji. Jedyne warunki było to, że ma zginąć w tygodniu konwencji, jednak dokładny czas i miejsce zostawiono mojemu uznaniu. Wiedziałem, że ma zamiar wystąpić na tle setki miejscowych strażaków i kazałem Pooleyowi zdobyć informację, kto zajmuje się takimi rzeczami. Mając taką wiedzę, mógłbym się tam wkręcić. Wiedziałem, że w występie wezmą udział ludzie z dziesięciu różnych posterunków straży pożarnej. Nikt nie powinien zauważyć jednej nieznanym twarzy, zwłaszcza jeśli miałbym odpowiednie dokumenty. Użyłbym broni agenta Secret Service.

Ale plan spalił na panewce w chwili, gdy Hap zabił Pooleya w Santa Fe.

Hap. Oczywiście. Hap włączył się w to równanie i Hap będzie rozwiązaniem. Pozbawiając mnie możliwości, sam stał się jedną z nich. Znajdę Hapa Blowenfelda i zamiast go zabić, wskoczę mu na barana i wykorzystam jego plan zabicia kongresmena. Jeśli będę miał szczęście, wystawię go na śmierć. Zrobię to, co zrobiła tamta kobieta w Positano, próbując zabić mnie.

# Rozdział trzynasty

Mam szczęście, że pocisk przeszedł przez moje ciało, nie łamiąc żeber ani nie przebijając żadnego organu. Mam szczęście, że rana jest czysta, a ogólnie dostępne leki powstrzymały krwawienie i zmniejszyły ból. Nie do końca, nie w stu procentach, ale jest lepiej.

Teraz muszę znaleźć Hapa. Pomysł dotarcia do niego przez dostawcę broni okazał się chybiony; te drzwi były ewidentnie zamknięte i muszę poszukać nowych. Tym razem nie chcę go zabić, chcę go tylko znaleźć i podążać za nim.

Wstaję, biorę prysznic, zmieniam opatrunek, ubieram się normalnie - czarne jeansy i czarny t-shirt - i międzystanową drogą numer pięć jadę do centrum. Skręcam w Madison i jadę do dzielnicy nadbrzeżnej. Chcę zobaczyć Pacyfik, popatrzeć na horyzont, gdzie ciemna woda dotyka jasnego nieba. Znajduję miejsce parkingowe i idę przez mały skrawek trawy, na której w słońcu leżą kobiety i mężczyźni rozkoszujący się dotykiem słońca.

Stoję na brzegu wody przez godzinę. Ciemna woda muska jasne niebo na horyzoncie. Nadszedł czas, aby to skończyć. Zapomnieć o związku z Abe Mannem. Uświadamiam sobie, że nie muszę szukać połączenia z nim, że byliśmy złączeni na długo przed tym, jak na kartce zobaczyłem jego nazwisko. Muszę tylko przeciąć to połączenie raz na zawsze.

Dociera to do mnie tutaj, kiedy obserwuję, jak przenikają się światło i ciemność. Nie chodzi o połączenie między mną a Mannem. Połączenie, które muszę zerwać, to połączenie z przeszłością.

Znajduję budkę telefoniczną i z pamięci wykręcą numer. Po kilku słowach Max przełącza mnie do Ryana w Las Vegas.

- Przyjmuję pańską ofertę.
- Pozwolisz, żebym cię reprezentował? Na wyłączność?
- Ma pan swojego Srebrnego Niedźwiedzia.

Słyszę, jak bierze głęboki wdech, jakby się na chwilę zanurzał. To doprawdy rzadki moment - oto stoicko spokojny człowiek przeżywa prawdziwe emocje. Sprawia mi to przyjemność.

- Jestem bardzo szczęśliwy. Nie pożałujesz tego.
- Jestem pewien, że nie pożałuję, i ja też jestem szczęśliwy, panie Ryan.

- Mów mi William. Jesteśmy partnerami.
- William.
- Kończysz teraz jakąś robotę?
- Tak. Do końca tygodnia będzie po wszystkim.
- Kiedy chcesz nowe zlecenie?
- Daj mi dwa miesiące.
- Gdzie chciałbyś pracować?
- W miarę możliwości na północnym wschodzie.
- To twój dom?
- Tak, Boston.
- Aha. Obecnie jest mnóstwo pracy w Nowym Jorku.
- W porządku, to mi odpowiada.
- Za dwa miesiące będę miał dla ciebie akta.
- Świetnie.

Czeka, wiedząc, że mam mu jeszcze coś do powiedzenia.

- Williamie, jest jeszcze coś. Coś, czego potrzebuję pilnie do mojego obecnego zlecenia. Nie mam już Pooleya i przekażę ci jego pełnomocnictwo w tej sprawie.

- Tak, w porządku. Co mogę dla ciebie zrobić?
- Chcę, żebyś zorganizował spotkanie.
- Tak?

- Tutaj, na Wschodnim Wybrzeżu działa pewien słup, nazywa się Vespucci. Pierwotnie pracowałem dla niego. To on mnie wprowadził w branżę. Rozstaliśmy się nieco chłodno.

- Tak?
- Potrzebuję spotkania...
- W porządku...
- W Seattle.
- Sądzę, że to będzie trudne.
- Dlatego właśnie się do ciebie przyłączam. Na wyłączność.

Ponieważ masz reputację człowieka, który doskonale radzi sobie z trudnościami.

- Tak, rozumiem. Kiedy?
- Tak szybko, jak to możliwe.
- Tak. Jak mogę się z tobą skontaktować?
- Zadzwoń do ciebie za dwanaście godzin.
- Tak. Zrobi się.

\*\*\*

Idę na Pike Place Market, kilkaset metrów od morza. Miejsce, jak na pułapkę na turystów, nie jest takie złe i jak na poranek w środku tygodnia nie jest specjalnie zatłoczone. Kupuję gazetę i zjadam łososia z grilla, patrzę w przestrzeń i nie myślę o niczym. Ryba jest bez smaku. Na zewnątrz zaczyna padać.

\*\*\*

Spotkanie jest umówione w barze na lotnisku Sea-Tac. Nic dziwnego, że Vespucci wybrał to miejsce. Zabójcy lubią się spotykać na lotniskach; przy takiej ochronie wyciągnięcie broni jest niemożliwe. Jeszcze nie słyszałem o człowieku zabitym w barze przy terminalu; takie lokale to bezpieczne niebo dla niebezpiecznych ludzi. Mogą się tam spotkać i wymienić uprzejmości. Albo informacje.

Kupuję bilet do Toronto, którego nie mam zamiaru wykorzystać i przyjeżdżam na tyle wcześnie, aby ustalić swoje położenie. Bar o nazwie C.J. Borg's tuż przy terminalu Alaskan Airwaves ma jedne drzwi wejściowe, jest mały, słabo oświetlony i niezbyt zatłoczony.

Siadam z tyłu, w miejscu, z którego widzę wejście. Nawet w silnie chronionej strefie nie chcę ryzykować.

Kiedy Vespucci wkracza do baru, nie da się go pomylić z nikim innym. Mruży oczy, żeby przywyknąć do przyćmionego światła, a potem mnie zauważa. Nie zmienił się, jego włosy nadal są ciemne i nie przytył. Tylko oczy są inne; jest w nich znużenie, którego wcześniej nie zauważyłem, jakby życie od dawna nie sprawiało mu przyjemności.

- Witaj, Columbus.

- Dzień dobry.

Głos i intonacja także się nie zmieniły.

- Dobrze się miewasz?

- Nie. Nie za dobrze, panie Vespucci.

- Tak. Wiem, co się stało. Przykro mi z powodu twojego pośrednika.

- To kiepska rekompensata.

- Nie rozumiem.

- Powiem panu, czego chcę. Chcę, aby pan odwołał Hapa Blownfelda, czy jak on się tam nazywa. Wiem, że do tego zlecenia wynajęto trzech ludzi, wiem, że nikt o to nie prosił. Wiem też, że więcej czasu spędzamy, próbując pozabijać się nawzajem, niż koncentrując się na wyeliminowaniu celu. Pozbyłem się już Miguela Cortegi. Z Hapem zrobię to samo.

- Dlaczego, jak powiedziałeś, miałbym odwoływać własnego człowieka?

- Ponieważ dopadnę go w taki czy inny sposób. I zamierzam skończyć tę robotę - patrzę na niego spokojnie. - A jeśli mi pan nie pomoże, dopadnę też pana.

Zaczyna coś mówić, ale mu przerywam.

- Jurgenson w Amsterdamie. Sharpe w Montrealu. Reeves w Chicago. Cole w Atlancie. Zna pan te nazwiska?

Kiwa głową.

- To wszystko moja robota. Podobno dotarcie do nich było niemożliwe, a mnie się udało. Nigdy nie zabijam nikogo prywatnie, ale jeśli mi pan nie pomoże, będzie pan pierwszy.

Odchyła się, zastanawia.

- Zmieniłeś się - mówi wreszcie.

- Pan mnie zmienił.

Całe jego ciało nieco zapada się na krzesło, jakbym sprawił, że ciężar na jego ramionach się zwiększył. Pochyla się i nabiera tchu, jakby chciał starannie wypowiedzieć słowa.

- Wiem, gdzie ona mieszka.

Przez chwilę nie mówię nic. Nie musi wyjaśniać, jaka ona; wiem, o kogo chodzi i nie musi wymieniać imienia. To wykalkulowana gra z jego strony, ale jeśli chce mnie zaskoczyć, to mu się nie udaje.

- Nie obchodzi mnie to.

- Ach... myślę, że jednak tak, Columbusie. Myślę, że bardzo chciałbyś wiedzieć to, co ja wiem.

- Nie sądzi pan, że przez te wszystkie lata mogłem się z nią skontaktować tysiące razy? To ja się jej pozbyłem. Niech pan o tym nie zapomina.

- Pozbyłeś się jej, bo ci na niej zależało. Kopnąłeś ją w żołądek, bo ci na niej zależało. Nie śledziłeś jej, bo ci na niej zależało. Może nie zmieniłeś się tak bardzo, jak sądziłem.

Zacząłem coś mówić, ale tym razem to on przerwał.

- Columbusie, grozisz mi, ale mogę ci szczerze powiedzieć, że moje życie jest gówniecznie. Niedługo się zakończy, a ja jestem spokojny. Jakakolwiek spotka mnie kara, to nie stanie się w tym życiu, zapewniam cię. Cokolwiek mi zrobisz, będzie to błogosławieństwo. Mam wiele do odpokutowania.

Oczy mu wilgotnieją i ma ciężkie powieki, ale jestem pewien, że to nie sztuczka; w życiu wypełnionym śmiercią szuka prawdy, a to, co widzi w otchłani, oślepia go. Nie skończył jeszcze mówić.

- Uważasz, że pociągnięcie za spust jest trudne? Że zakończenie zlecenia jest trudne? Pomyśl o tym, co robię i co robił dla ciebie twój słup. Zbieramy informacje o celach, o mężczyznach i kobietach, wyciągamy najbardziej intymne sprawy z ich życia po to, aby ktoś mógł je zakończyć. Odbieramy im ich wolną wolę. Znamy przyszłość. Wiemy, że kiedy zaczniemy ich sprawdzać, zostanie im

niewiele czasu. My to wiemy, ale oni nie, rozumiesz? To rzadka władza, zarezerwowana dotąd dla Boga.

Przesuwa kubek z kawą z jednego brzegu stołu na drugi.

- Ech. Wybacz. Jestem stary i zmęczony. Nie potrafię wyjaśnić, co to znaczy. Moje słowa nie oddają tego, co chcę powiedzieć.

Patrzę na niego jakby po raz pierwszy. Ten stary człowiek, który wprowadził mnie w życie, teraz żałuje. Nie pomyślałem o cenie, jaką płaci słup, pośrednik, za wykorzystywane przeze mnie informacje. Ja jestem w stanie nawiązać połączenie i przeciąć je, ale on może się tylko połączyć, a potem patrzeć, jak przecina je ktoś inny. Cena za to ma wymiar zarówno psychiczny, jak i fizyczny; teraz widzę to w nabiegłych krwią oczach Vespucciego.

W tej właśnie chwili odkrywam, że przegram. Daję z siebie to, co najlepsze, i pozwalam sobie to odebrać. Pozwalam, aby moja odrzucona przeszłość pochłonęła mnie i ignoruję wszystkie znaki ostrzegawcze mojej własnej aroganckiej dumy. Grozę Vespucciemu, ale to tylko puste słowa i on o tym wie. Nie dlatego, że mną manipuluje. Mówiąc prawdę, wytrąca mi broń z ręki.

Uświadamiam sobie, że od kilku minut żaden z nas się nie odezwał. Patrzy na mnie jak zbesztane dziecko patrzy na nauczyciela i czeka, aby wymierzył karę, czeka na cios, który nigdy nie spadnie.

Wreszcie podnoszę się.

- Skończyliśmy?

- Tak.

Wzdycha i wstaje.

- No cóż, dobrze cię widzieć, Columbusie. Mówię serio.

Nie odpowiadam, a on wychodzi. Kiedy opuszczam lotnisko, na zewnątrz jest ciemno. Ciągle pada deszcz.

\*\*\*

Do hotelu wracam jak lunatyk. Nie mam planu B, żadnego wyjścia awaryjnego, nie wiem, jak dopaść Abe Manna. Mogę wpakować mu kulkę, ale nie mam drogi ucieczki, a nie jestem samobójcą. Nie mam dokąd uciekać. Nie mam pomysłów.

Pojadę na południe, do Los Angeles, poobserwuję. Mam nadzieję, że Hap nie wywęszy mnie pierwszy i spokojnie zaczekam na otwarcie. Jeśli trafi się szansa na oddanie czystego strzału, zrobię to. Zaufam instynktowi, może zdołam wyjść z tego żywy i nie trafię do więzienia. Nie mam innych możliwości.

Zaczynam pakować rzeczy, gdy rozlega się pukanie do drzwi. Łapię pistolet i przykucam przy futrynie.

- Tak?

Z drugiej strony dobiega miękki głos Vespucciego.

- Columbus. To ja. Jestem... nieuzbrojony.

Coś w jego głosie brzmi martwo i pusto, jakby był przeklęty, bez duszy. Opuszczam broń, wstaję i bez wahania otwieram drzwi. Musiał mnie śledzić z lotniska, ale nie wyczuwam niebezpieczeństwa.

Trzyma kopertę; jego oczy pozbawione są życia, po prostu ciemne kręgi w ciemnej twarzy.

- Nie dam ci Hapa.

Nic nie mówię. Nie przyszedł tutaj po to, aby mi powiedzieć coś, co już wiem. Wyciąga rękę z kopertą.

- Kandydat Abe Mann będzie sam w pokoju hotelowym dokładnie na dwadzieścia cztery godziny przed swoim wystąpieniem na konwencji. Nie pytaj, skąd to wiem i jak się dowiedziałem. Hap także ma tę informację.

Nie wiem, co odpowiedzieć, więc tylko kiwam głową.

- Nie robię tego dlatego, że jestem ci coś winien. Robię to dla siebie. Rozumiesz?

Tym razem no kiwa głową. Wpatruje się w moją twarz, jakby próbował wbić ją sobie w pamięć, jakby patrzył na nią po raz ostatni.

- Późno jak na mnie.

I z tymi słowami odchodzi w mrok i ulewny deszcz.



# Rozdział czternasty

Stoję na polu na przedmieściach Portland w stanie Oregon wraz z tysiącem obywateli i słucham Abe Manna przemawiającego z podium. Jest zły i chyba po raz pierwszy, odkąd go śledzę, mówi z pamięci, bez notatek, bez scenariusza.

- ... polityka tego kraju rozpadła się na dwie partie pociągające za wszystkie sznurki, każda kwestia jest załatwiona, zanim ktokolwiek w ogóle się zorientuje. To jest system, w którym nie ma równowagi. System, który wykorzystuje kij, a nie marchewkę. Mówimy o gałązce oliwnej, spotykaniu się w połowie drogi, wspólnej pracy, ale to wszystko... cóż... bzdury.

Tłum klaszcze nerwowo, jakby wyczuwał, że coś tu nie gra. Mann mówi dalej, jakby nie słyszał oklasków.

- Słuchajcie, ludzie. To wygląda, jakby dwa psy przywiązane do tego samego łańcucha ciągnęły go w przeciwne strony. Nigdzie się nie dostaną; będą tkwić w tym samym miejscu, warcząc i szczekając bezsilnie. I mówię wam teraz, że albo ktoś wskaże tym psom wspólny kierunek, albo skróci ich męczarnie.

Patrzę na pomagierów Manna stojących z boku i próbujących bezskutecznie przyciągnąć jego uwagę. Widzę, że spogląda w ich stronę, ale zaraz wraca wzrokiem do publiczności, ignorując ich sygnały. Grubas w źle skrojonym garniturze wygląda, jakby miał zaraz dostać apopleksji, ale Mann mówi dalej.

- Oto, jaki jest problem z tym wielkim budynkiem Kapitolu na wzgórzu. Dużo krzyku, dużo zamieszania, a tak naprawdę nikt niczego nie kończy. A w każdym razie nie tak, jak to było w planach.

Skanuje oczami tłum, jego wzrok przesuwają się po mnie, a potem idzie dalej.

- Zaczynają z najlepszymi zamiarami, ale cóż, dwie partie zwalczają się, jak tylko mogą, a cierpicie na tym wy. Dużo mówią, nic nie robią. Nikt niczego nie kończy. Porozumienie nie może się udać. Nikt nie chce...

Jego mikrofon przestaje działać. Wypowiada jeszcze kilka zdań, zanim do niego dociera, że nikt go nie słyszy. Patrzy na swoich ludzi, po czym na jego twarzy pojawia się wyraz zawodu. Przypomina mi się tamten beznamiętny pies na parkingu przed McDonal-dem w Santa Fe, próbujący się podnieść, próbujący walczyć i padający raz za razem.

Ludzie Manna uciszili go, nałożyli mu kaganiec, więc wzrusza ramionami i ze spuszczonej oczami schodzi ze sceny. Uciszone go, ale jego słowa wciąż wiszą nad tłumem, aż w końcu wszyscy rozchodzimy się w ciszy, jakbyśmy wracali z pogrzebu.

\*\*\*

Jeden jedyny raz nie wykonałem zadania, nie zabiłem celu. Rok wcześniej, zeszłej zimy. Nie chciałem pracować, podjąłem decyzję, że zrobię sobie przerwę i podładuję baterie, ale Pooley dostał podwójną stawkę i uznałem, że mogę odpocząć później, kiedy zrobi się cieplej.

Byłem podejrzliwy, podwójna stawka mogła oznaczać tylko jedno - że to zadanie będzie bardzo trudne. Od czasów Positano byłem bardzo ostrożny, nie miałem zamiaru popełnić dwa razy tego samego błędu.

Ofiara nazywała się Jaqueline Val Saint, była Francuzką mieszkającą w Dallas, w Teksasie. Zgodnie z danymi zebranymi przez Pooleya była kochanką jednego z miejscowych notabli. Zmieniła nazwisko na Monique Val Saint, jednak Pooley nie wiedział, czy to było ważne, a jeśli tak, to dlaczego. W aktach zrobił notatkę, że pośrednik, z którym się układał, bardzo niechętnie podawał

jakiegokolwiek informacji. Pomimo to Pooley dobrze się spisał, zbierając wszelkie szczegóły dotyczące życia Monique.

Jej kochankiem był Jacob J. Adams, wielki gracz na rynku nieruchomości w północnym Dallas. Zbił małą fortunę, kupując fabryki, przebudowując je, a potem wynajmując jako magazyny przedsiębiorcom z całego południowego zachodu. W toku rozwoju kariery ściskał dłonie tylu ważnych ludzi, że sam zaczął mieć niewielkie aspiracje polityczne. Nie trzeba było wielkiej inteligencji, aby się domyślić, dlaczego Monique stała się niewygodna.

Z informacji zebranych przez Pooleya wiedziałem, że Monique mieszka w lofcie z widokiem na centrum Dallas i basenem na dachu, dzięki czemu jej skóra zawsze ma odcień złotego brązu. Wiedziałem, że pięć razy w tygodniu ćwiczy w miejscowym klubie sportowym, jednak w ostatnim tygodniu obserwacji Pooley zanotował, że była tam tylko raz. Przybrała nieco na wadze; może to również złożyło się na niezadowolenie pana Adamsa.

Zgodnie z aktami jego żona nie wiedziała o romansie. Pooley był tego pewien. To była ważna informacja; gdyby żona miała własne plany co do konfrontacji z panią Val Saint, to mogłoby sprawić, że miałby kłopoty logistyczne. Takie zdarzenie mogłoby mocno skomplikować sprawy, a także ściągnąć niechcianych świadków - ciekawskich sąsiadów albo, co gorsza, policję - co dodatkowo utrudniłoby pracę. A z tym akurat zleceniem chciałem się szybko uporać - przyjechać, zrobić swoje i odjechać.

Poleciałem do Dallas, wynająłem samochód i pojechałem w okolice zwaną Deep Ellum. Ceglany budynek fabryczny na Canon Street został przerobiony na gigantyczne lofty i jestem pewien, że Adams wynegocjował dla swojej kochanki dobry czynsz. Kiedy wjechałem w jej ulicę, właśnie wyjeżdżała drogą na południe, więc pojechałem prosto za nią w stronę autostrady.

Prowadzony przez nią mercedes kabriolet zatrzymał się przed centrum handlowym Northpark Mail, jednym z jej ulubionych - według Pooleya - miejsc. Zaparkowałem nieopodal i patrzyłem.

Monique była piękna, piękniejsza niż można by sądzić na podstawie zdjęć. Miała naturalną urodę, wysokie kości policzkowe

i nieskazitelną twarz. Jasne włosy miała stylowo obcięte, a nie ułożone w wysoką wieżę typową dla innych Teksanek krążących wokół centrum. Luźne ubranie ukrywało muskularne ciało.

Wszedłem za nią do środka. Zniknęła w Pottery Ban, a ja czekałem na korytarzu, obserwując ją przez okna wystawowe.

Czekałem, aby wyszła, ale kiedy tego nie zrobiła, ze znużoną miną i rękami głęboko w kieszeniach wszedłem do sklepu.

Już wcześniej słyszałem krzyki, ale gdy podszedłem bliżej, głosy stały się wyraźniejsze. Monique stała przy ladzie, twarz miała wykrzywioną z wściekłości i wrzeszczała na dwóch sprzedawców po drugiej stronie lady. Jej twarz się zmieniła; tam, gdzie wcześniej widziałem piękno, teraz widziałem czystą ohydę. Dyskusja dotyczyła jakiegoś zamówionego przedmiotu, którego nie dostarczono, a biedni sprzedawcy płaszczyli się przed tą uprzywilejowaną kobietą, czyjąś kochanką, która nimi pomiatała, upokarzała ich po prostu dlatego, że mogła sobie na to pozwolić.

To nie potrwa długo.

\*\*\*

Zmrużonymi oczami patrzyłem, jak idzie przez parking, pozwalałem, aby moja nienawiść do niej rosła. Pooley wspomniał ojej „trudnym” charakterze, a ja szczególnie nie lubię ludzi, którzy traktują innych jak gówno. O charakterze świadczy sposób odnoszenia się do ludzi, którzy nic nam nie mogą zrobić - sekretarek, kelnerek, kasjerek. Ułatwiła mi robotę.

Pojechałem za nią do przychodni i czekałem na parkingu, kiedy poszła spotkać się ze swoim lekarzem. Na cokolwiek chorowała, straci to znaczenie, jak tylko wróci do mieszkania.

Najwidoczniej nie miała już innych spraw do załatwienia, bo pojechała do domu w Deep Ellum. Po tym, jak weszła do budynku, siedziałem w samochodzie jeszcze ponad godzinę.

Większość zabójstw na zlecenie odbywa się w domu ofiary. Dla zabójcy to ważne, żeby ofiara weszła w swoją rutynę, poczuła się pewnie, aby w znajomym otoczeniu straciła czujność.

Odbezpieczam mojego glocka i wchodzę do środka, a potem wsiadam do windy i jadę na czwarte piętro.

Zamek w jej drzwiach jest standardowy. Sforsowanie go i otwarcie drzwi nie zajmuje mi nawet sekundy. Szybko wchodzę do środka, gotów do walki w razie potrzeby, ale nie znajduję jej ani w salonie, ani w kuchni. Z głównej łazienki dochodzi szum wody, ruszam więc w tamtym kierunku.

Cicho przekręciłem klamkę i jednocześnie popchnąłem drzwi. Zrobiłem krok do przodu i w ułamku sekundy zdążyłem uchylić głowę przed kijem golfowym, który śmignął w moim kierunku. Udało mi się uniknąć bezpośredniego uderzenia, tylko mnie musnął. Byłem jednak bardzo zaskoczony tym, że zostałem odkryty i nie byłem przygotowany na energię tej kobiety.

Machnęła kijem i przygotowała się do kolejnego ataku. Była niekompletnie ubrana i coś w jej gołych nogach sprawiło, że się zawahałem. Natychmiast to wykorzystała, wyprowadzając niski cios i uderzając w mój lewy goleń. Poczulem, jak kość pęka, zobaczyłem gwiazdy przed oczami, ale instynkt wziął górę i dotarło do mnie, że ta kobieta, choć sprawna, nie jest doświadczoną zabójczynią.

Próbowała mnie wyminąć, wydostać się z łazienki do salonu, w miejsce lepsze do walki i prawie jej się udało. Jednak złapałem ją za ramię, wykręciłem nadgarstek i cisnąłem na podłogę.

Od tej chwili zaczęła się jatka. Miałem przewagę ponad czterdziestu kilogramów wagi i choć walczyła jak szczur w klatce, to wykorzystałem ból w nodze, aby skoncentrować się na własnej agresji. Przytrzymałem jej nogi i usiadłem na niej. Próbowała mnie drapać, gryźć, dziko przewracała oczami. Wbiła mi piętę w goleń, ale byłem skoncentrowany, karmiłem się swoim bólem, zdołałem unieruchomić jej ramiona i zacisnąć palce na gardle.

Już miałem z nią skończyć, ale usłyszałem, że za moimi plecami otworzyły się drzwi.

Kurwa. Musiałem podjąć decyzję, nie miałem czasu. Monique walczyła, ja nasłuchiwałem dźwięku kroków zbliżających się do łazienki. Nawet z niesprawną nogą zdołałbym z niej zejść i postać

nowego gościa na ziemię. Miałem nadzieję, że już pozabawiłem ją woli walki i nie będzie w stanie mu pomóc.

- Columbus!

Ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewałem, był głos Pooleya dochodzący z salonu.

- Columbus!

Poczułem, jak moje palce na gardle Monique zaczynają się rozluźniać. Zakaszła i jej ciało zmiękło.

W świetle dochodzącym z salonu pojawił się Pooley. Był spocyny i ciężko oddychał.

- Ona... ona... - próbował złapać oddech. - Ona nie jest celem.

- Co?

Kiedy tylko uniosłem się znad jej torsu, szarpnęła się i poczołgała w róg pomieszczenia, oparła się plecami o ścianę, obejmując ramionami kolana, kaszląc i szlochając.

- Spierdoliłem. Ja... eee... podwójna stawka... dwa nazwiska... Myślałem, że to...

- Czyli nie...

- Ona jest w ciąży. Zlecenie jest na dziecko.

- O kurwa.

Wstałem, a Monique wrzasnęła, skuliła się i rękami osłoniła brzuch.

Wyciągnąłem ręce w uspokajającym geście, ale wciąż patrzyłem na Pooleya.

- O kurwa - powtórzyłem. - Jakim cudem popełniłeś taki błąd?

- Nie wychwyciłem tego... powinienem był, ale tego nie zrobiłem. To dlatego przyjechałem tak szybko, jak się dało.

Popatrzyłem na Monique, a ona się wzdrygnęła.

- Wychodzę - powiedziałem do niej. - Nie zabiję ciebie ani twojego dziecka. Ktoś jednak wydał na nie wyrok i nie obchodziło go, że i ty zginiesz przy okazji.

Kiwnęła głową, ale zęby wciąż miała odsłonięte, w każdej chwili gotowa do dalszej walki.

Wyszedłem z jej mieszkania, a Pooley pomógł mi zejść ze schodów i wsiąść do samochodu.

\*\*\*

Kim jest człowiek zlecający zabójstwo dziecka, chociaż zabicie matki dałoby ten sam efekt? I w co gra ktoś, kto każe zabić w taki sposób... podając imię nienarodzonej córki, ale tak, żeby wzięto ją za matkę? Czy ten ktoś zasnąłby spokojniej, wiedząc, że zrobił coś w rodzaju wymuszonej aborcji? Czy mógłby obwiniać zabójcę za śmierć matki, skoro nie było jej w kontrakcie? Grzech przeoczenia jest bardziej strawny niż grzech morderstwa? Może nie chciałem znać odpowiedzi. Jednak tamtego dnia nie wykonałem zadania, nie zabiłem, ponieważ nie lubię, kiedy ktoś mną manipuluje.

\*\*\*

W Portland po raz pierwszy od tygodni niebo jest bezchmurne. Horyzont jest czysty, bezkresny.

Abe Mann jedzie do Sacramento, to jego ostatni przystanek przed konwencją w Los Angeles, do którego nie dotrze. Myję zęby i w odbiciu hotelowego lustra oglądam wiadomości. W mojej głowie zaczyna mrugać nazwa, jakby próbując przyciągnąć moją uwagę.

Skyline Hall.

Skyline Hall w Sacramento.

Podczas pracy zabójcy czasem wtrącają w rozmowę okruchy ze swojego prawdziwego życia, chcą wydać się bardziej wiarygodni i uważają, że dzięki temu bardziej zbliżą się do celu. Ta taktyka jest ich siłą, zazwyczaj pozwala zdobyć zaufanie ofiary. Jednak może się obrócić przeciwko nim, bo ktoś, kto nie jest celem, może sporo zapamiętać i stać się wrogiem.

Skyline Hall w Sacramento.

Hapa Blowenfelda po raz pierwszy spotkałem przy ładowaniu skrzyniek z piwem na ciężarówkę. Opowiedział mi wówczas pewną

historię, która miała mnie z nim związać, historię o tym, jak gołymi rękami zabił dzieciaka za kradzież portfela jego ojca i został za to wysłany do Skyline Hall w Sacramento, do poprawczaka takiego jak Waxham,

Jeśli ta historia jest prawdziwa, jeśli Hap był w poprawczaku, to mogą tam być dokumenty, w których figuruje jego prawdziwe nazwisko, adres jego ojca albo żyjących krewnych, a to droga dotarcia do niego.



# Rozdział piętnasty

Istnieją dwa sposoby zdobycia informacji, których nie powinno się mieć. Jeden sposób to ukraść je. Drugi to zmusić kogoś do ich wyjawienia.

Dom dla Chłopców Skyline leży na peryferiach Sacramento, przy mało uczęszczanej drodze, daleko od jakichkolwiek głównych tras. Wygląda jak szkoła średnia otoczona drutem kolczastym, zbudowana dawno temu i od tamtego czasu nie remontowana.

Spędzam tam dzień i zapamiętuję, kiedy zmieniają się pracownicy. Tak jak w przypadku Richarda Levine'a wiem, że najlepiej uderzyć wtedy, gdy wokół panuje największy chaos, gdy zmęczeni pracownicy rządowi przekazują klucze innym znudzonym pracownikom rządowym, właśnie rozpoczynającym kolejny gówniany dzień w młodocianym piekle.

Idę do drzwi frontowych i kieruję się do przysadzistej recepcjonistki, która dosłownie wpatruje się w zegar.

- W czym mogę pomóc? - pyta, nie odrywając od niego oczu.

- Dzień dobry. Jestem z biura senatora stanowego, pana Vespucci. Może mi pani wskazać pomieszczenie z aktami?

Teraz spuszcza wzrok z zegara i bada moją twarz. Jest wkurzona. Przyjechałem pod koniec długiej zmiany i chcę, żeby pracowała. Jej twarz tężeje, a usta zmieniają się w cienką kreskę.

- A o co chodzi?

- Zbieramy dane potrzebne do wniosku o przyznanie funduszy.

- Nikt mi nic nie powiedział.

- Kilka dni temu przesłaliśmy do państwa faks.

Spogląda do tyłu, gdzie w biurze na półce stoi stary faks, a potem znów na mnie, próbując zdecydować, czy chce jej się podnosić z krzesła rozłożysty zad na dziesięć minut przed końcem zmiany.

Wreszcie wzdycha i wstaje.

Wchodzi do biura i zaczyna szukać rzekomo przysłanych papierów, ale nic nie znajduje.

- Proszę posłuchać. Nic nie wiem o żadnym...

Przerywa w środku zdania, ponieważ cicho wszedłem za nią, a teraz stoję i przyciskam jej do żeber lufę pistoletu.

Na zewnątrz słychać gwar przychodzących i wychodzących pracowników, ale tutaj, w środku jest cicho.

- O Boże... - wykrztusza bez tchu.

- Jak masz na imię?

- Roberta - szepcze.

- Roberto, musisz podjąć decyzję. Żyjemy w świecie wyborów, dobrych i złych, a one niosą ze sobą konsekwencje. Teraz będziesz musiała dokonać takiego wyboru.

- Proszę, nie...

- Wybór masz taki - zrobisz dokładnie to, co ci powiem i wtedy nikt w tym budynku nie zginie. Ani Lawrence, stróż, ani Bill, doradca, ani ty, Roberto. Ani żadne z tych uroczych wnucząt, których zdjęcia widziałem na twoim biurku.

- O Boże...

- Druga opcja jest taka, że jeśli krzykniesz, jeśli zrobisz cokolwiek, co przyciągnie uwagę do mnie lub do ciebie, to urządzę tu masakrę, jakiej Sacramento nigdy nie widziało. Kiwnij głową, jeśli zrozumiałaś.

Kiwa głową, nie spuszcza ze mnie oczu, ma czerwone policzki pokryte plamami, jakby ktoś uderzył ją otwartą dłonią.

- Dobrze. Więc nikt dzisiaj nie umrze.

Opuszczam broń, niech wie, że udzieliła dobrej odpowiedzi, zrobiła postępek.

- Dobrze, Roberto, a teraz zaprowadzisz mnie do archiwum. Kiedy tam będziemy, wskażesz mi akta z okresu pięciu lat, od 1984 do 1989. Roberto, czy możesz to dla mnie zrobić?

Znów kiwa głową, a potem mechanicznie jak robot wychodzi z biura i prowadzi mnie do bocznego korytarza. Nikt na nas nie patrzy, nikt nas nie pozdrawia, nikt nie pyta, co robimy. To tylko kolejny wtorek w miejscu, gdzie nic nikogo nie obchodzi.

\*\*\*

W archiwum spędzamy nieco ponad godzinę, przez nikogo nie niepokojeni. Roberta uspokoiła się i pomaga mi przekopywać materiały, pokazując mi zdjęcia każdego dzieciaka. Na szczęście wychowankowie są klasyfikowani według popełnionych czynów, więc zawężam obszar poszukiwań do najpoważniejszych przestępstw, mogę też odrzucić wszystkie twarze nie należące do rasy białej, co dodatkowo ułatwia zadanie. Nadal jednak zostaje mnóstwo nastolatków, więc praca jest niełatwa.

Właśnie zaczynam tracić cierpliwość i myśleć, że może Hap mówił prawdę, ale zmienił pewne szczegóły, gdy znajduję jego zdjęcie.

Młodszy, z bujniejszymi włosami i mniej pewny siebie, nastoletni Hap Blowenfeld patrzy z czarno-białej fotografii z wyrazem buntu na twarzy. Nazwisko w aktach to Evan Feldman. I adres jego ojca w Arcadii. Wygląda na to, że Hap zmienił tylko nazwisko.

- Czy to o niego chodzi? - pyta Roberta.
- Tak.
- Czy teraz mnie wypuścisz?
- Roberto, ile lat mają twoje wnuki?

Jej oczy błyskają lekko, jakby poczuła się ze mną pewnie i teraz tego żałowała.

- Chłopiec ma pięć lat. Dziewczynka trzy - szepcze miękko.
- Cóż, więc jeśli chcesz, żeby chłopiec dotrwał do swoich szóstych urodzin, a dziewczynka do czwartych, zapomnisz, że mnie w ogóle widziałas i nie wspomnisz o tym nikomu.
- Jasne - kiwa głową potakująco.
- Jeśli to zrobisz, ktoś może próbować mnie aresztować, ale mu się nie uda. Ktoś może próbować mnie zabić, ale to też mu się

nie uda. I ja, Roberto, będę wiedział, kto się wygadał. Wtedy wróce do Sacramento. A wierz mi, nie mam najmniejszej ochoty tutaj wracać.

- Nie będziesz miał powodu.

Po jej policzku spływa łza, ale głos ma spokojny.

- Wiem, że tak będzie. Zabieram to.

Podnoszę akta Hapa i idę do drzwi. Jestem pewny, że Roberta długo będzie zbierała siły, aby wyjść.

\*\*\*

Arcadia jest miastem, które komuś się nie udało. Budynki, budynki, budynki, beton, asfalt i ścieki po horyzont, w dodatku wszystko po niewłaściwej stronie Los Angeles.

Adres, który zdobyłem, znajduje się na ulicy, przy której stoją jednakowe, płaskie parterowe domy, upchane tak blisko siebie, jak to tylko możliwe. Żaden z nich z pewnością nie przetrwa trzęsienia ziemi.

Adres ojca Hapa, Toma Feldmana, to 416 N. Armstrong Rd. Stojąc na ulicy, lustruję niewyróżniający się niczym budynek i łapię się na modlitwie o to, aby ten starszy biały człowiek nadal tam mieszkał. Niech to nie będzie ślepa uliczka. Nie wtedy, gdy czuję, że jestem tak kurewsko blisko.

Zdarza się w życiu, że prosisz o odrobinę szczęścia, a wtedy los uśmiecha się do ciebie i wręcza ci pudełko z kokardką. Prosiłem o szczęście, zabijając prostytutkę w Pensylwanii, jak jej tam było na imię, nawet tego nie pamiętam, pamiętam tylko zapach winogronowej gumy do żucia i to, że prosiłem o fart. Jak to dobrze, że odrobiłem zadanie domowe, zgadłem, że ojciec Hapa nie umarł, nie przeprowadził się ani nie został eksmitowany. Los najwyraźniej uśmiecha się do tych, którzy mu pomagają i potrafią tak się ustawić, by złapać prezent, gdy wyląduje im przed nosem.

Ojciec Hapa parkuje na swoim podjeździe, wysiada i idzie do skrzynki na listy. To twarz człowieka, który zabił mojego partnera, jestem pewien. Ojciec i syn mają takie same rysy, taki sam mały

nos, takie same oczy. Czuję, jak narasta we mnie podekscytowanie i gniew.

Zatrząskuję drzwi i biegnę w dół ulicy.

- Proszę pana...? Spogląda na mnie niewinnie.

- Tak?

- Czy pan Tom Feldman?

- Tak...

- Dzięki Bogu... jak pan się miewa?

- Dobrze...?

To bardziej pytanie niż stwierdzenie.

- Tak się cieszę, że pana znalazłem. Jestem przyjacielem Evana...

Na jego twarzy pojawia się szeroki uśmiech.

- Naprawdę? Miło mi pana poznać, panie...

- Jack.

- Miło mi cię poznać, Jack. Evan powinien tu być w każdej chwili.

Serce podchodzi mi do gardła. Będzie tutaj? Jeszcze dobrze nie znalazłem ojca, a już mam syna, tu i teraz. Prezent robi się coraz większy, a kokarda bardziej kolorowa.

Potrzebuję jednak elementu zaskoczenia, a skoro Hap, Evan, czy jak on się tam kurwa nazywa, właśnie tu jedzie, to karty mogą się odmienić w każdej chwili.

- Wspaniale! Tak się ucieszy z naszego spotkania! - jakoś udaje mi się wydukać.

Wyciąga z kieszeni komórkę.

- Pewnie się zatrzymał, żeby zrobić zakupy. Zadzwońię do niego, że jesteś. Niech się pośpieszy.

Głos mam spokojny, na twarzy uśmiech.

- Byłoby świetnie.

Milknę, jakbym się nad czymś zastanawiał.

- Albo wie pan, co? On nie wie, że przyjeżdżam, ale chciałbym zrobić mu niespodziankę.

Jego tata się śmieje.

- Jasne. Nie utrzymuje kontaktu ze swoimi starymi znajomymi, więc to będzie dla niego miłe zaskoczenie.

Patrę w dół ulicy, wychwytyję dźwięk silnika. Muszę zniknąć z widoku, znaleźć się w domu, gdy Hap z rękami zajęтыми zakupami wejdzie przez drzwi.

- Mogę skorzystać z łazienki?

- Oczywiście.

Prowadzi mnie na ganek.

- Skąd znasz Evana?

- Jeździliśmy razem na ciężarówkach w Bostonie. Dziesięć lat temu.

- Żartujesz. A niech mnie.

Podchodzi do drzwi, a mój instynkt mnie zawodzi i nie widzę niebezpieczeństwa. Taki jestem pewien przychylności losu, że nie zauważam sygnałów ostrzegawczych.

Stoimy przy drzwiach, ojciec Hapa otwiera je szeroko i wrzeszczy.

- Evan! Tu jest zabójca...

Uderzam go w skroń, zanim powie coś więcej, ale i tak jest za późno.

Wielu rzeczy mógłbym się spodziewać, ale nie tego, że Hap powie ojcu, czym dokładnie się zajmuje. Nie spodziewałem się, że Hap będzie w domu i nie sądziłem, że ojciec będzie go krył, nie spodziewałem się, że stary drań zaalarmuje go jak syrena okrętu.

Ledwie zdążyłem zauważyć stopy znikające na klatce schodowej. Nie miałem nawet czasu, żeby przyzwyczać oczy do światła. Jeśli kiedyś przejmował się ojcem na tyle, by załatwić dzieciaka, który ukradł mu portfel, to z pewnością to się zmieniło. Lata pracy w charakterze zabójcy wyrobiły w nim silny instynkt przetrwania. Jeśli zabije jego ojca, to trudno.

Wpadam do domu i biegnę po schodach. Z góry sypią się pociśki, fruują wokół jak rozeżłone pszczoły. Kiedy tylko ostrzał ustaje i słyszę tupot stóp, wypalam przez sufit i gnam po dwa stopnie naraz.

Dopadam załamku korytarza, spodziewając się kolejnego strzału, ale zamiast tego widzę, jak Hap wyskakuje przez zamknięte okno, biegnę w jego kierunku i patrzę w dół, ale on już przeturlał się po szkle jak kot i ucieka. Nie waham się ani chwili, skaczę przez okno, uginam kolana, aby zamortyzować uderzenie, przetaczam się i podrywam do biegu.

Powinien był poczekać i zastrzelić mnie, kiedy tylko dotknąłem ziemi, ale tego nie zrobił, więc biegnę za nim. Jestem od niego szybszy i przecież powinien coś zrobić. Wprawdzie strzelał do mnie na schodach, ale teraz nie próbuje mnie trafić ani w żaden sposób zdezorientować, uciec między domy. Dociera do mnie, że mimo wszystko mam szczęście; zaskoczyłem go, jest nieprzygotowany. Na ostrzegawczy krzyk ojca musiał poderwać się z kanapy; zdążył tylko wbiec po schodach i złapać broń, ale jest zbyt leniwy, nie przygotował sobie drugiego magazynku i teraz nie ma naboii.

Wreszcie coś się zmienia, z frontowych drzwi jednego z domów wychodzi para młodych ludzi. Hap pochyla się i wpada do środka. Jestem dwadzieścia kroków za nim, mężczyzna patrzy na mnie i woła „hej, co jest!”, ale widząc mój pistolet, łapie swoją żonę i cofa się w głąb domu. Mijam go i wbiegam przez drzwi, mając nadzieję, że rozkład pomieszczeń jest inny niż w domu Hapa, ale wygląda tak samo. Słyszę kliknięcie dochodzące zza pobliskich drzwi, dźwięk odciąganego bezpiecznika. To chyba w kuchni, wchodzę przez uchylone drzwi, ale on dopada mnie wcześniej i wbija mi nóż w ramię.

- Cześć, Columbus! - mówi z oczami pełnymi ognia.

Przewracam się, moja broń upada na pokrytą płytkami podłogę. Hap sięga po nią, ale chwytam go zdrowym ramieniem, on się prostuje, a ja uderzam go pięścią w żebra tak mocno, jak tylko mogę.

Mamy tylko dziesięć minut, żeby się pozabijać. Dziesięć minut od chwili, gdy młody mężczyzna wyciągnął telefon komórkowy i zadzwonił na policję, że wdarliśmy się do jego domu. Jeśli więc mamy to zrobić, musimy zrobić to teraz, skończyć tę zabawę i zabierać się stąd w diabły. Hap to wie i ja to wiem, więc będziemy

walczyć na śmierć i życie na posadzce kuchni podmiejskiego domu, ponieważ nie ma ani czasu, ani innego sposobu, aby to załatwić. Tak musi być. Hap łapie za rękojeść noża sterczącego z mojego ramienia i niech mnie szlag trafi, jeśli nie ciemnieje mi przed oczami, ale to jest walka o życie i nie mogę sobie pozwolić na utratę przytomności. Nie teraz. Nie po tym wszystkim, co zrobiłem, nie po tym, jak podróżowałem ze Wschodu na Zachód, od wiosny do zimy, od teraźniejszości do przeszłości i z powrotem, widziałem tak wiele i poświęciłem tak wiele. Nie teraz, kiedy linia mety jest blisko, czuję już jej zapach.

Otwieram usta i wgrzynam się w jego bok jak wściekły pies. Ręka, którą sięgał po mój pistolet, zwisa bezwładnie z powodu bólu. To wszystko, czego mi trzeba. Podciągam pod siebie kolana, lewą ręką chwytam pistolet, podnoszę go i z palcem na spuście celuję w głowę Hapa. Widzę w jego oczach, że on wie. Życie uchodzi z niego, jakby ktoś wyciągnął bezpiecznik. Podał się.

- Kurwa.
- No.
- Vespucci mnie wystawił?
- Nie. Jest czysty.
- Więc jak?
- Kiedyś opowiedziałeś mi historię. Kiedy pierwszy raz ładowałem z tobą ciężarówkę.
- Co?
- Opowiedziałeś mi, że zabiłeś człowieka, który ukradł twojemu ojcu portfel. Powiedziałeś, że siedziałeś w Skyline Hall w Sacramento.

Kiwa głową zrezygnowany.

- Naprawdę?
- Tak.
- Wtedy byłem nowy w tej branży.
- Tak.
- Słuchaj, przykro mi, że zabiłem twojego człowieka. Robiłem tylko to, co ty sam byś zrobił.
- Tak.



Próbuje usiąść pewniej, ale ból spowodowany moim ugryzieniem sprawia, że się krzywi.

- Więc pewnie musisz zrobić to, co musisz...

Z bliskiej odległości strzelam Hapowi w głowę i jego twarz znika, zanim kończy mówić.

Pięć minut. Mam zakrwawione ramię, nóż wbity w ciało, ale jest coś jeszcze - ulga. Podnoszę się, otwieram kuchenne drzwi prowadzące na podwórko i, mrużąc oczy, ruszam przez nie w światło dnia.

# Rozdział szesnasty

Jestem synem.

Ten sam bok, ten sam bark, to samo pieprzone ramię. Najpierw kula, potem nóż i w efekcie moje ramię jest praktycznie bezużyteczne. Zrobiło się obrzydliwie czarne i nie jestem pewny, czy kiedykolwiek odzyska pełną sprawność. Przemylem je, zabandażowałem i zażyłem całą masę leków, ale nie jestem lekarzem, a jeśli zacznę szukać profesjonalnej pomocy, będzie po mnie.

W kuchni sąsiada leży martwy Evan Feldman, na podłodze jest moja krew. W całym mieście będą szukać rannego mężczyzny z grupą krwi B Rh+, który zgłosi się na pogotowie, żeby go pozszywano. Mam więc bezużyteczne ramię, do konwencji zostało siedem dni, a do chwili, kiedy kongresmen Abe Mann będzie sam na dwudziestym drugim piętrze hotelu w centrum Los Angeles, siedemnaście godzin.

Jestem synem.

Pooley nie żyje i człowiek, który go zabił, nie żyje. Cox nie żyje i tylu innych nie żyje, ale żyje Vespucci i jest pełen żalu. Ja żyję, ale nie jestem kompletny.

Mam siedemnaście godzin i niech skonam, jeśli teraz odpuszczę. Nie po tym wszystkim, nie po tym, jak pozwoliłem wrócić przeszłości, nie po tym, do kurwy nędzy, DO KURWY NĘDZY, tracę zmysły. W tanim hotelu recepcjonista bierze ode mnie pieniądze i wydaje mi klucz, nawet na mnie nie patrząc. W pokoju jest lustro, a odbita w nim moja twarz jest mizerna, pełna bólu i napięta jak struna gitary. Patrząc w swoje własne oczy i zmuszam się, aby nie odwracać wzroku, chcę, aby napełniły się tym zdecydowaniem,

na którym zawsze polegałem, tą samą determinacją, która pozwoliła mi wyjść z tamtego pokoju we Włoszech, tą samą determinacją, z którą kopałem Jake Owens w żołądek w jej mieszkaniu w Bostonie. Ja, Columbus, jestem Srebrnym Niedźwiedziem. Ktokolwiek wynajął trzech zabójców do usunięcia Abe Manna w tygodniu jego chwały, nie będzie zawiedziony, bo ja jestem synem.

Jak więc zbliżyć się do człowieka, którego otacza więcej ochroniarzy niż kogokolwiek na świecie? Jak mam się do niego zbliżyć? Jak, jeśli czas ucieka, jestem ranny i nie mam odpowiedniego wsparcia?

Wreszcie to do mnie dociera. Przecież to jedyne rozwiązanie, jedyne sposób, by wszystko zakończyć. Cały czas było blisko; w słowach Vespucciego i w mojej własnej mantrze, a teraz jest tak jasne, jak niebo po burzy.

Przygotowuję sobie temblak z białego t-shirta, biorę prysznic i ogarniam się na tyle, na ile to możliwe. Obrażenia są paskudne, ale przynajmniej nie wyglądam już, jakbym uciekł z zakładu dla obłąkanych.

Jadę z podniszczonego hotelu na przedmieściach Wschodniego Los Angeles do centrum miasta i zatrzymuję się przed Standard Hotel. Budynek jest nowoczesny, kanciasty i surowy, zaprojektowany w stylu Zachodniego Wybrzeża. Parkingowy odprowadza mój samochód, a ja wchodzę do białego holu.

Łatwo zauważyć to, czego szukam. Grupa agentów Secret Service stoi przy windach, mają surowe twarze i oczy ukryte za ciemnymi okularami. Blondynka, którą pamiętam z wystąpień w Indianapolis i Seattle, ubrana jest inaczej niż ochroniarze, ale ma ten sam grobowy wyraz twarzy. Trzyma podkładkę pod dokumenty.

Podchodzę do niej i czuję, jak wszyscy gapią się na moją rękę na temblaku.

- Przepraszam.

- Tak?

Patrzy badawczo z wymuszonym uśmiechem.

- Czy mógłbym spotkać się z kongresmenem Mannem?

Parska i widzę, że dwóch agentów sięga pod marynarki.

- Przykro mi. W tej chwili kongresmen jest zajęty.

- Mnie przyjmie.

Patrzy na agentów, a oni kiwiają głowami, jakby chcieli jej przekazać, że są gotowi na każdy mój ruch.

- A pan jest...?

- Jego synem.

Natychmiast łapią mnie pod ramiona i siłą wyprowadzają.

- Powiedzcie mu, że jestem synem LaWandy Dickerson! Powiedzcie mu to!

Spogląda na mnie dziwnie, kiedy prowadzą mnie do pustego pokoju konferencyjnego. Jak spod ziemi pojawia się dziesięciu agentów, którzy mnie pilnują.

Oficer dowodzący ma nieco ponad czterdzieści lat, łysą czaszkę i stalowy wzrok. Mówi głosem wyższym, niż można by się spodziewać, ale odzywa się spokojnie i pewnie.

- W porządku, przyjacielu. Zacznijmy od identyfikacji. Mogę zobaczyć twój portfel?

Potrząsam głową.

- Nie mam.

- Żadnego dowodu tożsamości?

- Nie.

- Jak się nazywasz?

- John Smith.

Uśmiecha się, pokazując, że nie z nim takie numery.

- W porządku, John. Ci panowie cię przeszukają, a ja w tym czasie będę celował w twoją w głowę. Rozumiesz?

- Tak.

To mówi mu dwie rzeczy. Po pierwsze, że nie mam broni ani noża, ponieważ wie, że człowiek, któremu grozi się śmiercią, nic by nie zyskał, kłamiąc. I po drugie, że nie boję się wycelowanej we mnie broni, co oznacza, że bez wątpienia miałem z nią do czynienia wcześniej. Widzę, jak to przepracowuje w głowie, ale twarz ma niewzruszoną. Wyciąga swój pistolet i zgodnie z tym, co powiedział, celuje mi w czoło.

- Masz ze sobą bombę?

Wszyscy w pomieszczeniu patrzą na mnie.

- Nie.
- Co jest nie tak z twoją ręką?
- Zostałem postrzelony, a potem dźgnięty nożem.
- Wygląda na to, że zajęty z ciebie człowiek.
- Tak.
- Okay, John. Wstań, a Larry cię przeszuka.
- Proszę ostrożnie z tą ręką.
- W porządku, John.

Podnoszę się, a wielki facet za mną przeszukuje mnie tak dokładnie, jakby zdejmował miarę. Widzę, jak sprawdza bandażę i rękę pod nimi, bynajmniej nie ostrożnie. Nic nie mówię; oczywiście tam właśnie szuka czegoś niebezpiecznego.

Larry kiwa głową, a oficer opuszcza broń.

- Dobrze, John. Nie jesteś uzbrojony. Możesz usiąść.
- Dziękuję.
- Jaką sprawę masz do kongresmena Manna?
- To rzecz pomiędzy kongresmenem Mannem a mną.
- W porządku, John. Masz coś przeciwko temu, żebyśmy po-  
brali ci odciski palców?

- Nie.
- Wspaniale.

Pojawia się poduszeczka z tuszem i już mam przyłożyć do niej palce, kiedy otwierają się drzwi i w pokoju rozlega się kobiecy głos.

- Abe chce go zobaczyć.

Blondynka z podkładką. Zdenerwowana przygryza policzek.

- Odmawiam - bez wahania mówi starszy oficer.
- Abe nalega.
- Odmawiam.
- Steve, mógłbyś sam z nim porozmawiać? Bo mnie najwyraź-  
niej nie słucha.

Steve kiwa głową i idzie w kąt pokoju, wyciąga komórkę i mówi cicho. Wiem, że kłóci się z moim ojcem i czekam, aż staje się jasne, że przegrał. Jego twarz obwisa, ale potem spogląda na mnie i znów patrzy stalowym wzrokiem. Mówi do telefonu „tak” i rozłącza się.

\*\*\*

Przez hol prowadzi mnie dwunastu agentów, po lewej stronie mam Lany'ego, po prawej Steve'a i zmierzamy jak karawana w stronę drzwi na końcu korytarza, prowadzących do wielkiego apartamentu na ostatnim piętrze. Kiedy do nich docieramy Steve rzuca mi krótkie „zaczekaj” i sam wchodzi do pokoju.

Czekam dziesięć minut, utrzymując neutralną pozycję, co wyćwiczyłem przez dziesięć ostatnich lat, aż drzwi znów się otwierają i Steve wychodzi.

- John, teraz posłuchaj. Ustalimy pewne jasne zasady, a jeśli je złamiesz, nie zawahamy się ciebie zabić.

Czekam.

- Wejdiesz do tego pokoju i staniesz za linią, którą narysowałem na podłodze. Jeśli przekroczysz tę linię, kongresmen Mann naciśnie alarm, który będzie trzymał, ja poczuję wibracje w dłoni, wtedy wejdę do pokoju i cię zastrzelę. Wierzysz mi?

- Tak.

- Masz dziesięć minut, żeby wrócić. Jeśli po dziesięciu minutach nadal będziesz przebywał w środku, wejdę i cię zastrzelę.

Wierzysz, że mówię prawdę?

- Tak.

- W porządku, John. Wpuszczę cię do środka i włączę zegar. Proszę, nie podnoś głosu. To może nas zdenerwować, a tego byśmy nie chcieli, prawda?

- Tak.

- Wobec tego proszę.

Steve otwiera drzwi i wchodzi do apartamentu.

\*\*\*

Krótki korytarzyk prowadzi do przestronnego salonu. W progu widnieje czerwona taśma przyklejona na podłodze. Wchodzę, stawiam stopy na linii i oto jest, po tym wszystkim, siedzi trzydzieści stóp dalej na szarej sofie, patrzy prosto na mnie. Z bliska jest

większy, niż wydawał się na scenie, a na twarzy nie ma ani krzty lęku.

- Witaj. Jestem Abe.

- Nazywam się Columbus. I jestem twoim synem.

Mówię to z takim spokojem, jakbym oznajmiał, jaka jest pogoda.

- Naprawdę, Columbusie?

- Byłem tym dzieckiem w brzuchu La Wandy Dickerson, znanej ci jako Amanda B., którą kazałeś zabić podczas swojego pierwszego roku w Kongresie.

Nie odwraca wzroku. Jest bardzo dobry w utrzymywaniu kontaktu wzrokowego, to wyuczona umiejętność, która dobrze mu służyła.

- Synu, to nie było tak. Chciałem, aby wyjechała z Waszyngtonu, a pewni ludzie, którzy się mną zajmowali, potraktowali swoją pracę zbyt serio, posunęli się za daleko.

Wstaje z rękami w kieszeniach.

- Ale skąd wiesz, że jestem twoim ojcem?

- Wiem.

- Była zawodową prostytutką...

- Wiem.

Odpowiadam na jego pierwsze pytanie. Patrzy na mnie tak, jak architekt na gotowy projekt, szukając błędów, niedociągnięć. Jednak żadnych nie znajduje.

- Ja także. Widać to po tobie.

Wzdycha ciężko.

- Ale dlaczego przychodzisz teraz? Czego chcesz?

- Zostałem wynajęty, żeby cię zabić.

Przełyka ślinę i wyciąga ręce z kieszeni. Trzyma srebrne pudełko z guzikiem.

- Żeby mnie zabić?

- Tak, jestem zawodowym zabójcą. Zabijałem mężczyzn i kobiety na całym świecie. Robię to, ponieważ do tego się urodziłem. Rozumiesz?

- Tak. - Patrzy na swoją rękę i znów na mnie. - Pozwól, że zadam ci pytanie. Sądziś, że to był zbieg okoliczności, że ze wszystkich ludzi na świecie właśnie ty zostałeś wynajęty, żeby mnie zabić?

- Ktoś mi powiedział, że los ma swoje sposoby, żeby krzyżować ścieżki ludzkich losów.

- Tak. Idziemy przez świat jak marionetki na sznurkach.

- Nie. Nie ja. To ja mam kontrolę. Nasze ścieżki się skrzyżowały, ponieważ ja tego chciałem.

Patrzy na mnie uważnie, jakby nad tym rozmyślał.

- Sądziś, że miałeś szczęście? Że udało ci się dostać do tego pokoju?

- Sądzę, że szczęście sprzyja pomysłowym.

- Więc jak masz zamiar to zrobić?

- Zamierzam improwizować.

- Zanim przycisnę ten guzik?

- Tak.

Kiwa głową, przyjmując to do wiadomości, potem zdejmuje kiuk z przycisku i odkłada srebrne pudełeczko na szklany stolik.

- Jak masz zamiar uciec?

- Nie wiem.

- To niezbyt dopracowany plan.

- Nie. Ale jak dotąd działa.

- Istotnie.

- Nie masz pojęcia, ile mnie kosztowało to, że tutaj jestem.

- Podejrzewam, że całe twoje życie prowadziło do tego punktu.

- Tak.

- Ile mamy czasu?

- Sześć minut.

- Wobec tego słuchaj. Powiem ci, jak uciec. Zabijesz mnie, a potem pójdziesz przez tamte drzwi do głównej sypialni. Okno jest otwarte, tamtędy można zejść na ziemię po balkonach. Ale jest tam także balkon, z którego można wdrapać się na dach. Wejdiesz na dach, tam znajdziesz windę do mycia okien. Zjedziesz nią na dół.



Zanim oficer Steve przejdzie przez te drzwi, będziesz kilka przecznic dalej.

Kiedy mówi, nie zdradzam żadnych emocji, ale nie rozumiem, nie pojmuję.

- Dlaczego mi o tym mówisz?
- Ponieważ to ja cię wynająłem.

Prawda rozlega się w pokoju hotelowym jak bicie dzwonu.

- Ale dlaczego?
- Jak powiedziałem, jestem tylko marionetką.
- To nie wystarczy.
- Synu, masz tylko pięć minut. Jeśli chcesz przeżyć, będzie ci to musiało wystarczyć.

- Ale właśnie w tym rzecz. Ty nie chcesz żyć.

- A myślisz, że mam wybór? Jestem złym człowiekiem. Jestem zły do szpiku kości. I jest tylko jeden sposób, aby z tym skończyć... próbowałem wszystkiego. Nie wezwę ochrony. Nawet teraz nie mogę wywołać skandalu. Nie jestem tym człowiekiem z telewizji. Jestem potworem.

- Wytlumacz.

Siada ciężko, jakby ta spowiedź wysssała z niego resztki energii.

- Trzy minuty - mówi słabo.

- Wytlumacz - powtarzam przez zaciśnięte zęby.

- Nie zabiłem twojej matki. Nie wiedziałem, że mają zamiar to zrobić. Polityka... politycy... nie głosujemy, nie podejmujemy decyzji, do diabła, nawet nie zakładamy pieprzonych butów bez kogoś, kto nam powie, jak to zrobić. Nie rozumiesz? Zbyt wielu ludzi na nas polega, zbyt wielu ludzi trzyma łańcuch. Ta machina karmi się nami. Władza nie leży w tych wielkich pokojach na Kapitolu, ona jest w cieniu, za rogiem i pod dywanem.

Robi się epicki, traci naturalny sposób mówienia, mówi jak w Portland, jak wtedy, gdy naprawdę wierzy w swoje słowa.

- Pewni ludzie sprawili, że problem z twoją matką zniknął. Rozumiem, że wiesz, o jakich ludzi mi chodzi. Nie wyobrażałem sobie...

- A Nichelle Spellman w Kansas City? I ilu jeszcze?

Opuszcza oczy.

- Nie mogę tego powstrzymać. To jest jak czarna dziura wciągająca mnie przez te lata. Nie ma stąd ucieczki, przynajmniej nie dla mnie. Krajem kierują skorumpowani ludzie. Naprawdę nim kierują. Ich motywacją jest chciwość, pieniądze. Zrobią wszystko, aby mnie wynieść na samą górę, a potem utrzymać przy władzy.

Pokroją mnie na kawałki, aż zostaną tylko ochłapy dla padlinozerców.

Przemawia drżącym, ponurym głosem, w oczach ma pustkę.

- A jak myślisz, co będzie potem? Kiedy już wygram? Jak myślisz, co będzie, gdy będę kontrolował policję, dowodził NSA i będę miał władzę nad całym pieprzonym wojskiem? Myślisz, że ci ludzie znikną? Myślisz, że zostawią mnie w spokoju? A może raczej będą dalej pociągać za sznurki? Nie mogę... - potrząsa głową. - Nie mogę ich powstrzymać. Nie pozwolą mi. Mam tylko jeden wybór - ucieczkę.

Mój głos jest lodowaty.

- Mogłeś się ich pozbyć. Wymusić to, czego chciałeś.

- Nie. Nie rozumiesz.

- Zrzucić ich z siebie, cisnąć krzesłem w okno, uciec...

- Nie.

- Mogłeś próbować. A potem odpocząć i spróbować jeszcze raz.

- Tak... Może dawno temu. Teraz jestem zmęczony.

- Mógłbyś zostać w teraźniejszości, pogrzebać przeszłość, stać się nowym człowiekiem...

- To niemożliwe.

- To ty kontrolujesz swoją przyszłość. To ty możesz nagiąć ją do swojej woli.

- Nie mogę.

- Jesteś tchórzem.

- Tak.

Patrzę na stojącego przede mną człowieka, a on wydaje się mniejszy niż wtedy, gdy wszedłem do pokoju. Mam już tylko jedno pytanie.

- Wiedziałeś? Wiedziałeś, że to właśnie ja po ciebie przyjdę?  
Spod na wpół opuszczonych powiek patrzy na moją twarz.

- Pomoże ci, jeśli powiem, że tak?

Przechodzę przez pokój i staję nad nim. Moja prawa ręka jest bezużyteczna, zaciskam więc lewą dłoń na jego gardle, nasze twarze dzieli tylko kilka centymetrów, ale on zamyka oczy, pozwala, aby to się stało, nie opiera się, nie walczy. Ściskam jego tchawicę, a potem rozrywam skórę i miażdżę gardło uściskiem potężniejszym, niż mogę to sobie wyobrazić, a Cox i Pooley, Dan Levine, Janet Stephens i Hap znikają w mroku, rozplywają się. Krew plami szarą sofę, oczy Abe Manna uciekają w głąb czaszki, dławi się własną krwią, spada z kanapy i toczy się po podłodze.

Idę do sypialni, okno jest otwarte i wiem, że nie kłamał, może po raz pierwszy od bardzo dawna. Słowa, którymi opisał drogę ucieczki, były prawdziwe i szczerze.

Wspinam się z balkonu na dach, biegnę i dopadam drugiej strony jak człowiek walczący o swoją wolność. Pusta winda do mycia okien jest tam, czeka jak łódź do przeprawy przez Styks, naciskam guzik i szybko zjeżdżam w dół. Czuję ból w ramieniu, ale ignoruję go, wiatr z bezkresnego oceanu na zachodzie smaga mnie po twarzy drobinami soli.

# Epilog

Wysiadam z białego mercedesa, kierowca otwiera drzwi i podaje mi walizkę. Hotel wbudowany w zbocze wzgórza wygląda tak, jak go zapamiętałam - jak naturalny dodatek do krajobrazu. Mój pokój jest duży i wygodny. Wychodzę na patio skierowane ku miastu i morzu daleko w dole, spoglądam na szczyt wzgórza i na dom Cortino.

Ciekawe, kto mieszka tam teraz. Minęło sześć lat, odkąd w czerwcowy poranek znaleziono ciało Cortino, jego sparaliżowanej żony i ochroniarza. Zbrodnia obudziła sennie miasteczko, sprawiła, że zawrzało, ale upływ czasu i szum oceanu znów je łagodnie ukołysały. Teraz drzwi w domu na wzgórzu pewnie starannie zamyka się na noc.

Los Angeles zareagowało podobnie na zabójstwo kandydata na prezydenta. Jednak nie był to żaden wielki złoczyńca, którego można by obwiniać, jedynie John Smith o nijakiej twarzy i miłym głosie, który miał zdolność rozpływania się w powietrzu. Pomimo wszelkich wysiłków różnych służb dwa lata później sprawa wciąż nie była zakończona.

Jestem w Positano i dochodzę do siebie. Jest późne lato i poinformowałem pana Ryana, że tym razem będę potrzebował kilku miesięcy odpoczynku. Kilku miesięcy bez nawiązywania połączeń i bez ich przecinania, kilku miesięcy, aby odetchnąć, żyć i pamiętać.

Od zabicia Abe Manna pracuję wyłącznie w Europie, a pan Ryan przeniósł się do Paryża. Przeprowadzka okazała się bardzo korzystna, stróże prawa są tutaj bardziej zrelaksowani, ekonomia mocna, kontraktów dowolna liczba. Wierzę, że jest szczęśliwy,

mając pod skrzydłami Srebrnego Niedźwiedzia, jakkolwiek nie rozmawiamy o sprawach prywatnych. To związek biznesowy i tylko tyle.

Ostatnio na moją prośbę pojechał do Denver w Colorado. Po raz pierwszy przygotował dossier osoby, która nie jest celem. Trzymam teraz te akta w rękach, ale jeszcze ich nie otworzyłem. Chciałem zrobić to tutaj, w mieście zbudowanym na zboczu wzgórza i zanurzonego w morzu. Siadam ciężko w fotelu na patio, oddycham chłodnym, nocnym powietrzem i wsuwam kciuk pod okładkę.

Na kartce widzę nazwisko Jacqueline Grant, niegdyś Jake Owens z Bostonu w stanie Massachusetts. Na fotografii widzę kobietę wysiadającą z samochodu, idącą przez parking do sklepu. Ma dłuższe niż wtedy włosy i trochę pełniejszą twarz. Wygląda na zadowoloną, ale może to tylko moja projekcja.

Od trzech lat jest zameźna. Jej mąż jest właścicielem restauracji. To czyste, dobrze oświetlone miejsce, w którym podaje się dobre hamburgery. Są rówieśnikami, a mąż dobrze ją traktuje. Zastanawiam się, jak się poznali. Zastanawiam się, czy po tym, jak ją pobiliśmy, miała szczęście do mężczyzn, czy może trzymała się od nich z daleka, aż w jej życiu pojawił się Alex Grant. Zastanawiam się, czy jest bezpieczna i czy czuje się z nim bezpiecznie.

Zastanawiam się, czy go kocha.

COLUMBUS POWRÓCI W KOLEJNEJ KSIĄŻCE

DEREKA HAASA